OSKARŻONY FRANCISZEK
Kto bije w papieża skandalem obyczajowym

RODZINA BARGIELÓW
W tym domu każdy ma swoje K2

SENATOR AMERYKA
Wszystkie błędy Johna McCaina

ZADIE SMITH
Śmiechem w mrok ponurych czasów

Kraków 9 września 2018 nr 37 (3609) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Operacja następca

Jaki będzie PiS Morawieckiego

W NUMERZE DODATKI:

KONKURS MUZYCZNY IM. KAROLA SZYMANOWSKIEGO

FESTIWAL PRZEMIANY

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYLKO 300 ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!

Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat – możesz kupić krajową, ekonomiczną prenumeratę wydania papierowego „TP" w ofercie POKOLENIA za 300 zł rocznie.▪

Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej.

Kupując krajową prenumeratę przez stronę tygodnikpowszechny.pl masz możliwość zamówienia wydania specjalnego „TP" „Polska od nowa" – z dostawą do domu!

▪ Zastrzegamy sobie prawo skontaktowania się z wybranymi osobami w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP", ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta POKOLENIA – 300 zł na rok

▪ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

KS. ADAM

Boniecki: *Katolicy kulturowi*

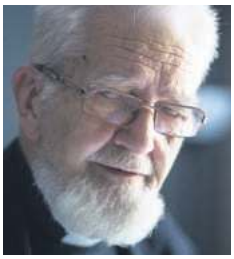

Chciałbym zwrócić uwagę na artykuł księdza Andrzeja Draguły „Kościół różnych prędkości" (str. 40) i namówić do przeczytania go aż do ostatniej kropki. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że ksiądz napisał go dla księży, a co gorsza, że źle usposabia księży do tej kategorii świeckich katolików, w której wielu może rozpoznać siebie, to jest do kategorii „katolików kulturowych". Katolicy kulturowi – wyjaśnia – to tacy, którzy do praktyk religijnych (takich jak ślub kościelny, chrzest dziecka, religijny pogrzeb itd.) zbliżają się z motywów pozareligijnych: społecznych, kulturowych, a nawet politycznych; ludzie, u których istotne komponenty samookreślenia się jako katolicy to tradycja, rytualność, a nawet polskość; ludzie, dla których chęć zawarcia ślubu w kościele czy wybór kościelnego pogrzebu dla kogoś z bliskich wynika bardziej z przywiązania do tradycji, z motywów estetycznych itp., niż z wiary w sakramenty Kościoła.

Opis brzmi jak potępiający osąd, lecz ten, kto artykuł ks. Draguły doczytał do końca, wie, że artykuł jest adresowany do wszystkich, nie tylko do księży, i że nie jest wyklęciem „katolicyzmu kulturowego".

Kulturowy wprawdzie, ale jednak katolicyzm... A czyż tzw. wychowanie katolickie nie polega na tym, że wychowankom wpaja się system wartości i wzorce kulturowe, wywodzące się z katolicyzmu lub za takie uważane? Wzorce, dodajmy, nie zawsze wprost zakorzenione w Ewangelii, bo są wśród nich „chodzenie w niedzielę do kościoła", ryby na wieczerzy wigilijnej, ale też podejrzliwy stosunek do własnego ciała i sposób traktowania seksualności, model żony, która powinna być „uległa mężowi", choć jest także obowiązek wspierania potrzebujących, angażowania się na rzecz słabych i bezbronnych, bezinteresowność w czynieniu dobra, darowanie win, szacunek dla każdego człowieka, nawet jeśli się od nas różni statusem społecznym, majątkowym, narodowością, rasą, religią itd. Przecież jest wielu katolików, którzy rzadko przyjmują sakramenty lub ich nie przyjmują wcale, którzy nie mają „pogłębionej wiary", ale akceptują i wcielają w życie całkiem katolicki model „człowieka przyzwoitego". Zresztą jeżeli wiara jest łaską od Boga, to cóż więcej katoliccy rodzice (katolickie szkoły, katolickie organizacje) mogą dać dziecku niż kulturę sprzyjającą przyjęciu łaski wiary, oczywiście, jeśli to możliwe, wspartą przykładem własnej wiary.

Zresztą Kościół-instytucja, walcząc (słusznie) o „wartości chrześcijańskie" w różnych dziedzinach życia publicznego, w znacznej mierze „obsługuje" właśnie „katolików kulturowych". Podejrzewam też, że wielu działaczy na tej niwie, nawet wyróżnionych za zasługi „Pro Ecclesia et Pontifice", we własnym życiu nie naprzykrza się zbytnio Panu Bogu, by użyć tego dobrotliwego określenia.

Dwie refleksje księżowskie. Nie odpychajmy od Kościoła „katolików kulturowych". To zwykle są ludzie, którzy kiedyś, w rodzinnym domu otrzymali podstawy wiary. Jeśli od niej odeszli (ciekawe dlaczego, może w imię wewnętrznej uczciwości?), to i tak są w tej dobrej sytuacji, że zawsze mają gdzie wrócić. Druga refleksja to raczej przestroga: uważajmy i nie cieszmy się za bardzo wtedy, gdy „pan prezydent zaszczyci swoją obecnością mszę św." albo kiedy będziemy mieli w kościele, oczywiście w pierwszych ławach, komplet VIP-ów. Nie cieszmy się też za bardzo z tego, że państwowe (samorządowe, związkowe, partyjne itd.) uroczystości możemy dziś „ubogacać" mszą św. Te oficjalne liturgie wspierają i pielęgnują właśnie katolicyzm kulturowy, co z pewnością nie sprawi, że świeckie państwo zmienimy w państwo Boże. A sam tylko Bóg będzie wiedział, ile wśród organizatorów i wśród nas, uczestników tych kulturowych liturgii jest wiary, a ile wyrachowanej lub bezmyślnej hipokryzji. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

MEDAL ŚW. JERZEGO 2018

Co roku środowisko „Tygodnika Powszechnego" przyznaje wyróżnienie – Medal św. Jerzego – za „zmaganie się ze złem i uparte budowanie dobra w życiu społecznym".

O tym, kto otrzyma to wyróżnienie, decyduje Kapituła Nagrody na podstawie przesłanych przez Państwa – naszych Czytelników – propozycji. Zapraszamy do zgłaszania kandydatów pocztą pod adresem redakcji lub drogą elektroniczną pod adresem medal@tygodnik.com.pl – w obu przypadkach z dopiskiem na kopercie lub w nagłówku maila „Medal św. Jerzego".

Zgłoszenia z krótkim uzasadnieniem (do 1000 znaków) prosimy przesyłać do 15 września 2018 r.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Europa w świecie – reaktywacja
OLAF OSICA

6–11 Wiadomości / Komentarze

19 Tygodnik Czytelników

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Komiwojażer dobrej zmiany
ANDRZEJ STANKIEWICZ: *Morawiecki zrobi wszystko, aby zostać delfinem*

26 Eksperyment Biedroń
MARIUSZ SEPIOŁO: *Pejzaż Słupska*

29 W stronę pata
ROZMOWA Z PROF. WŁADYSŁAWEM CZAPLIŃSKIM, PRAWNIKIEM

31 Góry śmieci
MAREK RABIJ: *Koszty górskich wypraw ponosi przyroda*

■ ■ REPORTAŻ

34 Tu każdy ma swoje K2
BARTEK DOBROCH *o Bargielach*

■ ■ WIARA

40 Kościół różnych prędkości
KS. ANDRZEJ DRAGUŁA *o katolikach kulturowych*

43 Miara wiary
ROZMOWA Z O. GRZEGORZEM KRAMEREM SJ, PROBOSZCZEM

46 Wielkie odpowiedzi księdza Hellera
ARTUR SPORNIAK

48 Głodny i głupi
ADA SERRA *o Carlu Acutisie, nastoletnim kandydacie na ołtarze*

■ ■ ŚWIAT

50 Senator Ameryka
PIOTR TARCZYŃSKI: *Pożegnanie Johna McCaina*

GREGORIO BORGIA / AP / EAST NEWS

■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 Milczenie papieży
EDWARD AUGUSTYN, MARCIN ŻYŁA

W tle skandalu obyczajowego w Kościele toczy się walka z Franciszkiem. Głównym obiektem zainteresowania jest instytucja – władza, autorytet, morale – a nie skrzywdzony przez nią człowiek.

17 Zdradzeni przez Kościół
ROZMOWA Z TIMEM LENNONEM, PREZESEM SNAP, AMERYKAŃSKIEJ ORGANIZACJI ZRZESZAJĄCEJ OFIARY MOLESTOWANIA:

Będą się za nas modlić, odprawią pokutę, ominą w ramach postu posiłek... Jaki to ma związek z ochroną dzieci?

■ FELIETONY ■

33 ANNA DZIEWIT-MELLER
49 SZYMON HOŁOWNIA
71 ANDRZEJ STASIUK
93 PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ DODATKI SPECJALNE ■

Festiwal Przemiany

Konkurs Muzyczny im. Karola Szymanowskiego

Okładka: Mateusz Morawiecki
Ilustracja: JOANNA RUSINEK
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

54 „Błękitni" przeciw „zielonym"
DOMINIKA MATEJKO: *Projekt liberalizacji ustawy antyaborcyjnej podzielił Argentynę*

56 Idylla w zawieszeniu
AGATA KASPROLEWICZ: *Co stało się z sielską Szwecją*

■ ■ HISTORIA

66 Niektórzy bardzo płaczą
ROZMOWA Z EWĄ KOPER, HISTORYKIEM Z MIEJSCA PAMIĘCI W BEŁŻCU

70 Ziemie Wschodnie II RP: poza mitem i oskarżeniem
WOJCIECH PIĘCIAK

■ ■ NAUKA

72 Mnóstwo srok za ogon
ŁUKASZ JACH: *Multitasking to w dużym stopniu fikcja*

■ ■ KULTURA

82 Śmiechem w mrok
ROZMOWA Z ZADIE SMITH

86 Kopiariusz Giedroycia
STANISŁAW MANCEWICZ: *Zwykły zeszyt z niezwykłymi atrakcjami*

88 Serialowa rewolucja nad Wisłą
JAKUB MAJMUREK *o serialu „Rojst"*

90 Taniec z karabinem
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Fokstrot" Samuela Maoza*

91 Warto zobaczyć w TV

92 Na rozdrożu
LEKTOR *o książce „Jerzy Giedroyć w 1946 roku"*

■ ■ WAKACJE

94 Dobra droga do pogadania
ADAM ROBIŃSKI: *Na drogach wytyczonych setki lat temu z Robertem Macfarlane'em*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ TYGODNIA

EUROPA W ŚWIECIE – REAKTYWACJA

Co spotkanie Merkel z Putinem i niemiecko-francuskie apele o budowę nowych sojuszy mogą oznaczać dla Polski?

OLAF OSICA

Sierpień w polityce jest z reguły czasem kanikuły. W tym roku było jednak inaczej. Spotkanie kanclerz Angeli Merkel z prezydentem Władimirem Putinem w Mesebergu, odważna wizja nowego kształtu współpracy Europy i Ameryki szefa niemieckiej dyplomacji Heiko Maasa oraz programowe wystąpienie prezydenta Francji Emmanuela Macrona wzywającego do przeglądu polityki obronnej w Europie i budowania nowych sojuszy – wszystko to zdarzyło się właśnie w sierpniu, kiedy mamy prawo do niezawracania nam głowy polityką.

W niezmiennie neurotycznej polskiej debacie o świecie wydarzenia te wybrzmiały nader mocno. W końcu „lato tego roku było piękne", a potem przyszedł wrzesień i koniec świata, który znaliśmy. Nawet wyważony zwykle w opiniach „Dziennik Gazeta Prawna" pisał o „zdradzie dyplomatycznej", której dokonała Mutti spotykając się z b. pułkownikiem KGB. Analizowanie każdego spotkania, wypowiedzi czy wizji politycznej w kontekście zmierzchu Zachodu, który porzuciwszy swe ideały zostawi Polskę na łasce wichrów historii, nie wydaje się jednak zwiększać naszej wiedzy o otaczającym nas świecie. A ten rzeczywiście się zmienia, choć nikt jeszcze nie wie jak.

Nie wie tego Merkel, której spotkanie z Putinem służyło wybadaniu, czy gospodarz Kremla jest w stanie uznać, że już nie dyktuje warunków. A gotowość do negocjacji otwiera drogę do dalszych spotkań i rozmów – nie wiemy

Kanclerz Niemiec i prezydent Rosji podczas spotkania w Mesebergu, 18 sierpnia 2018 r.

ALEXEI DRUZHININ / AFP / EAST NEWS

↦

↦ jednak, czy w sprawie wojny na Ukrainie i w Syrii jest pole do kompromisu, które zakładałoby także zgodę Kijowa i Damaszku (oraz Teheranu). To trudne do wyobrażenia. Na pewno ani Rosja, ani Niemcy nie są w stanie nikomu nic narzucić. Gdyby jednak doszło do pozytywnego przełomu, zniesienie sankcji na Rosję stanie się realne. Jedynym konkretem był Nord Stream, co ilustruje, jak pusty jest wciąż dzisiaj wymiar „strategicznych" stosunków państw, które miały rządzić Europą. Ale nawet ta inwestycja zależy od tego, czy Kongres nałoży sankcje na firmy zaangażowane w budowę gazociągu (co może oznaczać jego zamrożenie), czy też umożliwi jego budowę.

Przyszłości nie znają też Macron i Maas, choć obaj zgrabnie nawiązali do pomysłów, które są stare jak sama współpraca atlantycka. Więcej miejsca dla Europy w polityce światowej wymaga jednak spójności politycznej i rozwoju zdolności do wpływania na rzeczywistość, której Europie dzisiaj brakuje. Pomińmy kwestie wojskowe: mimo stałej niepewności odnośnie do amerykańskiego zaangażowania, Europa nie stworzy potencjału zbliżonego do tego, którym dysponują USA. W rzeczywistości nawet tego nie chce. Wyraźną ambicją jest jednak poszerzenie swobody w kwestiach globalnej współpracy gospodarczej. Swą polityką handlową Donald Trump stworzył miejsce dla działań, które jeszcze jakiś czas temu nie były priorytetowe. Europa ma tu możliwość nie tylko sięgnięcia po narzędzia, którymi nie dysponuje na polu walki, ale przede wszystkim ma wolę polityczną: handel i gospodarka wprost przekładają się na głosy poparcia. Iran – inaczej niż Irak – może więc okazać się punktem zwrotnym w budowie równowagi w stosunkach amerykańsko-europejskich. I tu jednak potrzeba wielu lat, aby postulaty Macrona i Maasa nabrały realnego wymiaru.

Czy zatem nie ma powodów do obaw nad Wisłą? Zapewne są, bo każda korekta polityczna niesie w sobie szansę na poprawę sytuacji, jak też ryzyko jej pogorszenia. Problemem nie są jednak Merkel, Macron czy Maas. Więcej: nie jest nim nawet Trump. Problemem jest brak polskiej odpowiedzi, która miałaby szanse wyjść poza logikę polityki wewnętrznej i wywrzeć wpływ na myślenie innych. I tego powinniśmy się najbardziej obawiać.

© OLAF OSICA

W SKRÓCIE

SZACUNEK. Podczas obchodów Dnia Weterana na warszawskim pl. Piłsudskiego pełnomocniczka Wojewody ds. Obchodów Stulecia Odzyskania przez Polskę Niepodległości spoliczkowała wołającą „Konstytucja!" działaczkę Obywateli RP, mówiąc „Zamknij się, głupia babo". Szef MSWiA Joachim Brudziński uznał, że „upominając się o szacunek dla Weteranów" pełnomocniczka przekroczyła jednak granicę, i poinformował o jej dymisji.

ŁOKIEĆ. Wołanie „Konstytucja!" zakłóciło też wystąpienie prezydenta podczas rozpoczęcia roku szkolnego w III LO w Gdyni, tam jednak Andrzeja Dudę wzięła za łokieć małżonka i doprowadziła do skrócenia przemowy.

W. STRÓŻYK / REPORTER

TABLICA. Nikt nie przemawiał przed tablicą, którą na terenie Stoczni Gdańskiej chciała odsłonić miejscowa Solidarność: na upamiętnienie faktu, że w sierpniu 1988 r. strajkowali tam wraz ze stoczniowcami Lech i Jarosław Kaczyńscy, nie wyraził zgody prezes PiS.

PRZYMIOTNIKI. Najpiękniej uroczystości rocznicy Sierpnia '80 zrelacjonowano na stronie IPN, gdzie mogliśmy przeczytać, że homilia arcybiskupa była bardzo ważna, wkład prezesa ogromny, losy żołnierzy dramatyczne i wspaniałe, przemówienie prezydenta wyśmienite, a wypowiedzi premiera i przewodniczącego „S" niezwykle ciekawe.

BIEDACZEK. Tylko w Toruniu smutno: „My w Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej pracujemy dla ojczyzny" – przypomniał o. Rydzyk, a tymczasem „pieniądze idą na uniwersytety, które są przesiąknięte lewactwem, gender, a wykładowcy są często demoralizatorami przeciwko Bogu i ojczyźnie". Ojciec dyrektor uważa, że bezduszna postawa rządzących wynika z przekonania, że jego media dają im za mało głosów.

Kaczyński wraca do gry

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Pierwsze od wielu miesięcy programowe wystąpienie prezesa PiS podsyca plotki o coraz brutalniejszych wojnach w obozie władzy.

Wbrew szumnym zapowiedziom polityków PiS długo wyczekiwane, pochorobowe przemówienie ich lidera nie było żadnym politycznym przełomem. Podczas konwencji wyborczej prezes zrobił standardowe *résumé* swej ideologii. Bronił niemal trzech lat rządów odrzucając zarzuty naruszania demokratycznych standardów. Jasno pokazał też, że uważa Unię Europejską głównie za skarbonkę, a nie nosicielkę wartości. Chcąc odeprzeć ataki opozycji – zarzucającej mu szykowanie polexitu – stwierdził ogólnikowo, że Polacy chcą być w Unii. Ale zastrzegł: – To nie oznacza, że mamy powtarzać błędy Zachodu i zarażać się tymi społecznymi chorobami, które tam panują.

Stwierdził też, że docenia wiele osiągnięć samorządów. To zaskakujące, biorąc pod uwagę nie tylko to, że w samorządzie dominuje PO, ale także, że PiS jest programowo sceptyczne wobec samorządności. Ale to celowe zmiękczanie kampanii. Nie przypadkiem prezes PiS dodał: – Nie idziemy w tych wyborach po to, by się srożyć i rozliczać.

Jednocześnie Kaczyński sugerował, że warto głosować na PiS, bo samorządy tej partii będą lepiej współpracować z rządem – co jest wyłącznie chwytem retorycznym, bo rząd nie ma instrumentów, by karać samorządy za ich polityczną proweniencję.

Najważniejsze na konwencji było jednak co innego – zaskakująco dużą część swej przemowy Kaczyński poświęcił na podkreślanie potrzeby jedności na prawicy. Urządził też spektakl z podpisywania porozumienia wyborczego z partiami Zbigniewa Ziobry i Jarosława Gowina. Tak jakby obaj ci członkowie rządu – kierujący marginalnymi ugrupowaniami pozbawionymi przez Kaczyńskiego pieniędzy – mogli w ogóle myśleć o samodzielnym starcie.

Taki nacisk na jedność uwiarygadnia pogłoski o tym, że wewnątrz obozu władzy toczą się brutalne wojny, które przybrały na sile podczas szpitalnej absencji prezesa.

Jednak w najbliższym czasie podziały w obozie władzy nie nastąpią. Może do nich dojść, gdy Kaczyńskiego opuszczą witalne siły i nie będzie w stanie kontrolować ambicji Ziobry czy Antoniego Macierewicza. Albo też gdy lider PiS przyspieszy scenariusz przekazywania sukcesji Mateuszowi Morawieckiemu, co dla wspomnianych notabli będzie nie do przyjęcia. ©

Autor – dziennikarz Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

Hospicja, nie umieralnie

NAJWYŻSZA IZBA KONTROLI sprawdzi, jak wygląda stan opieki paliatywnej i hospicyjnej w Polsce. Kontrole rozpoznawcze sugerują, że może być źle.

W ub. roku z opieki hospicyjnej i paliatywnej skorzystało w Polsce niemal 100 tys. osób. Zapotrzebowanie na tego typu pomoc będzie tylko rosnąć wraz ze starzeniem się polskiego społeczeństwa i coraz częstszym występowaniem chorób nowotworowych, kardiologicznych i innych schorzeń cywilizacyjnych.

Czy – a jeśli tak, to w jaki sposób – przygotowuje się do tego polski system opieki zdrowotnej? Kontrola NIK przeprowadzona ostatnio w Kujawsko-Pomorskiem pokazuje, że NFZ nie wie nawet, ile osób czeka na miejsce w hospicjum. Pacjenci w placówkach skarżą się także na zabiegi i czynności higieniczne przeprowadzane bez parawanu, w obecności osób trzecich.

Opiekę hospicyjną i paliatywną sprawuje dziś w Polsce 525 podmiotów, które mają kontrakt z NFZ. Specjaliści, których NIK zaprosił do panelu w sprawie przyszłości systemu hospicyjnego w Polsce, zgadzają się, że przy rosnącym, ale wciąż niewystarczającym finansowaniu tego typu opieki przez budżet kontrakty publiczne powinny otrzymywać w pierwszej kolejności placówki mające doświadczenie w prowadzeniu takiej działalności. Każdy przypadek złego traktowania pacjentów podważa bowiem zaufanie do systemu hospicyjnego. ©℗ MR

Proszę wsiadać, jest internet

W WAGONACH PENDOLINO będzie wreszcie wi-fi. PKP zapłacą za to producentowi, firmie Alstom, 31,7 mln zł. To drogo – zwłaszcza że kontrakt nie obejmuje montażu wzmacniaczy sygnału sieci komórkowych, które ułatwiłyby pasażerom korzystanie z bezprzewodowego internetu.

Porozumienie kończy jednak trwającą od trzech lat farsę z montażem w składach elementu wyposażenia, który dziś wydaje się równie oczywisty, jak siedzenia czy klimatyzacja. Niebawem – dzięki zmianie przepisów – pociągi Pendolino będą mogły poruszać się na niektórych trasach z prędkością do 250 km na godzinę. ©℗ MR

TVP INFO

Władca pierścieni

DOŚĆ NIEOCZEKIWANYM MOMENTEM gdańskich obchodów rocznicy Sierpnia'80 były zaślubiny Telewizji Publicznej z Kościołem. Na zakończenie mszy w bazylice św. Brygidy abp Sławoj Leszek Głódź wezwał do ołtarza prezesa TVP Jacka Kurskiego, by nałożyć mu na palec „pierścień Inki". To nagroda za „postawę patriotyczną i krzewienie idei pamięci o Żołnierzach Wyklętych", którą metropolita przyznaje od 2016 r. (wśród laureatów są już Andrzej Duda, Beata Szydło i Tomasz Sakiewicz). „Dzięki tej prezesurze otworzył pan oczy wielu Polakom i przywrócił pamięć – pamięć o Ince, o Szendzielarzu, o Żołnierzach Wyklętych. W ogóle ta telewizja zmieniła oblicze. I niech dalej tak się dzieje, a ten pierścień niech o tym przypomina" – mówił abp Głódź.

Wzruszającą chwilę pokazano w „Wiadomościach" jako drugi news dnia, z nagłówkiem „Nagroda za prawdę". Zaraz po brawurowym „reportażu historycznym" Maksymiliana Maszendy, w którym udało się opowiedzieć o 31 sierpnia 1980 r. bez wspominania nazwiska Lecha Wałęsy (przywódcy Solidarności poświęcono osobny, pogardliwy materiał).

Jacek Kurski niewątpliwie zasłużył na pierścień od arcybiskupa za „zmianę oblicza telewizji publicznej". Teraz pora, by metropolita gdaski dostał Nagrodę Prezesa TVP za skromność i apolityczność.

©℗ KALINA BŁAŻEJOWSKA

Kopiuj, wklej, przeczekaj

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

W UJAWNIONEJ DWA TYGODNIE TEMU przez „TP" sprawie plagiatów kandydatki PiS na Rzecznika Praw Dziecka (czytaj na powszech.net/plagiaty) nie chodzi już o Sabinę Zalewską: ani o to, że nie zrezygnowała dotąd z kandydowania, ani że nie odniosła się poważnie do zarzutów, za to najspokojniej w świecie pojawiła się w jednej z audycji publicznego Polskiego Radia Dzieciom (w charakterze – dodajmy – ekspertki od wychowania).

Po tych kilkunastu dniach sprawą ważniejszą jest milczenie partii rządzącej i macierzystej uczelni dr Zalewskiej. Milczenie trudne do pojęcia, bo przecież pobieżne – choć wystarczające, by wyrobić sobie opinię – sprawdzenie opisanych przez Annę Golus faktów zajęłoby władzom PiS i UKSW godzinę, dochodzenie zaś wnikliwe – najwyżej kilka dni. Tymczasem występująca z hasłem odnowy moralnej partia („Ogromnie ważna jest uczciwość. Musimy o tym pamiętać" – mówił na niedzielnej konwencji Jarosław Kaczyński), a także potępiająca (zgodnie z ogólnikowym oświadczeniem) plagiaty uczelnia utknęły na etapie „sprawdzania zarzutów".

Na tydzień przed sejmowymi wyborami urzędnika, który ma się wyróżniać „nieskazitelnym charakterem" oraz „wysokim autorytetem ze względu na walory moralne" (cytaty za ustawą o RPD), można chyba sformułować oczekiwanie, by firmujące dr Zalewską instytucje zajęły stanowisko. Chyba że „nieskazitelny charakter" znaczy dla nich tyle, co dla Sabiny Zalewskiej „naukowa rzetelność". ©℗

BUDA MENDES / GETTY IMAGES

„LOBOTOMIĄ BRAZYLIJSKIEJ PAMIĘCI” nazwała Marina Silva, kandydatka w październikowych wyborach prezydenckich w Brazylii, pożar, który w niedzielę 2 września rozgorzał w najstarszej instytucji naukowej kraju – Muzeum Narodowym w Rio de Janeiro. W dwustuletnim budynku (w epoce kolonialnej służył on jako rezydencja portugalskiej rodziny królewskiej) przechowywano około 20 mln artefaktów. Wśród nich najstarsze szczątki człowieka odkryte w Ameryce. Większość zbiorów uległa zniszczeniu. Brazylijczycy porównują już tę katastrofę do pożaru biblioteki w Aleksandrii. ©℗ ŻYM

Chemnitz: śmierć i nienawiść

PO TYM, GDY W NOCY z 25 na 26 sierpnia w centrum Chemnitz od ciosów nożem zginął 35-letni mężczyzna (dwóch innych zostało ciężko rannych), sytuacja w mieście nadal jest napięta. O zabójstwo Niemca podejrzani są bowiem dwaj uchodźcy: 23-letni Syryjczyk i 22-letni Irakijczyk. Dzień po tragedii protest zwołany przez prawicowe organizacje przekształcił się w zamieszki, którym ton nadawali radykałowie. Media obiegły zdjęcia hajlujących neonazistów i uciekających przed nimi obcokrajowców oraz nieprzygotowanej policji, która z trudem opanowała sytuację. Miasto stało się nowym symbolem sporu o integrację uchodźców, który coraz bardziej polaryzuje niemieckie społeczeństwo.

W Saksonii, w której leży 240-tysięczne Chemnitz, już od kilku lat odbywają się antymuzułmańskie protesty Pegidy, stowarzyszenia, które chce walczyć z „islamizacją Zachodu”. Mocna jest tam też Alternatywa dla Niemiec, która wyrasta na drugą siłę polityczną we wszystkich landach b. NRD. W samej Saksonii partia może liczyć na 25 proc. głosów (w porównaniu do 16 proc. w skali kraju). To wskazuje, że niechęć wobec obcych wzmacniają strukturalne problemy transformacji na wschodzie, niskie dochody i emigracja młodych.

Zbrodnia w Chemnitz stanowi jednak poważne wyzwanie dla niemieckiego rządu, bo stawia pytania o bezpieczeństwo i politykę azylową. Jeden z podejrzanych miał być deportowany z Niemiec do Bułgarii już w 2016 r.

© GRZEGORZ SZYMANOWSKI
z Berlina

Cel: wesele

MARCIN ŻYŁA

Przygnębiający raport na temat trwającej od trzech i pół roku wojny w Jemenie ogłosiła Komisja Praw Człowieka ONZ. Według ekspertów obie jej strony – koalicja pod przewodnictwem Arabii Saudyjskiej oraz rebeliancki ruch Huti – dopuszczają się zbrodni przeciwko cywilom. Dokument, rezultat wielomiesięcznego śledztwa, wymienia m.in. arbitralne aresztowania, gwałty, tortury oraz rekrutację dzieci do armii. Największe wrażenie robią jednak fragmenty o nalotach lotniczych (dokonywanych przez Saudów z użyciem broni sprzedawanej przez Zachód). Ich celem są szpitale i place handlowe, ale także wesela i pogrzeby. Na początku sierpnia co najmniej 40 dzieci, w większości w wieku od 10 do 13 lat, zginęło, gdy pocisk trafił w autobus, którym podróżowały. Dzień po ataku minister spraw zagranicznych Zjednoczonych Emiratów Arabskich (wchodzących w skład koalicji) uznał, że wojna nigdy „nie może być czysta”. Od początku wojny w Jemenie zginęło ok. 6,6 tys. cywilów. ©℗

Co się stało dyplomatom

ZACZĘŁO SIĘ NA KUBIE – od zagadki medycznej. W 2016 r. pracownicy ambasady amerykańskiej zaczynają zgłaszać problemy ze słuchem, nudności i trudności z zachowaniem uwagi. Rok później Waszyngton, w odwecie za to, że Hawana nie zapewnia misji USA należytej ochrony, wydala 15 kubańskich dyplomatów. Historia powtarza się jednak na wiosnę 2018 r. w chińskim Kantonie, gdzie u pracowników amerykańskiego konsulatu pojawiają się podobne symptomy. Wyniki badań potwierdzają uszkodzenie mózgu.

W minionym tygodniu dziennik „New York Times” ujawnił, że dyplomaci z Hawany najprawdopodobniej zostali zaatakowani tzw. bronią mikrofalową. Rosnąca liczba badaczy wskazuje na tzw. efekt Freya – mózg bombardowany mikrofalami interpretuje je jako dźwięk. Taką hipotezę sprawdzali także wojskowi z tajnej grupy JASON, zbierającej się, jak twierdzi gazeta, każdego lata, aby omawiać strategiczne odkrycia naukowe. Tymczasem federalni śledczy rozmawiali o możliwości ataku mikrofalowego z samym Allanem H. Freyem, który w latach 60. XX w. opisywał takie zjawisko. Tu ciekawostka: niedługo po publikacji swoich prac naukowca zaproszono do Moskwy – sowieccy wojskowi zainteresowali się potencjalnym wykorzystaniem broni mikrofalowej. W kolejnych dekadach zarówno Rosjanie, jak i Amerykanie badali możliwości taktycznego wykorzystania badań Freya. Za miesiąc w czasopiśmie „Neural Computation” ma się ukazać artykuł przedstawiający dowody, że amerykańscy dyplomaci padli ofiarą ataku mikrofalowego.

©℗ PATRYK STANIK, na podst. nyt.com

TOMASZ KAWKA / EAST NEWS

Talenty biskupa Szczepana

ABP SZCZEPAN WESOŁY należał do tych biskupów, których droga do kapłaństwa prowadziła przez trudne doświadczenia życiowe. Miał 13 lat, gdy wybuch wojny zmusił go do przerwania nauki. Pracował m.in. w hucie, potem przy budowie niemieckich bunkrów w Cuxhaven, a w 1944 r. został przymusowo wcielony do Wehrmachtu i wysłany na front zachodni (do Cannes we Francji). Stamtąd uciekł na stronę aliancką, wziął udział w walkach w Algierii i we Włoszech.

Po wojnie, mając 25 lat, wyrusza do Rzymu, by rozpocząć przygotowanie do kapłaństwa. Święcenia przyjmuje w 1956 r. Jest księdzem zaledwie sześć lat, gdy zostaje kierownikiem Sekcji Słowiańskiej Biura Prasowego Soboru Watykańskiego II (delikatna to misja, jeśli wziąć pod uwagę manipulatorskie wysiłki władz krajów bloku socjalistycznego, by propagandowo wykorzystać Sobór). Dalsze dzieje księdza, od 1968 r. biskupa i potem arcybiskupa Szczepana Wesołego to do emerytury w 2003 r. nade wszystko duszpasterstwo polskiej emigracji.

Zmarł 28 sierpnia. Miał 91 lat. Pogrzeb odbędzie się 10 września w Katowicach.

Znał Polonię jak nikt inny. Nieustannie odwiedzał Polaków, reprezentował ich przed władzami lokalnych Kościołów, mediował w lokalnych sporach, umacniał, a nade wszystko rozumiał.

Podziwiałem talent rozjemczy biskupa Szczepana w różnych delikatnych sytuacjach. Podziwiałem go także, kiedy przewodnicząc liturgii pogrzebowej prominentnych Polonusów z emigracji, którzy niekoniecznie słynęli z wzorowego życia, potrafił tak ich ukazać, że szerzone przez stugębną (emigrancką) plotkę cienie ustępowały przed rzeczywistymi blaskami ich życia. Zawsze potrafił tak patrzeć na tych zmarłych, chyba po prostu dlatego, że powierzonych swojej opiece ludzi naprawdę znał i kochał. ©℗ KS. ADAM BONIECKI

Dzień Modlitw o Ochronę Stworzenia

NIE MOŻNA UZNAĆ za zadowalającą sytuacji ekologicznej na świecie" – napisał Franciszek w przesłaniu na obchodzony 1 września Światowy Dzień Modlitw o Ochronę Stworzenia. Papież w tym roku zwraca uwagę na kwestię wody jako podstawowego dobra, które należy chronić i udostępnić wszystkim. „Nie możemy pozwolić, aby morza i oceany były wypełnione bezwładnymi przestrzeniami pływającego plastiku" – apeluje Franciszek.

W ramach obchodów Dnia (Franciszek ustanowił go w 2015 r.) odbyła się w Asyżu ekumeniczna modlitwa z udziałem przedstawicieli anglikańskiego arcybiskupa Canterbury i prawosławnego patriarchy ekumenicznego Konstantynopola (na zdjęciu).

W Polsce Dzień Modlitw o Ochronę Stworzenia został przesunięty i rozszerzony aż do miesiąca – będzie się odbywać od 15 września do 15 października. Głównym organizatorem jest Ruch Ekologiczny św. Franciszka z Asyżu (REFA). – W pierwszy dzień nowego roku szkolnego bardzo trudno byłoby cokolwiek zorganizować – wyjaśnia przesunięcie obchodów przewodniczący REFA o. Stanisław Jaromi.

UMBRIANOTIZIEWEB.IT

Tegoroczne obchody przygotowywać będą do dużego wydarzenia ekologicznego – organizowanego przez ONZ od 3 do 14 grudnia w Katowicach światowego Szczytu Klimatycznego COP24 (podczas niego planowane jest przyjęcie pełnego pakietu wdrażającego Porozumienie Paryskie z 2015 r., czyli ogólnoświatowego planu przeciwdziałania zmianom klimatycznym). O. Jaromi ujawnia, że Franciszkowi zależy, by Kościół polski wsparł to wydarzenie. 7 października ma zostać ogłoszony „ekologiczny" list polskich biskupów. ©℗ ARTUR SPORNIAK

Pobielane groby

MACIEJ MÜLLER

To się stało w środku cywilizacji, którą dumnie nazywamy chrześcijańską. Zagładę w dużej mierze stworzyli ludzie, których wychowywały Kościoły chrześcijańskie" – powiedział abp Grzegorz Ryś w 74. rocznicę likwidacji łódzkiego getta. Wywołał falę oburzenia: zarzucono mu kalanie własnego gniazda, luki w wiedzy historycznej (bo czemu nie wskazał palcem na protestantów) i wzywano, by teraz oskarżył Żydów o udział w budowaniu komunizmu.

To krytyka, która wynika z kłopotów w posługiwaniu się logiką. Abp Ryś nie wskazywał na związek przyczynowo-skutkowy, przestrzegał natomiast, że chrześcijańskie korzenie kulturowe nie gwarantują, że nie będziemy zdolni do straszliwego zła. Na zjawisko „zbiurokratyzowanego chrześcijaństwa" zwracał uwagę Benedykt XVI, zadając pytanie nie o jakość kościelnych instytucji, ale o siłę relacji z Bogiem każdego z ochrzczonych. Struktury mogą okazać się fasadą.

„Nie tylko Hitler zabijał Żydów w imię swego rasistowskiego, pogańskiego antysemityzmu – pisał w słynnym tekście „Czarne jest czarne" ks. Stanisław Musiał SJ. – Żydów zabijał fizycznie na przestrzeni minionych stuleci także grzech antysemityzmu, jakiego dopuszczali się chrześcijanie wbrew nauce Kościoła". Brak rachunku sumienia pozostawi nas bezbronnymi wobec zła Zagłady. To dlatego podczas łódzkich obchodów abp Ryś powiedział również: „Jeśli się już to wydarzyło, to może się wydarzyć powtórnie". ©℗

W SKRÓCIE

SKARGA PREZYDENTA. Za bezkrwawą rewolucję ’89 r. „płacimy cenę” – mówił prezydent Andrzej Duda w kościele św. Brygidy w Gdańsku podczas uroczystości 38. rocznicy podpisania Porozumień Sierpniowych. Zdaniem głowy państwa „tą ceną są także choroby, które bez przerwy, choć w coraz mniejszym stopniu, drążą nasze państwo od tamtego czasu”. Wystąpienie prezydenta w liście otwartym do niego na swoim profilu społecznościowym skomentował dominikanin o. Paweł Gużyński: „Jak długo będzie Pan uprawiał politykę w koalicji lub nieformalnym sojuszu z duchownymi, tak długo mam pełne prawo protestować przeciw temu jako ksiądz”.

SKARGA POLICJI. „Zwracam się z uprzejmą prośbą do Księdza Proboszcza o uświadamianie parafian odnośnie traktowania zwierząt, jak też ich porzucania, zgodnie z nauczaniem Kościoła. Już Papież Franciszek w »Zielonej Encyklice« coraz wyraźniej mówi np. o kategorii ekologicznej moralności. Wielu działaczy na rzecz przyrody podkreśla, że gdyby księża w małych miejscowościach chętniej podejmowali te tematy, los zwierząt mógłby być znacznie lepszy” – napisał szef Komendy Powiatowej Policji w Mońkach do miejscowego proboszcza ks. Grzegorza Nienałtowskiego. Policję zaniepokoiły wałęsające się po okolicy psie watahy, zwróciła się zatem – jak czyniła to już wcześniej w innych sprawach – o pomoc do Kościoła.

SKARGA BISKUPA. „Jako biskup nie mogę się zgodzić, że powinienem donosić o przypadkach nadużyć seksualnych wśród podległych mi księży – napisał w oświadczeniu publicznym biskup senior diecezji Syros, Santorini i Krety Francesco Papamanolis. 81-letni grecki hierarcha tłumaczył, że biskup ma być dla swych kapłanów ojcem, bratem i przyjacielem. „Jaki ojciec doniósłby na swego syna, nawet jeśli popełnił on grzech zabójstwa?” – pytał retorycznie. Hierarcha nie wyjaśnił, kim biskup ma być dla ofiar.

GRZEGORZ MEHRING / ARCHIWUM ECS

Kościół musi przypominać o solidarności

„POJĘCIE SOLIDARNOŚCI jest kluczowe dla całej katolickiej nauki społecznej, to podstawowa zasada Kościoła” – powiedział kard. Reinhard Marx, przewodniczący niemieckiego Episkopatu, podczas wystąpienia w Europejskim Centrum Solidarności w rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych. Przywołując myśl ks. Tischnera przypominał, że z „innym” nie rozmawia się „dopiero wtedy, gdy stanie się taki sam. Etyka dialogu to podstawowy warunek dla etyki solidarności”. Wskazywał na zagrożenia dla jedności wynikające z nadmiernego rozwarstwienia społeczeństwa; podkreślił, że wie o podziałach Polski na wschodnią i zachodnią, miejską i prowincjonalną. „Kościół ma wielkie zadanie w świecie, który rozpada się na kawałki, w którym rośnie nienawiść” – zauważył kardynał – dlatego staje „po stronie wolności, ludzi, rodziny. Na pewno nie po stronie skrajnego nacjonalizmu”.

W kolejnym numerze „TP” opublikujemy rozmowę z kard. Marxem m.in. o moralnej konieczności przyjmowania uchodźców.

©℗ MAM

Islam potępia molestowanie

NAJWAŻNIEJSZY DLA ISLAMU sunnickiego teologiczny ośrodek – Uniwersytet Al-Azhar w Kairze – wydał fatwę potępiającą molestowanie kobiet.

Sunnici stanowią 85 proc. świata muzułmańskiego. Rektor Al-Azhar jest jednocześnie wielkim muftim Egiptu i stoi na czele Dar al-Ifta al-Misrijja, instytucji, która wydaje orzeczenia religijno-prawne (fatwy), interpretując źródła religijne i umożliwiając ich stosowanie. Są one ważne dla większości muzułmanów. Dar al-Ifta i rektor Al-Azhar zabierają więc głos w sprawach istotnych dla islamu. Np. w 2014 r. potępili IS, często piętnują też ekstremizm i fundamentalizm muzułmański.

Molestowanie kobiet jest problemem na całym świecie, czego dowodem była niedawna akcja #metoo. Jednak w Egipcie jest on wyjątkowo palący: ubożenie społeczeństwa sprawia tam, że młodzi mężczyźni nie mają środków na utrzymanie rodziny, co jest warunkiem małżeństwa, a kobiety i mężczyźni są od siebie odseparowani. Dlatego wydanie tej fatwy jest ważnym elementem walki z molestowaniem. Znaczenie ma nazwanie takiego postępowania grzechem, niezgodnym z nauczaniem islamu, a także potępienie obwiniania kobiet, że powodem molestowania może być ich ubiór czy zachowanie (ten odruch usprawiedliwiania sprawców jest wciąż spotykany także w naszej części świata).

Fatwa obciążająca winą za molestowanie wyłącznie dokonujących tych czynów mężczyzn jest więc krokiem w walce o bezpieczeństwo, swobodę i wolność kobiet.

© AGATA SKOWRON-NALBORCZYK

Autorka jest arabistką, iranistką i islamologiem-religioznawcą na Wydziale Orientalistycznym Uniwersytetu Warszawskiego.

Droga do neo-Nobla

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Po skandalu, który sparaliżował szwedzką Akademię i doprowadził do odwołania tegorocznej edycji literackiego Nobla, powstała Nowa Akademia i tymczasowa nagroda alternatywna. Najpierw szwedzcy bibliotekarze wskazali 47 kandydatów (wśród nich 12 ze Szwecji...), teraz w głosowaniu (ogólnoświatowym!) wyłoniono – chyba z niewielką pomocą jury, bo z góry założono parytet – finałową czwórkę.

W szerszym gronie znaleźli się Margaret Atwood, Don DeLillo, Amos Oz, Thomas Pynchon, a także Olga Tokarczuk, żadne z nich jednak do finału nie trafiło. Z dorocznych potencjalnych noblistów jest w nim tylko Japończyk Haruki Murakami (i mam nadzieję, że nie wygra). Obok – Brytyjczyk Neil Gaiman (ur. 1960), gwiazda popkultury i pisarz wybitny, choć uprawiający gatunki przez Akademię pomijane: komiks („Sandman"!), fantasy i horror. No i dwie autorki francuskojęzyczne: pochodząca z karaibskiej Gwadelupy Maryse Condé i mieszkająca w Kanadzie Wietnamka Kim Thúy.

Condé (ur. 1937) wraca do epoki kolonialnej z perspektywy ofiar; bohaterką tłumaczonej na polski powieści „Ja, Tituba, czarownica z Salem" jest czarna niewolnica, jedna z oskarżonych w słynnym procesie. Kim Thúy urodziła się w 1969 r. w Sajgonie; po opanowaniu Wietnamu Południowego przez komunistów jej rodzina zdecydowała się na ucieczkę. „Ru", wydana również u nas debiutancka powieść Thúy, opowiada o wietnamskim dzieciństwie, doświadczeniu *boat people* i wrastaniu w nowy świat kanadyjskiego Quebecu. Laureata (może jednak laureatkę?) poznamy 12 października. ©℗

Świadoma rybka?

WARGATEK SANITARNIK to pierwsza ryba, u której stwierdzono zdolność rozpoznawania się w lustrze. Tak przynajmniej twierdzi zespół Masanoriego Kohdy z Uniwersytetu w Osace w artykule udostępnionym w serwisie „BioRxiv" (czyli jeszcze przed jego publikacją w recenzowanym czasopiśmie). Wcześniej tę samą zdolność zidentyfikowano, oprócz ludzi, tylko u kilku gatunków ssaków i ptaków.

Najpierw wargatki zaznajomiono z działaniem lustra – większość osobników początkowo reagowała na swoje odbicie agresywnie. Następnie nałożono im nad oczami niewielką ilość kolorowego lub bezbarwnego żelu i obserwowano, czy zachowanie rybek zmieni się, gdy spojrzą w lustro. Autorzy piszą, że faktycznie tak się stało – osobniki z kolorową plamką zaczęły wykonywać ruchy charakterystyczne dla pozbywania się pasożytów z własnego ciała.

Obiekt badań wytypowany został nieprzypadkowo – ten gatunek żywi się pasożytami żerującymi na skórze większych ryb, co wymaga umiejętności społecznych oraz – co ważne ze względu na procedurę „testu lustra" – wyostrzonego wzroku. Wygląda na to, że albo wargatek to bardziej wyjątkowa ryba, niż sądziliśmy, albo rozpoznawanie się w lustrze to nie aż tak wyjątkowa umiejętność, jak twierdzi wielu kognitywistów. Nie ujmując niczego wargatkom – może już czas przestać tak się ekscytować testem lustra? ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

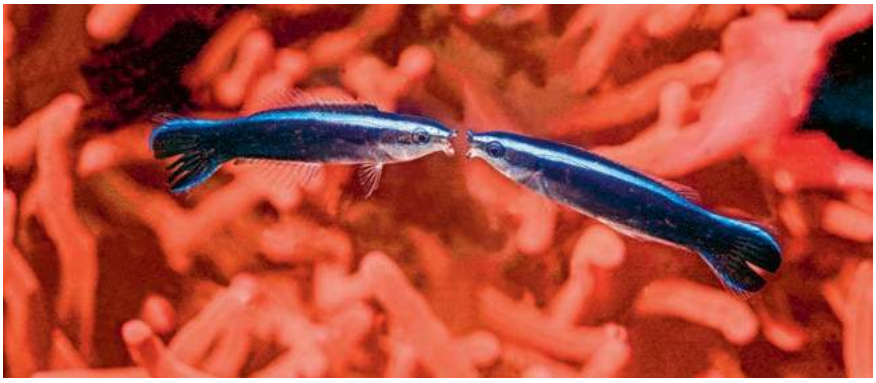

HELMUT CORNELI / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

AIRBUS.COM / MAT. PRASOWE

Norwedzy elektryfikują lotnictwo

NAFCIARZE EUROPY MAJĄ DOŚĆ SPALIN. Już ponad połowa samochodów rejestrowanych w Norwegii to hybrydy lub auta elektryczne. A to dopiero początek. Oslo chce zelektryfikować lotnictwo.

W 2040 r. wszystkie krótkodystansowe loty w kraju mają być obsługiwane przez elektryczne samoloty. Zamiast pijących ropę latających wielorybów, miasta Norwegii mają połączyć pasażerskie maszyny brzęczące jak komary.

Na razie to fantastyka, bo do największego elektrycznego samolotu z trudem wcisną się dziś 4 szczupłe osoby. O bagażu można zapomnieć, a posiłek to co najwyżej kanapka w kieszeni.

Norwedzy chcą jednak rozpisać konkurs na budowę 19-osobowej maszyny i uruchomić próbną trasę już w 2025 r. Nie chodzi tylko o środowisko. Góry, fiordy i wyspy komplikują transport. Trasy, które samochodem trzeba pokonywać godzinami, samolot pokona w kwadrans. Pierwszy elektryczny lot odbył już minister transportu Ketil Solvik-Olsen, który w lipcu zrobił rundę nad Oslo. Bagażu nie wziął.

Co najmniej sto firm, w tym Airbus i Boeing, pracuje nad spełniającymi norweskie wymogi projektami, choć na razie mowa o hybrydach, których elektryczne silniki będą wspomagane przez generator. Mają być przez to lżejsze i bardziej niezawodne. Europejski prototyp może polecieć w 2020 r. Amerykański – dwa lata później.

Tymczasem w 2015 r. komercyjne samoloty wyprodukowały 781 mln ton CO_2. To około 2 do 3 procent całej produkcji ludzkości. Do 2050 r. ten odsetek ma się potroić.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TEMAT TYGODNIKA

MILCZENIE PAPIEŻY

W tle skandalu obyczajowego w Kościele toczy się walka z Franciszkiem. Głównym obiektem zainteresowania jest instytucja – władza, autorytet, morale – a nie skrzywdzony przez nią człowiek.

EDWARD AUGUSTYN, MARCIN ŻYŁA

Grała muzyka i serwowano meksykańskie dania. Na jednym z dziedzińców Muzeum Watykańskiego trwało przyjęcie z udziałem najwyższych urzędników rzymskiej kurii. I choć kard. Pietro Parolin, papieski sekretarz stanu, mówił tego wieczoru, że „w Watykanie panują gorycz i niepokój", życie za Spiżową Bramą toczyło się normalnym rytmem. Była środa, 29 sierpnia. Od czterech dni media karmiły się sensacyjnym listem abp. Carla Marii Viganò, b. nuncjusza w Waszyngtonie, który oskarżał Franciszka o ukrywanie homoseksualizmu kard. Theodore'a McCarricka, przez lata czołowej postaci amerykańskiego Kościoła – i wzywał papieża do dymisji.

MAX ROSSI / REUTERS / FORUM

Kard. Theodore McCarrick, Watykan, 2013 r.

„Świadectwo abp. Carla Marii Viganò, arcybiskupa tytularnego Ulpiany i nuncjusza apostolskiego" opublikowano w nocy z 25 na 26 sierpnia jednocześnie w trzech językach (po włosku, hiszpańsku i angielsku), w pięciu tytułach prasowych. Jak wyjaśniali dziennikarze współodpowiedzialni za przygotowanie włoskiego oryginału – Marco Tosatti i Aldo Maria Valli – prace nad nim trwały od marca. Na moment publikacji wybrano powrót papieża ze Światowego Kongresu Rodzin w Irlandii. Niespełna dwa tygodnie wcześniej Wielka Ława Przysięgłych w Pensylwanii ogłosiła raport o seksualnym wykorzystywaniu dzieci przez księży. I choć „świadectwo" abp. Viganò nie ma z nim – ani z tematem pedofilii – nic wspólnego, autorzy wykorzystali atmosferę powszechnego oburzenia na „seksualne nadużycia w Kościele".

Papież nie chciał komentować zarzutów byłego nuncjusza. Pytany przez dziennikarzy podczas powrotnego lotu do Rzymu potwierdził, że widział list, ale dodał, że nie będzie się na jego temat wypowiadał. „Dokument mówi sam za siebie. Przeczytajcie uważnie i sami osądźcie".

Tak rozpoczął się tydzień, który powiedział nam dużo o współczesnym Kościele.

Sankcje ustne i sekretne

List 77-letniego abp. Viganò liczy 11 stron i zaczyna się od wezwania do oczyszczenia „cuchnącego bagna", w jakim znalazł się Kościół, i przełamania „mafijnej zmowy milczenia", która łączy biskupów i księży. Zaraz potem były nuncjusz informuje, że będąc (w latach 1998–2009) urzędnikiem Sekretariatu Stanu odpowiedzialnym m.in. za opiniowanie kandydatów do urzędów kościelnych, miał dostęp do teczek personalnych. Stąd wie, że już w 2000 r. nuncjatura w USA informowała Watykan o niemoralnym prowadzeniu się bp. McCarricka. Z listu o. Boniface'a Ramseya, profesora seminarium w Newark (diecezji, którą zarządzał McCarrick), wynikało, że hierarcha przez wiele lat wykorzystywał seksualnie kleryków, których zapraszał do swego domu na plaży. Oskarżenia te nie zapobiegły nominacji McCarricka na arcybiskupa Waszyngtonu i nadaniu mu godności kardynalskiej przez Jana Pawła II (zob. infografika), o co jednak Viganò nie oskarża ówczesnego papieża, zrzucając winę na jego sekretarza stanu, kard. Angela Sodano.

Kolejne informacje na temat niemoralnego kardynała miały trafić do Watykanu w 2006 i 2008 r. Był to m.in. obszerny raport o Richarda Sipe'a, benedyktyna, psychoterapeuty, który jako pierwszy tropił seksualne nadużycia w Kościele w USA. Abp Viganò osobiście dostarczył je kolejnemu sekretarzowi stanu, kard. Tarcisio Bertonemu, który również je ukrył – tym razem przed Benedyktem XVI. Dzięki temu McCarrick wciąż cieszył się zaufaniem papieża, tak że nawet po osiągnięciu wieku emerytalnego (2005 r.) i złożeniu dymisji pozostał na urzędzie jeszcze przez rok. Według Viganò dopiero w 2009 lub 2010 r. papież miał się dowiedzieć prawdy o emerytowanym kardynale i nałożyć na niego sankcje: nakazał mu „opuścić seminarium, w którym mieszkał, zabronił publicznego odprawiania mszy, uczestniczenia w konferencjach i zjazdach, podróżowania i zobowiązał do poświęcenia się modlitwie i pokucie". Sankcje te zostały ogłoszone kardynałowi „ustnie i w sekrecie" przez ówczesnego (dziś już nieżyjącego) nuncjusza w USA, abp. Pietra Sambiego.

Viganò: papież powinien ustąpić

Choć Viganò nie jest w stanie udowodnić, że taka kara została rzeczywiście na emerytowanego kardynała nałożona, dziennikarzom udało się ustalić, że McCarrick faktycznie wyprowadził się z seminarium. Nie zaprzestał jednak aktywności: był zapraszany na uroczystości kościelne, występował na konferencjach (także w Polsce, gdzie na UKSW podczas panelu na temat bezpieczeństwa dyskutował m.in. z Antonim Macierewiczem), spotykał się z politykami, patronował przedsięwzięciom charytatywnym. Z samym tylko Benedyktem XVI trzykrotnie spotkał się osobiście, celebrował też z innymi biskupami mszę przy grobie św. Piotra.

W czerwcu 2013 r. abp Viganò spotkał się z nowo wybranym papieżem Franciszkiem i, jak twierdzi, poinformował go o zarzutach, które zgromadzono w Watykanie przeciwko McCarrickowi, a także o sankcjach, które miał nałożyć na kardynała Benedykt XVI. Papież pominął milczeniem jego słowa i to milczenie – według arcybiskupa – trwało kolejne pięć lat, dopóki nie pojawiły się oskarżenia o molestowanie ↦

Historia kard. Theodore'a McCarricka

Wersja abp. Carla Marii Viganò (na podst. jego listu)

listopad 2000 zostaje biskupem Waszyngtonu

luty 2001 nominacja kardynalska

listopad 2000 do Watykanu trafiają pierwsze oskarżenia kard. McCarricka (list Ramseya)

2005 dymisja ze względu na wiek; pozostaje na stanowisku do maja 2006 r.

2010-2018 aktywny udział w życiu Kościoła w USA i za granicą; trzykrotnie odwiedza Watykan; na przyjęciu ku jego czci laudację wygłasza abp Viganò

luty 2013 bierze udział w prekonklawe po dymisji papieża

2006–2008 kolejne oskarżenia (zeznanie Littletona, i raport Sipe'a)

2009 lub 2010 wg Viganò papież napomniał kard. McCarricka i zakazał mu m.in. publicznych wystąpień i podróży

20 czerwca 2018 publiczne oskarżenie o molestowanie osoby nieletniej

28 lipca 2018 dymisja kardynalska, proces kanoniczny

23 czerwca 2013 Viganò informuje Franciszka o zarzutach wobec McCarricka

sierpień 2018 abp Viganò publikuje list i wzywa papieża do dymisji

INFOGRAFIKA: EDWARD AUGUSTYN
FOTO: EAST NEWS / DOMENA PUBLICZNA (X4)

↦ nieletniego (dotyczyło wydarzeń z początku lat 70. XX w.). Dopiero wobec takich zarzutów nastąpiła zdecydowana reakcja: w lipcu tego roku McCarrick został nakłoniony do zrzeczenia się godności kardynalskiej i rozpoczęto wobec niego tzw. proces kanoniczny.

Viganò kończy swoje „świadectwo" wezwaniem Franciszka do dymisji, która miałaby być przykładem dla pozostałych biskupów i kardynałów, od lat znających prawdę o kard. McCarricku, lecz ukrywających jego postępki.

Fakty i uprzedzenia

Milczenie Franciszka w sprawie listu abp. Viganò sprowokowało dziennikarzy do pracy. Zaczęto sprawdzać fakty, wykazywać nieścisłości i dociekać motywów działania b. nuncjusza, a także przypominać wydarzenia z życia (które dla jednych są dowodem bezkompromisowości, dla innych – awanturnictwa), wyciągając na światło dzienne sprawy osobiste i rodzinne.

Uważna lektura „świadectwa" pokazuje, że podane fakty i informacje (do których autor, jako urzędnik najpierw Sekretariatu Stanu, a potem nuncjusz miał swobodny dostęp i których prawdziwości trudno zaprzeczyć, dopóki sami oskarżani nie wykażą, że sprawy wyglądały inaczej) swobodnie mieszają się z przypuszczeniami i wyobrażeniami abp. Viganò. A nawet z jego uprzedzeniami.

Arcybiskup wspomina np., że gdy został przedstawiony Franciszkowi jako nuncjusz w Waszyngtonie, papież powiedział mu: „Biskupi w Stanach powinni bardziej zająć się duszpasterstwem, a mniej walką ideologiczną". Kiedy więc miesiąc później dowiedział się, że dokładnie te same słowa wypowiedział kard. McCarrick w Dallas, podczas międzynarodowego sympozjum bioetyków, uznał to za dowód, że papież słucha rad McCarricka i jest pod jego wpływem (choć z równym prawdopodobieństwem można było przyjąć, że jest dokładnie odwrotnie).

Viganò przytacza też inne zdarzenie. Franciszek zapytał go ponoć: „Jak tam kard. McCarrick?". Arcybiskup odpowiedział, że w Watykanie mają obszerne *dossier* na ten temat, a kardynał „zgorszył wiele pokoleń kleryków i kapłanów". Jak pisze nuncjusz, papież „nie wykazał najmniejszego zaskoczenia, jakby sprawa była mu znana od dawna, i szybko zmienił temat". Zastanawia się, z jakiego zatem powodu Franciszek pytał go o kardynała. I sam sobie odpowiada: „Ewidentnie chciał się upewnić, czy jestem po stronie McCarricka, czy nie".

Pytania o poprzedników

Co ciekawe: milczenie, o które oskarża Franciszka, w oczach Viganò w żaden sposób nie obciąża równie długo milczących poprzedników obecnego papieża: Benedykta XVI („nie wierzę, że może za to odpowiadać papież, który w pierwszych miesiącach pontyfikatu zajął twarde stanowisko przeciwko przyjmowaniu do seminarium osób ze skłonnościami homoseksualnymi") i Jana Pawła II („czy za nominacją do Waszyngtonu stał Sodano, gdy Jan Paweł II był już chory? Tego nie wiem. Ale są podstawy, by tak myśleć"). W świetle coraz głośniej stawianych pytań o nadzór – a raczej jego brak – dwóch poprzednich papieży nad duchownymi dopuszczającymi się podobnych co McCarrick czynów logika wywodu Viganò wydaje się dość wątpliwa.

Ostatnie trzy strony listu są zresztą spisem nazwisk wysokich rangą kardynałów i biskupów – nikogo chyba nie zdziwi, że zaliczających się do najbliższych współpracowników Franciszka – którzy, zdaniem Viganò, są współwinni kłamstwa, wywracania doktryny Kościoła, promowania homoseksualistów na wysokie stanowiska. Dostaje się też jezuitom – a dokładnie „wykolejonemu skrzydłu Towarzystwa Jezusowego, dziś, niestety, większościowemu" – za zniszczenie systemu katolickiej edukacji, wspieranie ruchów *pro-choice* i propagowanie homoseksualizmu.

Dowody tożsamości

I tak dochodzimy do istoty listu arcybiskupa. Przypadek kard. McCarricka (którego czyny dopiero Franciszek zdecydowanie napiętnował i ukarał) jest pretekstem do oskarżenia obecnego papieża i jego współpracowników o pobłażliwość, a wręcz życzliwość wobec „homoseksualnego lobby" panoszącego się od lat w Watykanie i – w konsekwencji – niemal we wszystkich kościelnych instytucjach. Dowodów na istnienie tego lobby Viganò nie podaje, znów potwierdza się więc zasada: brak dowodów jest najlepszym dowodem spisku.

Założenie, że taka „grupa wsparcia" w ogóle istnieje, jest nie tylko trudne do udowodnienia, ale samo w sobie obraźliwe. Oznacza, że homoseksualiści

w Kościele znają się i rozpoznają (w domyśle: nawiązują ze sobą relacje seksualne, a więc łamią złożone śluby). Z pewnością dużo łatwiej wykazać działanie w kościelnych instytucjach innych „lobby": karierowiczów czy osób połączonych wspólnymi, nie zawsze czystymi interesami ekonomicznymi. Jednak według Viganò i współredaktorów jego tekstu właśnie „lobby homoseksualne" odpowiedzialne jest nie tylko za wzajemne windowanie na szczyty kariery, ale również – a właściwie przede wszystkim – za pedofilskie afery w Kościele. I choć raporty policyjne – jak choćby te udostępnione przez Ławę Przysięgłych w Pensylwanii – pełne są drastycznych opisów gwałtów i seksualnej przemocy także wobec dziewczynek, twórcy „listu Viganò" są przekonani, że za większość z nich odpowiadają homoseksualiści.

Sandro Magister, watykanista tygodnika „L'Espresso", przypomniał na marginesie oskarżeń abp. Viganò wydarzenie z pierwszych miesięcy pontyfikatu Franciszka, kiedy to na dyrektora Domu Świętej Marty mianowany został prałat Battista Ricca, kilkanaście lat wcześniej bohater gejowskiego romansu i paru skandali obyczajowych, do których doszło podczas jego pobytu na placówce dyplomatycznej w Urugwaju. Pytany o tę nominację papież odpowiedział (cytat za oficjalną stroną Watykanu): „Dużo się pisze o lobby gejowskim. Jak dotąd nie spotkałem w Watykanie nikogo, kto by miał w dowodzie tożsamości zapisane: »gej«. Mówią, że tacy są. Ale jeśli mamy do czynienia z osobą o takiej orientacji, musimy odróżnić homoseksualizm od lobbingu, bo to lobbowanie jest niedobre, to ono jest złem. Jeśli ktoś jest homoseksualistą, a poszukuje Pana Boga, i ma dobrą wolę, kimże ja jestem, aby go osądzać?".

Zmiana frontu

Takie słowa nie mogły się spodobać kościelnym konserwatystom, dla których homoseksualizm jest zboczeniem czy, w najlepszym wypadku, „wynaturzeniem". Franciszkowe zrozumienie dla osób o takiej orientacji, traktowanie ich problemów z zachowaniem czystości na równi z grzechami i słabościami osób heteroseksualnych jest – zdaniem obrońców Viganò – niewybaczalnym błędem i deformacją tradycyjnego nauczania.

Warto zauważyć, że list byłego nuncjusza został opublikowany i jest uznawany za przejaw troski o ład i porządek w Kościele przez tych samych autorów i te same środowiska, które od 2013 r. krytykują papieża Franciszka, nie zgadzając się z jego poglądami i nauczaniem. Wcześniejsze protesty zdążyły się wypalić – wiernych nie rozgrzewają już teologiczne dysputy wokół adhortacji „Amoris laetitia" i oskarżanie papieża o herezję (dodajmy, że abp Viganò był jednym z hierarchów, którzy publicznie protestowali przeciwko dopuszczaniu do komunii osób rozwiedzionych). Reforma kurii rzymskiej i finansów Watykanu grzęźnie w szczegółach, które trudno zwykłemu człowiekowi wytłumaczyć. Co innego sprawy tak bulwersujące i nośne, jak pedofilia i nadużycia seksualne w Kościele. Środowiska ultrakonserwatywne, które jeszcze kilka lat wcześniej zaprzeczały problemowi i starały się za wszelką cenę umniejszać jego skalę, dziś wiodą prym w obwinianiu o jego powszechność „liberałów, lewaków i gejów". Po szokującym raporcie z Pensylwanii trzeba było znaleźć winnych, a tacy zawsze są pod ręką.

Co oznacza milczenie

Milczenie papieża w sprawie listu byłego nuncjusza zinterpretowano dwojako. Rzadziej – w kontekście ujawnianych dzień po dniu nieścisłości w argumentacji Viganò – jako wyraz przenikliwości Franciszka. Częściej (w świetle oskarżeń o niereagowanie przez papieża na dowody niemoralnego postępowania kard. McCarricka) jako dowód jego winy. Jak zwykle głosy podzieliły się na zwolenników i przeciwników całego pontyfikatu.

Do wyobraźni tych drugich przemawiały m.in. konspiracyjne okoliczności udostępnienia przez Viganò treści listu Aldo Marii Vallemu. Przypominały one, wedle relacji tego drugiego, sceny z książek Dana Browna: oto arcybiskup umawia się z dziennikarzem z dala od murów Watykanu, w czapce bejsbolówce; spotkanie przeradza się w rozmowę o zagrożeniu, w jakim znalazł się Kościół w czasie obecnego pontyfikatu; na koniec Viganò oświadcza, że kupił już bilety lotnicze, aby po publikacji listu wyjechać z kraju. „Nie może mi powiedzieć, dokąd. Mam go ↦

REKLAMA

↦ nie szukać. Jego stary telefon komórkowy nie będzie działał. Mówimy sobie »do widzenia« po raz ostatni" – tak opisywał spotkanie Valli.

To właśnie w jego stronę – oraz pozostałych związanych z publikacją listu dziennikarzy – skierowała się pierwsza krytyka. „Świadectwo" współredagował przecież Marco Tosatti, b. współpracownik słynnego egzorcysty o. Gabriele'a Amortha, organizator kwietniowej konferencji „Dokąd zmierzasz, Kościele?", która zgromadziła w Rzymie hierarchów niezgadzających się z Franciszkową wizją Kościoła. Redaktorem wersji anglojęzycznej był z kolei Edward Pentin, rzymski korespondent konserwatywnego „National Catholic Register".

Łącznikiem środowiska watykanistów współpracujących z abp. Viganò ze światem amerykańskich mediów – i po części odpowiedzialnym za rozgłos, jakiego sprawa nabrała w Stanach Zjednoczonych – był zaś Timothy Busch, prawnik zasiadający w radzie nadzorczej wpływowej konserwatywnej sieci telewizyjnej EWTN z Alabamy. Busch jest także współzałożycielem Napa Institute, organizatora wzorowanych na słynnych konferencjach z cyklu TED spotkaniach dla ultrakonserwatywnych katolików, których celem, jak pisze „Washington Post", jest przygotowanie ich do nowej epoki: Next America (Następna Ameryka) – ery, w której chrześcijanie będą zmuszeni funkcjonować w całkiem zsekularyzowanej Ameryce. Za miesiąc, pod hasłem „Authentic Reform", Napa Institute organizuje kolejną konferencję w Waszyngtonie. A sam Busch nie kryje swoich ambicji: chciałby przewodzić świeckiemu ruchowi konserwatywnemu w Ameryce.

Kościół w USA: trzęsienie ziemi

To właśnie na łamach „National Catholic Register" i innych mediów należących do konglomeratu EWTN najczęściej domagano się w minionym tygodniu dymisji Franciszka. Nic dziwnego, że pojawiły się podejrzenia o to, że za Viganò stała wyraźnie motywowana politycznie agenda. Owe „sześć dni, które wstrząsnęły amerykańskim katolicyzmem" – pisze Austen Ivereigh, brytyjski biograf Jorgego Bergoglia – ujawniło smutny rozłam w amerykańskim Kościele: pomiędzy większością hierarchów pozostających w komunii ze Stolicą Piotrową i mniejszością półschizmatyckich biskupów, którzy, zanim zbadano dowody, uznali Viganò za wiarygodnego." Był to jednak – kontynuuje Ivereigh – dobry tydzień dla wielu katolickich dziennikarzy, „których śledztwa, prowadzone bez strachu bądź sympatii [dla kogokolwiek], pomogły, w ogólnym zamieszaniu, wskazać prawdę". Dla Brytyjczyka, który milczenie papieża od początku interpretował jako świadomą zachętę dla reporterów do sprawdzenia rewelacji Viganò, jest to moment przełomowy w historii kontaktów papiestwa z mediami.

> W jednym strony sporu się zgadzają: bardziej niż kolejnych dokumentów **Kościołowi potrzeba świętych kapłanów.**

List Viganò obnażył tak głębokie podziały wśród amerykańskiej hierarchii, że dziennik „New York Times" nazwał spór wokół niego „katolicką wojną domową". Franciszek, który w odróżnieniu od wielu lokalnych biskupów nie widzi Kościoła na pierwszej linii frontu „wojen kulturowych" w takich sprawach jak aborcja czy kontrola urodzin, został szybko zaatakowany przez „biskupów Fox News" (czyli konserwatywnych).

Papież może wszystko

Przeciwstawienie dobrego Benedykta XVI złemu Franciszkowi to druga, obok wątku homoseksualnego lobby, oś opublikowanego świadectwa. Problem wydaje się kluczowy: jeśli Benedykt XVI nie nałożył żadnej kary na McCarricka, choć wiedział o ciążących na nim zarzutach, należałoby go, podobnie jak Franciszka, oskarżyć o bezczynność. Viganò nie podaje żadnego dowodu, że takie sankcje zostały nałożone, każąc nam zaufać jedynie swojemu słowu. Co prawda kilka dni po wybuchu afery mecenas Timothy Busch informował, że „z dobrze poinformowanych źródeł" dowiedział się, iż Benedykt XVI potwierdza nałożenie kary na McCarricka, to jednak już kolejnego dnia stanowcze *dementi* wydał sekretarz papieża emeryta, abp Georg Gänswein, nazywając informacje Buscha „czystym fake newsem".

Wydawać by się mogło, że gdzie jak gdzie, ale w tak zbiurokratyzowanej instytucji, jak rzymska kuria, każda taka decyzja powinna być na piśmie. Kodeks Prawa Kanonicznego stwierdza, że kara, a nawet upomnienie czy nagana „powinny być zawsze możliwe do stwierdzenia, przynajmniej na podstawie jakiegoś dokumentu przechowywanego w tajnym archiwum kurii" (kan. 1339, par. 3). Nie oznacza to jednak, że abp Viganò kłamie, upierając się przy ustnej i sekretnej formie upomnienia McCarricka. Kolejny kanon kodeksu dopowiada bowiem, że za „tajne przekroczenie [prawa] nie należy nigdy nakładać pokuty publicznej". Przepis wydaje się absurdalny i gorszący, jednak pamiętać należy, że w tamtym czasie zarzuty dotyczyły „grzesznego życia" kardynała (o przestępstwo po raz pierwszy publicznie oskarżono go dopiero w czerwcu 2018 r.). Z grzechami Kościół potrafi sobie radzić – księża i biskupi są tu specjalistami: rozgrzeszają, nakładają pokutę, nawet tajną. W przypadku przestępstw – zwłaszcza tych najcięższych – sposoby postępowania były dopiero opracowywane. A na pytanie, czy papież mógł nałożyć na niemoralnego kardynała karę ustnie i w sekrecie, również odpowiada Kodeks, stwierdzając, że Biskup Rzymu ma – w zakresie wiary, obyczajów i dyscypliny – władzę „najwyższą, pełną i bezpośrednią", którą może sprawować „zawsze w sposób nieskrępowany". Mówiąc krótko: papież może wszystko.

Bez względu więc na to, czy kard. McCarrick otrzymał naganę „z wpisaniem do akt", czy jedynie ustną – pewne jest, że nikt jej nie egzekwował. Nic również nie wskazuje na to, by ktoś jej nieprzestrzeganie zgłaszał. Osobą najbardziej odpowiednią do tego celu był zresztą papieski nuncjusz w USA, czyli sam abp Viganò. On zaś tłumaczył portalowi LifeSiteNews, że choć wiedział, iż kard. McCarrick nie stosuje się do kar nałożonych przez Benedykta, to nie mógł ich egzekwować, bo były nałożone „w sposób tajny i prywatny". Z pewnością upublicznienie czynów niemoralnego kardynała, w tamtym czasie wciąż wiodącej postaci amerykańskiego Kościoła, wywołałoby gigantyczny skandal. Co jednak nie oznacza, że nie trzeba było informować papieża o problemie. Ani że za niemoralnego i nieposłusznego kardynała należało wznosić toasty.

O ofiarach się nie mówi

Cytowany wcześniej Austen Ivereigh, który mocno zaangażował się w obronę Franciszka, pozwolił sobie na ironiczne spostrzeżenie: „Najpoważniejszym zarzu-

tem pod adresem Franciszka jest to, że w 2013 r. wiedział, lecz nie wdrożył sankcji, których nigdy nie ogłoszono publicznie i nie zastosowano wobec emerytowanego od dawna kardynała, który dekady wcześniej uprawiał seks z dorosłymi". Ale uwaga, jaką komentatorzy poświęcali wewnętrznym konfliktom w Watykanie, jest też częścią problemu: obiektem zainteresowania listu Viganò oraz dyskusji jest instytucja (władza, autorytet, morale), a nie skrzywdzony przez nią człowiek. Nawet obrońcy obecnego pontyfikatu podczas trwającej już kilkanaście dni dyskusji na temat kard. McCarricka i papieża Franciszka najmniej mówią o najważniejszym – w tym przypadku o klerykach z Newark, którzy wiele lat temu padli ofiarą nadużyć władzy w Kościele. Choć najciekawsze dla mediów są watykańskie „walki buldogów" – i to ich wynik w dużej mierze zdecyduje o kierunku, w którym pójdzie w przyszłości Kościół – trauma ofiar jest niemal niezauważana. Sprawa Viganò przykryła też miażdżący dla Kościoła raport na temat nadużyć w Pensylwanii.

Tymczasem gdzieś na końcu problem można sprowadzić właśnie do człowieka. Aldo Maria Valli, jeden z konstruktorów afery abp. Viganò, napisał po kilku dniach na swoim portalu: „Nie mówi się o tym wcale, albo bardzo rzadko, że obecny kryzys to kryzys kapłaństwa i biskupstwa: najważniejszych i niezastąpionych postaci w życiu Kościoła. Kryzys duchowy, o korzeniach teologicznych, bardziej niż kryzys instytucjonalny".

Mimo wszystkich różnic, oskarżeń i nieukrywanej wrogości do Franciszka ta diagnoza wydaje się bliska temu, co powtarza papież. Tyle że dla Franciszka kryzys objawia się w klerykalizmie i nadużywaniu władzy, a dla jego oponentów – o czym pisze Valli – w odejściu od tradycyjnego spojrzenia na kapłaństwo i biskupstwo, których autorytet naiwnie wyprowadzają z samego faktu święceń. „Bardziej niż długich dokumentów potrzeba nam dziś świętych kapłanów" – pisze Valli.

W tym – jedynym momencie – ultrakonserwatyści zgadzają się z Franciszkiem.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

MARCIN ŻYŁA

MACIEJ ŁUCZNIEWSKI / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Protest przeciwko molestowaniu dzieci przez księży, Warszawa, 26 sierpnia 2018 r.

Zdradzeni przez Kościół

TIM LENNON, PREZES SNAP:

Będą się za nas modlić, odprawią pokutę, ominą w ramach postu posiłek... Jaki to ma związek z ochroną dzieci?

ZUZANNA RADZIK: Zaskoczył Pana raport z Pensylwanii?

TIM LENNON: Nie. Widzieliśmy w USA inne śledztwa, działanie Wielkiej Ławy Przysięgłych w stanie New Hampshire, postępowanie w Los Angeles. Pensylwania pokazała, że to, co działo się w tamtych diecezjach, działo się wszędzie. Nikt już nie może powiedzieć, że to tylko przeszłość albo lokalny problem Bostonu czy Los Angeles. Problem dotyczy wszystkich diecezji w Stanach Zjednoczonych.

Wielu uważało, że po Bostonie wszystko się zmieniło.

Dla nas, organizacji zrzeszającej ofiary, to, że jest inaczej, nie jest żadnym zaskoczeniem. Ale u zwykłych ludzi, wiernych i parafian, widać wiele złości i zranienia. Słyszymy od katolików, że czują się zdradzeni i oszukani przez hierarchię. Zwłaszcza gdy zaczynają rozumieć, że to, co wydarzyło się w Pensylwanii, mogło wydarzyć się także w ich parafii.

Papież powiedział, że powinniśmy być solidarni z ofiarami, ale nikt nie spytał ofiar, co to powinno znaczyć. Co powinniśmy robić: każdy z nas jako katolik i wszyscy jako wspólnota?

Ludzie zrzeszeni w SNAP zostali zdradzeni przez Kościół 20–30 lat temu, więc nie oczekujcie od nich partnerstwa. Do zmiany doprowadzą społeczeństwo obywatelskie i państwo – policja, prokuratorzy i dziennikarze śledczy.

Kościół wiedział o tych trzystu księżach, których opisano w raporcie z Pensylwanii, i nie zrobił nic. Zostali przyłapani, więc mają kłopot. Ale to nie wystarczy. Mamy 50 stanów: jeśli rzutować na całe Stany Zjednoczone liczbę sprawców z Pensylwanii, dostaniemy lekko licząc ponad 15 tysięcy sprawców w jednej instytucji. Jak mówić o partnerstwie z Kościołem, jeśli ma on za sobą tyle lat tuszowania problemu, przesuwania księży z parafii do parafii, chowania głowy w piasek, zaprzeczania, zastraszania ofiar?

↦

↦ Nie jesteśmy więc zainteresowani współpracą z Kościołem. Co nie zmienia faktu, że odpowiedzialnością katolików, zwykłych parafian, także waszych czytelników, jest dążenie do zmian w tej instytucji. Ja już nie jestem jej członkiem – to pytanie do was, jakiego Kościoła chcecie i jakich chcecie przywódców.

Czegoś Pan pewnie jednak oczekuje.

Papież i wielu biskupów przeprasza i potępia molestowanie. Są tacy, którzy umywali nogi ofiarom. Ale to nie jest zmiana. To nie chroni dzieci. Potrzebne są działania, nie przeprosiny i potępienia.

Chciałbym, by papież napisał jedno zdanie. W końcu jesteście hierarchiczną instytucją, więc jej zwierzchnik mógłby zażądać, by każda diecezja świata zgłaszała molestowanie na policję. To przecież wciąż różnie wygląda, np. w Austrii na aresztowanie księdza zgodnie z konkordatem potrzebna jest zgoda biskupa.

W Polsce znowelizowano prawo świeckie i za niezgłoszenie pedofilii grożą sankcje karne.

To dobrze. Inną rzeczą, jaką papież mógłby zrobić, jest otwarcie archiwów. W jednej z diecezji Pensylwanii, w Harrisburgu, przed raportem Ławy Przysięgłych wiadomo było o dziesięciu księżach, teraz wiemy już o siedemdziesięciu. To znaczy, że biskupi znali ich historię i nie powiedzieli o niej swojej wspólnocie. Kto wie, ile dzieci zostało przez to skrzywdzonych?

Dlaczego jawność ma takie znaczenie?

Większość skrzywdzonych jako dzieci nigdy o tym nie opowie. Sam nie mówiłem przez 30 lat. Gdy wszystko jest w ukryciu, ofiary cierpią w milczeniu. Kościół powinien otworzyć archiwa, a potem zwrócić się do parafii, w których pracowali molestujący księża, i powiedzieć do ofiar: „wierzymy wam, jak możemy pomóc?". W zwykłym ludzkim odruchu.

Jak się Pan czuje z tym, że uwaga przesunęła się z ofiar na wojnę na górze między kardynałami?

W USA tak się nie stało. Przez kilka dni gazety cieszył watykański spektakl, w sprawie ofiar wciąż się jednak dużo dzieje. Wezwaliśmy Departament Sprawiedliwości do wszczęcia śledztwa federalnego, podobnego do tych w Australii i Irlandii. Zabiegamy o analogiczne do tego z Pensylwanii śledztwa we wszystkich pozostałych stanach, bo podobne rzeczy z pewnością działy się w innych diecezjach. Już wiemy, że siedem czy osiem stanów rozważa taką możliwość. Społeczeństwo dało nam wielkie wsparcie. Widzimy duże zainteresowanie katolickich organizacji i grup z poszczególnych parafii, które czują, że pisanie czy rozmowa z biskupem nie wystarczą. Pomaga też uwaga mediów. Jeśli jeszcze jeden stan przedstawi raport podobny do tego z Pensylwanii, to wtedy... nie wiem. Tylu niebezpiecznych ludzi chodzi między nami, chronionych przez tę jedną instytucję.

Są szanse na śledztwo federalne?

Nie wiem. Prosimy o nie już trzeci raz. Nasza organizacja wniosła sprawę do Międzynarodowego Trybunału Karnego, składaliśmy zeznania przed Komitetem Praw Dziecka ONZ i Komitetem ds. Tortur w ONZ. Jesteśmy zdecydowani w naszych działaniach i oczekujemy, że poparcie dla ogólnokrajowego śledztwa będzie rosło.

Jeśli chodzi o przeprosiny ze strony Kościoła: ofiary mówią w mediach, że słyszały je już niejeden raz.

Kard. Daniel DiNardo, przewodniczący Episkopatu USA, wzywa do spotkania z papieżem i dyskusji o kryzysie wszystkich biskupów amerykańskich. Będą się za nas modlić, odprawią pokutę, ominą w ramach postu posiłek... Jaki to ma związek z ochroną dzieci? Powtarzam: powinni zwrócić się do każdej parafii z pytaniem, jak ludzie zostali skrzywdzeni i jak można pomóc. Powiedzieć: przepraszamy, postaramy się to naprawić. Ilu ludzi cierpi, bo Kościół jest zbyt arogancki, by przyjść im z pomocą?

Co powinno się zmienić, by dzieci były bezpieczniejsze?

Największym problemem w USA są przedawnienia. Ktoś, kto był molestowany jako dziecko, zależnie od prawa stanowego ma pięć, siedem czy dziesięć lat po osiągnięciu pełnoletności, by to zgłosić. Potem już nie może. W niektórych stanach jest prawo, że jeśli molestowany w przeszłości przypomni sobie o tym, czego doświadczył, ma trzy lata, żeby to zgłosić. Nazywają to „oknem". Ja np. byłem molestowany jako 12-latek przez księdza w Iowa i wyparłem to na okres 30 lat. Przypomniało mi się, bo ktoś ze SNAP stał przed kościołem z transparentem. Gdy go zobaczyłem, przeżyłem wstrząs. Zaangażowałem się w grupę wsparcia i przeszedłem terapię, a potem w wieku 51 lat założyłem rodzinę. Ale gdy moje córki skończyły 12 lat, wspomnienia brutalnego gwałtu, jakiego doświadczyłem mając właśnie 12 lat, wróciły po raz kolejny. Jak widać, różne wydarzenia w życiu mogą przywołać te wspomnienia. Dlatego „okno" jest potrzebne.

A nasza własna wrażliwość?

Większość ofiar pedofilii w bardzo katolickich społeczeństwach – takich jak Polska, Irlandia czy jak moja irlandzka parafia w Iowa – nigdy nie mówi, że doświadczyła molestowania. Dlatego to ważne, by społeczność była wrażliwa i by uwierzyła dzieciom, kiedy zaczną o tym mówić. Chcę podkreślić, jak ważna jest praca z ofiarami i uświadamianie społeczeństwa. Wiem, że w Polsce robi to fundacja Nie Lękajcie Się.

Co z odszkodowaniami i odpowiedzialnością finansową diecezji?

Jeśli biskup dostał zgłoszenie o molestowaniu, a nic nie robił lub przeniósł księdza do innej parafii, mówienie, że odpowiedzialność ponosi tylko ksiądz, to bzdura.

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK

TIM LENNON *jest prezesem Survivors Network of those Abused by Priests (SNAP), amerykańskiej organizacji zrzeszającej ofiary molestowania przez księży.*

POŻEGNANIE

Witoldowi Beresiowi

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci mamy

Ś.† P.

Heleny Bereś

składają

PRACOWNICY WYDAWNICTWA I REDAKCJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO

„TP" 35 / 2018

Teraz moja kolej

Nie lubię mówić o tacierzyństwie, bo i tak za dużo jest już w przestrzeni medialnej młodych rodziców występujących w roli ekspertów. Ale jestem pewien, że tatą zostaje się tego samego dnia, co ojcem. Jestem nim od czterech i pół roku. Podwójnym. Nigdy też nie wziąłem ani jednego dnia urlopu rodzicielskiego. Głównie dlatego, że elastyczna forma zatrudnienia, jaką miałem w stałym miejscu pracy, nie uwzględniała takich socjalnych wynalazków. Dlatego obserwując zmagania mojej żony z materią mleczno-pieluchową przed narodzinami drugiego syna, powiedziałem coś, co wydawało się wtedy oczywiste: teraz moja kolej.

Ta moja kolej trwa już prawie trzy lata. Nigdy nie rozpatrywałem tej sprawy w kategorii zysków i strat. Podobnie moi koledzy-ojcowie raczej nie myślą, że zostając w domu z potomstwem coś „zyskują". To kwestia oczywistej odpowiedzialności. Łączenie rodzicielskich relacji z jakąkolwiek ekonomią to dziwny tok myślenia.

Tacierzyństwo nie jest też moim zdaniem (wbrew temu, co mówi jedna z ekspertek w tekście w „Tygodniku") trudniejsze od macierzyństwa. Nie znam ojca, który bałby się, że nie sprosta opiece nad swoim dzieckiem. Pielucha widziana oczami mężczyzny jest tą samą pieluchą, którą widzi kobieta. Ma taką samą zawartość i ten sam – płatający figle – system rzepów. Płeć nie gra też roli przy podgrzewaniu mleka czy dezynfekowaniu stłuczonych kolan.

Jakiś czas temu trzyletni Kazik podczas przedszkolnego dnia rodziny miał odpowiedzieć, za co kocha swoich rodziców. „Mamę za to, że bawi się ze mną klockami, tatę za to, że gotuje obiady" – napisane było na kartce, którą dostaliśmy potem od przedszkolanki. I nikt się tym specjalnie nie zdziwił. Eksperci, z którymi na potrzeby tekstu rozmawiał Krzysztof Story, zdają się nie nadążać za światem, który badają. Zaś płynące z rządowych kręgów głosy, jakoby regulacje skłaniające ojców do brania urlopów tacierzyńskich uderzały w tradycyjny model rodziny, budzą tylko politowanie. Są jak nauka geografii z książek Sienkiewicza. Bo ojcowie nie potrzebują zachęt do nawiązania bliższej relacji z dziećmi. Potrzebują wyłącznie mechanizmów prawnych, które to ułatwią.

AR

Nowy model ojca

Niedawno byliśmy z kolegami i naszymi dziećmi na wspólnych wakacjach pod namiotami. Okazało się, że nasza dyskusja przy ognisku – o tym, jak być ojcem – została również podjęta przez „Tygodnik". Dlatego chcieliśmy podzielić się następującymi refleksjami.

Po pierwsze zauważamy, że następuje zmiana w sposobie przeżywania ojcostwa, manifestująca się chociażby zwiększoną liczbą mężczyzn obsługujących wózki (jest to oczywiście uproszczenie i posłużyło nam jedynie jako symbol zmian, a nie ich istota). Dla wielu z nas same zmiany są ważnym i pożądanym doświadczeniem. Entuzjazm dla nich wiąże się z nie najlepszym (lub wręcz negatywnym) odbiorem modelu ojcostwa, jaki był naszym udziałem, gdy byliśmy dziećmi.

Po drugie, nie można nie zauważyć, że są osoby, których doświadczenie ojca jest inne niż „patriarchalnego potwora" czy „wyalienowanego karmiciela", a jednocześnie nie przystaje do najnowszego trendu – „spacerowicza z wózkiem". Takim wymykającym się wymienionym kategoriom tatą jest nasz ojciec i nasi dziadowie, czy – jeżeli dobrze odczytaliśmy wywiad z „TP" – ojciec profesora de Barbaro. Wydaje nam się, że rozumiemy potrzebę „wymuszenia" większego zaangażowania ojca w życie rodzinne, kontakt z dziećmi, partnerskie relacje z żoną. Czy jednak każdy „spacerowicz z wózkiem" to jest dowód zmiany na lepsze? Osobiście bliski jest nam obraz ojca, który może nie angażuje się bardzo mocno w prowadzenie domu, ale rozmawia z dziećmi i podejmuje ważne tematy (np. wiary), a jednocześnie daje przykład jako zaangażowany zawodowo i podejmujący wyzwania człowiek.

Po trzecie, chcielibyśmy, by regulacje prawne pomagały ojcom podjąć decyzję o wzięciu urlopu rodzicielskiego i umożliwiały w ten sposób realizację ambicji zawodowych matkom. Widzimy jednak, że dla części rodzin równie istotne są takie regulacje, które ułatwią matkom (ale także i ojcom) uczestniczenie we wszystkich przejawach życia, nie rezygnując z wychowywania dzieci w taki sposób, jaki uważają za dobry. Jako przykład możemy podać takie „drobne" ułatwienia jak elastyczny czas pracy. Niektóre matki chciałyby karmić dzieci mimo tego, że pracują. Jest to przecież ważny proces, który niestety bywa podporządkowany potrzebom rynku, a nie najmłodszych obywateli.

KAROL BANDURSKI
(tata Kazia, Edzia i Antka)
FRANEK BANDURSKI
(tata Łucji i Józka)

Autorzy wydrukowanych na łamach „Tygodnika" listów otrzymają kubki z rysunkiem Macieja Sieńczyka.

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy we Wrześni, w Wydziale I Cywilnym, w sprawie I Ns 252/17, postanowieniem z 6 lipca 2018 r. zezwolił Błażejowi Białowąsowi na złożenie do depozytu sądowego kwoty 9 500,00 zł (dziewięć tysięcy pięćset złotych zero groszy), którą należy wydać Dorocie Białowąs bez dodatkowych warunków.

PAWEŁ

Śpiewak:
Gniew Jeremiasza

Wołał z gniewem, niemal z obrzydzeniem i nienawiścią, a może nawet z satysfakcją do tych, którzy uczynili – jak powiadał – „swoją ziemię przedmiotem zgrozy i wiecznym pośmiewiskiem", że zostaną wydani na pastwę miecza, żony ich staną się bezdzietne, mężowie zginą od zarazy, a młodzież pobita na wojnach. Jeremiasz domagał się najstraszniejszych kar dla tych spośród Judejczyków, którzy jego, proroka, chcą zabić. Głosił słowa zniszczenia. Zapowiadał, że zginą mieszkańcy Jerozolimy, a ich trupy będą żerem ptactwa. Zapowiadał, że za grzech wiarołomstwa wobec Boga będą jeść swoje dzieci. Za te słowa kapłan i nadzorca Świątyni zakuł go w dyby i kazał wychłostać. Ale prorok dalej zapowiadał wszelkie klęski, by wreszcie wykrzyczeć: nie ja chcę to mówić, ale namówił mnie Pan, „i dałem się namówić, pochwyciłeś mnie i przemogłeś!" (Jr 20, 7).

Tłumaczenie warszawskie oddaje tę grozę. Stał się wbrew sobie człowiekiem gniewu, bo w ten sposób wyrażał gniew Boga. Ten gniew urósł w nim i stał się tożsamy z jego osobą. Nie on wybrał słowa, ale wbrew wszystkiemu został do tych słów wybrany i natchniony. Nie ma w tym pychy. Nie ma też pokory. Jest przerażenie i to, co nazywane bywa *tremendum*. Jeremiasz odtwarza i przeżywa w sobie ból, który jest częścią Boskiego głosu.

Jeremiasz używa (jak twierdzi przekonująco Abraham Heschel) słów o seksualnej konotacji. Został w sensie metaforycznym zmuszony do odbycia wbrew sobie przedmałżeńskiego stosunku seksualnego. Poza jego wolą był jego krzyk. To coś więcej niż „pochwycenie". To gwałt. Bodaj najstraszniejsza forma przemocy. Jeremiasz zaświadcza, że został ofiarą, że wolałby się nie urodzić, niż mówić, co Bóg każe mu mówić.

Ten obraz pokazuje, jak trudna i złożona była/jest relacja między Bogiem a tym, kogo Bóg wzywa. Jeremiasz zapowiada nieszczęścia, a tym samym wzbudza nienawiść ludu, kapłanów, innych proroków, władców. Jest skazany na dojmującą samotność i słowa, których nikt nie chce przyjąć. Nie chodzi tylko o poruszenie religijne, o przemianę serc, ale o bardziej przyziemne posunięcia polityczne. Prorok musi działać wbrew emocjom większości, mówiąc: lepiej poddajcie się Babilonowi i pozwólcie się zaprząc jak bydło w dyby, ale trzymajcie się swoich domostw, ziemi, zwyczajów, religii. Domaga się uspokojenia umysłu i niezbędnej wobec przeważającej siły dawki oportunizmu. Domaga się uznania własnej słabości.

Jeremiasz jest dzisiaj wzorcem proroka gniewu. Ale może też słusznie uchodzić za tego, który czuje politykę i wie, że najgorsza jest zawsze hardość pozbawiona siły i bunt, który prowadzi do bezwzględnej klęski. Czasami mam wrażenie, że politykę najlepiej rozumieją święci i mistycy pozornie oddaleni od świata przemocy i interesów. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Młócenie słomy

To ludowe porzekadło jest przestrogą, nie tylko przed czczą gadaniną, zwłaszcza gdy przybiera pozór uczonej dysputy, w tym teologicznej, ale i przed pozorowaną pracą, nieprzynoszącą nikomu żadnej korzyści. Młóceniem słomy może być również modlitwa, gdy ogranicza się do słów i obrzędów, czyli praktyk religijnych. Samo to określenie już powinno budzić niepokój, gdyż „praktyki religijnej" nie można sprowadzać do obrzędów. Miejmy się na baczności zwłaszcza wtedy, gdy ktoś mówi, że modlitwy nigdy dość. Najczęściej mówi tak, żeby z kwitkiem odesłać tego, kto szuka u nas pomocy.

Apostoł Jakub mówi: „Bracia moi! Jaki z tego pożytek, jeśli ktoś mówi, że wierzy, a nie potwierdza tego czynami? Czy taka wiara może go zbawić? Gdyby więc twój brat lub siostra byli nadzy lub głodni, a ty byś im powiedział: Idźcie w pokoju, ogrzejcie się i posilcie, lecz nie dałbyś im tego, czego potrzebuje ciało, jakąż będą mieli z tego korzyść?".

Jeśli czasami sądzimy, że utraciliśmy wiarę, bo nie wiemy ani jak, ani o co się modlić, wtedy wystarczy wziąć do ręki gazetę czy zajrzeć do internetu, a z pomocą przyjdzie rzeczywistość, czyli to, co dzieje się w świecie, zwłaszcza daleko od miejsca, w którym mieszkamy.

„Gdy się modlicie, nie mówcie wielu słów jak poganie. Wydaje się im, że dzięki gadulstwu będą wysłuchani. Nie naśladujcie ich, gdyż wasz Ojciec wie, czego potrzebujecie, zanim Go poprosicie" – radzi Jezus. Chodzi o to, żeby modlitwa nie polegała na zaklinaniu rzeczywistości, ale na wpatrywaniu się w nią i uważnym wsłuchaniu. Zwłaszcza w to, co człowieka przeraża, odpycha i gorszy. Przy takim właśnie podejściu zyskujemy szansę na dowiedzenie się, jaki świat jest i jaka jest wola Boża względem nas.

Papież Franciszek na spotkaniu z młodymi jezuitami powiedział: „Rozbawił mnie ksiądz, który mówił o ujednoliceniu działań duszpasterskich jezuitów. Zrozumiałem, że chodzi o jedność dusz i serc jezuitów, a nie sposobu działania, dlatego że tam, gdzie by do tego doszło, kończy się Towarzystwo Jezusowe. Mówiło się, że pierwszym zadaniem przełożonego generalnego jest »bycie pasterzem dla każdego z nich«, ale ktoś inny dodał: »Tak, ale jak można paść stado żab, kiedy jedna idzie tu, a druga tam...«. Ale to jest piękne, ponieważ potrzeba wielkiej wolności, bez niej nie można być jezuitą. I bez posłuszeństwa pasterzowi też nie; a on musi mieć dar rozeznawania, aby pozwalał każdej »żabie« wybierać to, co uważa, że mówi mu Pan. I na tym polega wyjątkowość Towarzystwa Jezusowego: tworzyć jedność w wielkim rozproszeniu".

W ten sposób zaczyna się dostrzegać, że nie tylko Biblia i Tradycja, ale świat, tzw. *profanum*, jest objawieniem Boga, który zawsze jest Bogiem z Nami. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Ewangelia z Kany

Spójrzcie: Pan jest zwierciadłem naszym. Otwórzcie oczy, wpatrzcie się weń, dowiedzcie się, jak wyglądają wasze twarze!

ODY SALOMONA

Mistrz, który wiedzę posiada, pisze ją w duszy ucznia.

SOKRATES

Sierpień zaprowadził wielu z nas na Jasną Górę. Jak mówimy: do polskiej Kany. W Kanie Galilejskiej (w Częstochowie) Ewangelię przepowiada Maryja. Przepowiada ją najpierw gestem prawej ręki wskazującej na Jezusa, prawdziwa Hodegetria – Przewodniczka wskazująca drogę. A raczej: Drogę. I Prawdę. I Życie.

Za tym gestem „streszczającym wszystkie mariologie" (ks. Jan Kracik) idzie współgrające z nim słowo Jasnogórskiej Ewangelii: „Cokolwiek wam powie – czyńcie!" (J 2, 5). To zdanie Maryi interpretujemy zwykle jako jedynie skierowane do nas polecenie; tymczasem kryje się tu... objawienie. Prawdziwa Ewangelia – głęboki i fundamentalny przekaz prawdy o Jezusie: kim On jest? I w jaki sposób dokonuje zbawczego dzieła?

Maryja objawia nam Syna. Wcześniej w Janowej Ewangelii uczynił to Jan Chrzciciel („Oto Baranek Boży, który gładzi grzech świata"); potem pierwsi uczniowie: Andrzej i Filip („Mesjasz", „Ten, o którym pisał Mojżesz w Prawie i prorocy"). Teraz mówi Matka. Wypowiada o swoim Synu prawdę, która jest owocem Jej medytacji i komunii – wspólnoty 30 lat życia ukrytego w Nazarecie.

„Cokolwiek wam powie – czyńcie!".

To cytat z Księgi Rodzaju (Rdz 41, 55), z fragmentu opisującego historię Józefa egipskiego. Kiedy w Egipcie – po siedmiu latach urodzaju nastało siedem lat suszy – cierpiący straszny głód ludzie przychodzą po pomoc do faraona. Ten zaś odsyła ich do Józefa, którego ustanowił „drugim po sobie" w państwie, z poleceniem: „Idźcie do Józefa i cokolwiek wam powie – czyńcie!".

Maryja wskazuje na Jezusa i mówi do nas: Oto nowy i prawdziwy Józef egipski – Zbawiciel, którego Józef był figurą. To Ten, który ratuje was od śmierci z głodu i pragnienia. On ma pokarm i napój, który potrafi zaspokoić najgłębszy ludzki głód – głód inaczej niezaspokajalny. On wam da „Chleb żywota" (swoje Słowo i swoje Ciało) do spożycia oraz Wodę (Ducha Świętego), która – wypita – wytryska w człowieku jako źródło życia wiecznego. Żyjąc o tym Chlebie i o tej Wodzie (zob. J 4 i 6), człowiek doświadcza wreszcie właściwej sobie sytości. Ona nie bierze się z wina – nawet najlepszego i zastawionego aż w takiej ilości (ponad 700 litrów); nie jest też owocem żadnej, nawet najbardziej wyszukanej konsumpcji.

Tym, który nas karmi i poi do syta, jest „Nowy Józef" – umiłowany Syn swego Ojca, znienawidzony (z tego właśnie powodu) przez braci, przez nich sprzedany i uczyniony niewolnikiem, ojcu zaś przedstawiony jako zabity. Wszystkie te elementy biografii Józefa wypełniają się w Jezusie, a najpełniej jej ostatni fragment: kiedy wśród ludzi szukających u niego ratunku przed śmiercią z głodu Józef rozpoznaje swoich braci – tych, którzy go oddali w niewolę i społecznie zabili. Jeśli ich uratuje, to jedynie z samego środka swego miłosierdzia i wybaczenia.

Czy nie to właśnie objawia nam Maryja w Kanie? Mówi: Oto Jezus. Wasz Pan i Brat. Sprzedaliście Go za cenę niewolnika (30 srebrników) i zabiliście Go śmiercią niewolnika (na krzyżu). Wyniesiony do chwały, łagodny i łaskawy, pełny miłosierdzia – wybacza wam, rozpoznaje w was (na nowo i na zawsze) swoje siostry i swoich braci. Nie chce waszej śmierci. Nie pozwoli wam zginąć z głodu. Weźcie od Niego pokarm. I żyjcie. Na wieki wieków. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (9 – 16 IX)

23. niedziela zwykła: Iz 35, 4-7a; Ps 146; Jk 2, 1-5; Mk 7, 31-37;
Poniedziałek: 1 Kor 5, 1-8; Ps 5; Łk 6, 6-11;
Wtorek: 1 Kor 6, 1-11; Ps 149; Łk 6, 12-19;
Środa: 1 Kor 7, 25-31; Ps 45; Łk 6, 20-26;
Czwartek: 1 Kor 8, 1b-7. 10-13; Ps 139; Łk 6, 27-38;
Piątek: Lb 21, 4b-9; Ps 78; J 3, 13-17;
Sobota: Hbr 5, 7-9; Ps 31; J 19, 25-27;
24. niedziela zwykła: Iz 50, 5-9a; Ps 116; Jk 2, 14-18; Mk 8, 27-35.

Wybrał PIOTR SIKORA

KOMIWOJAŻER DOBREJ ZMIANY

Ruszający sezon polityczny da odpowiedź na pytanie, czy Jarosław Kaczyński rzeczywiście szykuje sukcesję. Już dziś wiadomo jednak, że Mateusz Morawiecki zrobi wszystko, aby zostać delfinem.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Grafik premiera jest napięty do granic możliwości. Od tygodni jeździ po Polsce. Spotyka się ze wszystkimi. I przemawia w stylu: „Zagranica to zło, opozycja to zło, media to zło. Kocham Polskę, więc kocham PiS", czemu towarzyszy zazwyczaj obiecywanie wszystkim wszystkiego.

Do tego dużo autopromocji. Podejmowanie medalowych sportowców, błyszczenie na państwowych obchodach rocznic. Niedawno witał nawet strażaków, którzy wracali ze Szwecji, gdzie pomagali gasić pożary lasów.

Ta nadaktywność – nawet jeśli czasem groteskowa – przynosi efekty sondażowe. Morawiecki jest jednym z najlepiej ocenianych polityków, a badani stawiają go ponad jego poprzedniczkę, a dziś zastępczynię – Beatę Szydło. To kapitał, który zbudował przez niespełna 10 miesięcy rządów.

Gdzie ten aksamit

Gdy Mateusz Morawiecki stawał na czele rządu, wyglądało to na mistrzowski ruch prezesa PiS. Po zakończeniu – tak się wówczas wydawało – wszystkich wojen i zamknięciu kontrowersyjnych frontów Morawiecki miał się stać uśmiechniętą twarzą PiS. Łagodząc politykę, miał przyciągnąć wyborców środka, zmrożonych trwającymi przez pierwszą połowę kadencji krucjatami Kaczyńskiego, w których bezwolnym narzędziem była premier Beata Szydło. W eleganckim garniturze, skrojonym jeszcze w czasach bankowej prezesury, władający angielskim, znający Zachód – miał zakończyć spór z Brukselą, podejrzewającą PiS o naruszanie praworządności mierzonej unijnymi zasadami.

Albo Kaczyński miał zupełnie inny plan, albo też Morawiecki swej roli nie podołał. Dość powiedzieć, że za jego rządów PiS nie stał się bardziej aksamitny, tylko jeszcze bardziej chropowaty. Konflikt z Brukselą zaś wręcz wszedł w nową, ostrzejszą fazę.

Tarapaty, w jakie wpakował się premier zaraz na początku swych rządów, doskonale pokazują sprzężenie między nim a Kaczyńskim – które w praktyce uniemożliwia zasadniczą zmianę w polityce PiS.

Chodzi o głośną nowelizację ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej z początku roku. Władze Izraela i Stanów Zjednoczonych uznały, że to przepisy naruszające wolność słowa, a nawet wymierzone w ocalałych z Zagłady, z których niektórzy obwiniają za swój los nie tylko Niemców, ale i Polaków. Ale skoro Jarosław Kaczyński uznał, że PiS nie odda ani guzika, to Mateusz Morawiecki grał według tego scenariusza.

Projekt powstał w resorcie sprawiedliwości kilkanaście miesięcy przed objęciem przez niego premierowskiej teki. Ale to był test dla Morawieckiego – i premier był bliski całkowitej katastrofy: w atmosferze ogromnego napięcia dolał oliwy do ognia swym lutowym wystąpieniem w Monachium, gdzie mówił o „żydowskich sprawcach Holokaustu".

Premier Izraela Benjamin Netanjahu się wściekł, w rozmowach telefonicznych z Morawieckim zarzucał mu chęć ukrycia współodpowiedzialności Polaków za Holokaust. Nawet część przedstawicieli obozu władzy uważała, że takie starcie ze środowiskami żydowskimi oznacza koniec Morawieckiego na arenie międzynarodowej.

Odsłonięcie pomnika Lecha Kaczyńskiego, Szczecin, czerwiec 2018 r.

Największym sukcesem jego premierostwa jest właśnie to, że w tej wyjątkowo trudnej i delikatnej sytuacji nie dał się pogrzebać. Przekonał Kaczyńskiego, że ustawę o IPN należy wyrzucić do kosza, i przeprowadził to w ciągu jednego dnia, uzyskując w zamian od Netanjahu wspólną deklarację historyczną, korzystną dla PiS z politycznego punktu widzenia.

W tym scenariuszu była też rola dla Kaczyńskiego – mógł wykonać swe tradycyjne tournée po mediach prawicy i opanowanej przez PiS telewizji publicznej, by przedstawić aktualną linię partii: że to ogromny sukces. Oczywiście, jasno podkreślając, że to w dużej mierze sukces Morawieckiego.

Właściciel firmy Polska

Dla przyszłości PiS relacja Kaczyńskiego z Morawieckim jest kluczowa. Premier to wie, więc wciąż działa tak, jak kiedyś, gdy był prezesem oddziału zagranicznego banku. Premierostwo jest dla niego jak zarządzanie firmą, która ma właściciela – jest nim Kaczyński. A z właścicielem nie tylko trzeba dobrze żyć i być mu oddanym. Czasem należy go zauroczyć i omotać, by coś uzyskać.

W pierwszej kolejności chodzi oczywiście o trwanie na wysokim stołku, co i w bankowości, i w polityce Morawieckiemu się podoba. Ale w perspektywie to znacznie poważniejsza rozgrywka: o to, co po Kaczyńskim. Gdy prezes niedomagał zdrowotnie i leżał w szpitalu, Morawiecki jako jeden z nielicznych regularnie go odwiedzał. To pokazuje szybkie zbliżenie polityków, którzy jeszcze niespełna trzy lata temu ledwie się znali.

W ten sposób Morawiecki stał się fenomenem, jeśli chodzi o relacje z Kaczyńskim. Prezes do ścisłego kręgu wtajemniczenia nie dopuszcza praktycznie nikogo spoza grona wiernych, wieloletnich towarzyszy oraz znajomych spoza polityki, którzy stali przy nim w czasach posuchy.

Partia te względy okazywane premierowi widzi. I słyszy – bo Kaczyński nie marnuje żadnej okazji, bo go pochwalić, wysuwając w ten sposób przed szereg na starcie wyścigu po schedę. Jeszcze gdy jako ↦

↦ wicepremier w rządzie Szydło Morawiecki kreślił swe słynne plany bombastycznego rozwoju Polski, ujmowane w komputerowe prezentacje, Kaczyńskiemu zdarzało się polać go zimną wodą i publicznie obsztorcować.

Jednak odkąd został premierem, prezes nie powiedział na jego temat ani jednego krytycznego zdania.

Po najtwardszej linii

Na przykładzie ustawy o IPN widać, że Morawiecki ma zdolność przekonywania Kaczyńskiego do swych racji. Ale sięga po nią nader rzadko. Nieoficjalnie wiadomo, że ma duży dystans do radykalnych zmian dotyczących Sądu Najwyższego, za pomocą których mają zostać usunięci najstarsi sędziowie, w tym pierwsza prezes Małgorzata Gersdorf – mimo że chroni ją konstytucyjna kadencja. Morawiecki nie chciał złożyć kontrasygnaty pod decyzjami prezydenta w tej sprawie, ale nie podjął żadnej realnej próby zawrócenia PiS z niebezpiecznej ścieżki.

Oczywiście może być tak, że w kierownictwie PiS zapadła decyzja, by nie flirtować z elektoratem bardziej umiarkowanym, skoro ostra linia partii – wspierana twardą pięścią kierowanego przez nią państwa – daje sondażową przewagę na starcie zbliżającego się serialu wyborczego. Ale z drugiej strony widać gołym okiem, że to PiS zmieniło Morawieckiego, nie zaś Morawiecki zmienił PiS.

Ba, bywa bardziej pisowski od PiS. Nigdy ani na krok nie odstąpił od partyjnej ewangelii politycznej, wszystkie jego wypowiedzi co najmniej mieszczą się w radykalnej retoryce PiS, a czasem są wręcz jej kwintesencją.

Radykalny znaczy wiarygodny

Z jednej strony to dlatego, że Morawiecki wciąż jest politycznym nowicjuszem, bez żadnej pozycji w partii, z krótką biografią w życiu publicznym. Całą władzę opiera na jednym tylko fundamencie – pozycji Kaczyńskiego.

Z drugiej strony stawianie na radykalizm to dla Morawieckiego próba uwiarygodnienia się w twardym elektoracie, kluczowym dla PiS. Dzięki niemu Kaczyński przetrwał osiem ciężkich lat w opozycji i oparł się na nim po Smoleńsku.

Dla pisowskich radykałów Morawiecki na dzień dobry był znacznie mniej wiarygodny od Szydło. Nie toczył wojny z Wałęsą, nie zawierał sojuszu z Lepperem i Giertychem, nie tkwił dwóch kadencji na chudym, opozycyjnym wikcie. Na miesięcznicach smoleńskich zaczął się pojawiać już po wyborach w 2015 r., gdy wszedł do rządu.

W dodatku, gdy PiS zawsze firmowało walkę z bankami – za poprzedniej kadencji tworząc komisję śledczą, a tym razem obiecując pomoc dla frankowiczów – to Morawiecki był w III RP prominentnym prezesem zagranicznego banku, pożyczającego Polakom w szwajcarskiej walucie.

Zasiadał też w Radzie Gospodarczej przy premierze Donaldzie Tusku, i to nawet jeszcze po Smoleńsku – co w nieco innym świetle stawia jego dzisiejszy akceptujący ton dla smoleńskich oskarżeń Kaczyńskiego wobec lidera PO. Ba, dał się nawet nagrać na taśmach kelnerów w knajpie u „Sowy", które dla PiS stanowią dowód upadku państwa za czasów Platformy.

Tak, jest pisowskim neofitą. Choć znany z konserwatywnych poglądów i sponsorowania za pieniądze banku dzieł bliskich prawicy, to twardym w deklaracjach pisowcem stał się wtedy, gdy Kaczyński objął władzę i pozwolił mu wejść do polityki od razu na sam szczyt. Na co w Platformie nie miał najmniejszych szans.

Dziś, gdy atakuje poprzedni rząd, któremu wszak doradzał, uwiarygadnia sam siebie w twardym elektoracie PiS. Mechanizm ten – stałe pilnowanie twardości partyjnej linii – uniemożliwia mu marsz ku centrum. Będzie najtwardszym z twardych tak długo, jak długo będzie się czuł niepewnie w swej adoptowanej politycznej rodzinie.

Wymarzony partner

Jednocześnie w osobie Morawieckiego Kaczyński ma nareszcie premiera, jakiego sobie wymarzył. To, co nie udało się ponad dekadę temu z Kazimierzem Marcinkiewiczem (który wybijał się na niezależność i za bardzo zbliżył się do środowisk biznesowych), co nie udało się z Beatą Szydło (której nie poważał i którą traktował instrumentalnie), ma szansę wreszcie się ziścić: Morawiecki to premier żyjący w symbiozie z prezesem.

To, co było zaletą Szydło w elektoracie PiS – pochodzenie z małej miejscowości, realny awans społeczny bez wielkiego wykształcenia – budowało między nią a Kaczyńskim barierę nie do pokonania. Są z różnej gliny, a prezes uwielbiał okazywać jej swą żoliborską wyższość.

Dlatego Szydło przestała liczyć na powrót do gry na krajowym podwórku. Chce kandydować wiosną do Parlamentu Europejskiego. W głębi ducha liczy jeszcze na ostatni gest Kaczyńskiego i komisarską tekę w nowej Komisji Europejskiej, która powstanie po eurowyborach.

To zresztą charakterystyczny rys rządów PiS przełomu Morawieckiego i Szydło. Żaden minister zdymisjonowany pod naciskiem nowego premiera i za zgodą Kaczyńskiego publicznie nie bryknął – nawet nietykalny wcześniej Antoni Macierewicz. Żaden odwołany prezes spółki się nie odwinął – nawet prezes Orlenu Wojciech Jasiński, towarzysz Kaczyńskiego od blisko pięciu dekad, z przerwą na członkostwo w PZPR.

Kaczyński za taką twardą lojalność płaci. Macierewiczowi dał nadzieje na powrót do politycznej gry. Jasiński zaś dostał doradczą fuchę w innej państwowej firmie, Enerdze.

Rzeź wiarusów

Eurowybory staną się dla Morawieckiego szansą na umocnienie się w partii – właśnie ze względu na emigracyjne plany wierchuszki PiS, nie tylko Szydło. Część weteranów, na czele z marszałkiem Sejmu Markiem Kuchcińskim, zdaje sobie sprawę, że stan politycznej *prosperity* nie będzie trwać wiecznie. Wiosenne eurowybory to dla nich ostatnia szansa, by spieniężyć w euro poświęcenia, które latami ponosili dla Kaczyńskiego.

Gdyby rzeczywiście prezesowscy wiarusi wybrali się do Strasburga i Brukseli, wewnątrz PiS nastąpi personalna i pokoleniowa zmiana, z której Morawiecki może skorzystać. Jeśli będzie potrafił. Sukcesem Morawieckiego byłoby też pozbycie się Jacka Kurskiego z TVP. Nieoficjalnie wiadomo, że premier zupełnie nie trawi propagandy tej telewizji. Co prawda Kurski zarzeka się, że nie zamierza kandydować w eurowyborach, ale każdy, kto go zna, wie, że na opłacanej setkami tysięcy rocznie synekurze w europarlamencie czuł się w przeszłości najlepiej. Znów – wszystko w rękach Kaczyńskiego.

Na razie dostępu do ucha prezesa Morawiecki używa właśnie głównie do inspirowania roszad kadrowych w rządzie i państwowym biznesie. Do czystki z początku roku – w której stracił posadę Macierewicz, a do tego toruński minister środowiska Jan Szyszko, szef MSZ Witold Waszczykowski oraz minister zdrowia

Konstanty Radziwiłł – Morawiecki dołożył niedawno głowę ministra rolnictwa Krzysztofa Jurgiela. To także sprawdzony partyjny towarzysz Kaczyńskiego, chroniony dotąd nieformalnym immunitetem. Ale prezes dał się Morawieckiemu przekonać, że Jurgiel to minister anachroniczny, który nie radzi sobie z pogarszającymi się nastrojami na wsi, a bez elektoratu wiejskiego PiS władzy nie utrzyma.

Następny do dymisji może być inny prezesowski zaufany, szef MON Mariusz Błaszczak – w partii panuje powszechne przekonanie, że jest marnym ministrem obrony. W dodatku współpraca między nim a premierem się nie układa. Ostatnio Morawiecki w ostatniej chwili zablokował mu zakup liczących trzy dekady australijskich fregat. Uznał, że to złom, który do niczego się nie nadaje. Nie mógł tego zrobić bez zgody Kaczyńskiego, na pewno nie wobec Błaszczaka.

W różnych spekulacjach Błaszczak przymierzany jest a to do marszałkowskiego fotela po Kuchcińskim, a to do szefostwa Najwyższej Izby Kontroli. Formalnie NIK będzie do obsadzenia za rok, ale ruszył proces karny obecnego prezesa tej instytucji, Krzysztofa Kwiatkowskiego – w sprawie ustawiania konkursów na stanowiska – co może przyspieszyć bieg zdarzeń.

Kłopoty z empatią

Czy Morawiecki pokazał za swych rządów talent polityczny? Oczywiście: można za jego zasługę uznać zakończenie konfliktu z Izraelem i USA. Tyle że na wypracowanie jak najmniej upokarzających warunków wycofania się z ustawy o IPN pracowała cała wierchuszka PiS. Inna rzecz, że trudno uznać za wielki sukces wycofanie się z własnej klęski.

Współpracownicy premiera narzekają, że brakuje mu społecznego wyczucia, że nie potrafi nawiązywać kontaktu z ludźmi i źle się czuje w bezpośredniej konfrontacji. W tym sensie jest trochę jak Bronisław Komorowski, którego defekty przyczyniły się do porażki w wyborach prezydenckich.

– Dlaczego Morawiecki nie potrafił rozładować protestu osób niepełnosprawnych w Sejmie? Przecież rozmawiał z tymi ludźmi – pytam jednego z ministrów, uważanych za jego sojusznika.

– Mateusz taki jest. Ma kłopot z okazywaniem empatii, źle się z tym czuje. To jest jego defekt i na razie nic się nie daje z tym zrobić.

Wszystkie wypowiedzi premiera mieszczą się w radykalnej retoryce. **To PiS zmieniło Morawieckiego, a nie Morawiecki PiS.**

W tamtej sytuacji Morawiecki zachował się wedle wszelkich pisowskich prawideł: zaprosił przedstawicieli innych organizacji niepełnosprawnych i podpisał z nimi porozumienie, tak aby wyglądało to na rozwiązanie problemu. W istocie jednak dogadał się z łamistrajkami, z których zresztą część zdała sobie sprawę ze swej roli dopiero po uściśnięciu premierowskiej prawicy.

Rachunek od Solidarności

Przed Morawieckim staje dziś znacznie poważniejsze zadanie, którego takimi trikami nie rozegra. Przeciw jego rządowi wystąpił doświadczony w politycznych bojach lider Solidarności Piotr Duda, który postanowił wystawić PiS rachunek za poparcie, którego mu udzielał. Żąda podwyżek w budżetówce, która – jak rodziny niepełnosprawnych – zgrzyta zębami, słysząc kolejne peany Morawieckiego na temat rewelacyjnej sytuacji finansów państwa. Wszak pracownicy państwa mają zamrożone płace od 2010 r. Ale to dopiero początek listy oczekiwań Dudy. Przewodniczący domaga się dymisji dwojga ministrów krytykowanych przez „S": Anny Zalewskiej od edukacji i Łukasza Szumowskiego od zdrowia.

Na początku sierpnia Morawiecki odwiedził Dudę, co samo w sobie pokazuje, kto jest w tym duecie petentem. Na razie nic nie wskórał, a przecież kryzys w relacjach prospołecznego rządu z najpoważniejszym, wspierającym go związkiem zawodowym byłby dla PiS katastrofą.

W dodatku Morawiecki jest pod ścianą, bo na horyzoncie pojawiają się ciemne chmury – bezrobocie przestaje znacząco spadać, a w budżecie widać dno. To niekorzystna dla niego sytuacja na starcie wyborczego maratonu, który miałby go wynieść na szczyt PiS.

Nowy ojciec

Jeszcze przed pierwszą rocznicą rządów Morawieckiego można się pokusić o nakreślenie stref jego wpływów, nazwanie przyjaciół i wskazanie wrogów.

Na pewno za premierem stoi zasadnicza część najwierniejszej gwardii Kaczyńskiego. Chodzi o polityków takich jak szef MSWiA Joachim Brudziński, rzeczniczka partii Beata Mazurek czy szef klubu PiS Ryszard Terlecki, którzy ślepo podążają za wskazaniami prezesa.

Morawieckiego wspomaga też wicepremier Jarosław Gowin i inni członkowie rządu z nim związani, choćby ministrowie Jadwiga Emilewicz (przedsiębiorczość), Teresa Czerwińska (finanse) czy wspomniany Łukasz Szumowski (zdrowie). Tyle że oni mają słabą pozycję polityczną.

Ochłodziły się relacje Morawieckiego z prezydentem, nie tylko w sprawie ustaw sądowych. Dla przykładu: Andrzej Duda wspierał australijskie plany zakupowe Błaszczaka.

Na kontrze do Morawieckiego jest szef służb Mariusz Kamiński, który ostatnio częściej gra do jednej bramki z ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą. To właśnie Ziobro jest głównym oponentem premiera. To skrzętnie skrywana, choć brutalna wojna. Dość powiedzieć, że Morawiecki podejrzewa Ziobrę o większość niewygodnych dla niego prasowych przecieków, choćby dotyczących przepisania na żonę części wielomilionowego majątku.

Kaczyński w tym starciu sprzyja Morawieckiemu, który zresztą otwarcie donosi prezesowi na Ziobrę. Gdy ojciec premiera Kornel Morawiecki opowiada publicznie coraz większe bzdury – jak choćby ostatnio, gdy w wywiadzie dla agencji RIA Novosti składał hołdy Putinowi i mówił o „połączeniu duchowym i cywilizacyjnym" Polski i Rosji – widać wyraźnie, że z synem politycznie łączy go już niewiele. Bo politycznym ojcem Mateusza Morawieckiego staje się właśnie Kaczyński.

Oczywiście, lider PiS może go jeszcze wiele razy wydziedziczyć. Ale widać wyraźnie, że w szczycie politycznej kariery, gdy zdrowie zaczyna jednak szwankować i opuszczają go witalne siły, to w Morawieckim Kaczyński pokłada strategiczne nadzieje. © ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

RYSZARD NOWAKOWSKI / FORUM

Prezydent Biedroń udzielił ślubu cywilnego dziesięciu parom z całej Polski, Słupsk, sierpień 2018 r.

Eksperyment Biedroń

MARIUSZ SEPIOŁO

Dla jednych miły, medialny, sławiący miasto. Dla innych bardziej celebryta niż zarządca. Jaki jest jego czteroletni bilans w Słupsku?

Robert Biedroń jest sympatyczny. Słupsk jest sympatyczny. I przechodnie w Słupsku też są sympatyczni. Spodziewałem się narzekań, słyszę okrągłe przymiotniki: sprawny, skromny, inteligentny, medialny.

Bycie sympatycznym to nie wszystko – usłyszę też od słupszczan, a jedna z radnych powie mi: – Robert Biedroń zawiódł mnie nie tylko jako samorządowiec, ale także jako człowiek.

Miasto kontrastów

Nie mogę się zdecydować: przyjemnie tu czy niekoniecznie? Wjeżdża się do tego miasta szeroką drogą, ale zaraz przy niej ledwo stoi pan, który mimo wszystko otwiera kolejne piwo i pociąga, ku milczeniu czekających na autobus.

Mijam bramę Stadionu 650-lecia, która przypomina epokę Edwarda Gierka, ale już za bramą jest nie byle co, bo Centrum Lekkoatletyczne im. Ryszarda Ksieniewicza, z nowoczesnymi bieżniami i siłowniami.

Ulicę Legionów Polskich, której stan wypomina się Biedroniowi, trudno nazwać ulicą. Podziurawiona jak szwajcarski ser. Nie ma co jechać dalej, szkoda zawieszenia. Mieszkańcy na pytanie, czy wierzą, że doczekają się remontu, kręcą głowami.

Ale dalej rozciągają się nowoczesne, schludne osiedla z domkami i blokami jak z katalogu. Prowadzą do nich równe, przestrzenne szosy, na których ronda są takie, że na stłuczkę po prostu nie ma szans. Pod centrum handlowym „Jantar" na parkingu szpilki nie wciśniesz.

W drodze do centrum odrapane kamienice, wiadukty, które wyglądają, jakby za chwilę miały runąć. Ale dalej urokliwe uliczki, na których choć pachnie kebabem, to można pójść do kawiarni przyjaznej dla rodzin z dziećmi.

Słupsk to wciąż miasto kontrastów.

W którym wydziale dziś pracuję?

Zaczął dobrze, bo inaczej. Podczas gdy zasiedziali w swych fotelach prezydenci miast rozpisywali przetargi na służbowe limuzyny, Biedroń pierwszego dnia do pracy przyjechał rowerem. Był początek grudnia 2014 r., a nowy prezydent (w wyborach zdobył 57,08 proc. głosów) deklarował, że „nie ma tremy, ale podekscytowanie".

Twierdził, że miasto i sam urząd zdążył poznać podczas spotkań z ustępującym prezydentem. Maciej Kobyliński rządził Słupskiem jeszcze w ostatnich latach PRL-u, po czym przeszedł do biznesu, by do polityki wrócić w 1996 r. jako wojewoda słupski, radny sejmiku pomorskiego i w końcu znowu prezydent, który na urzędzie pozostał przez 12 kolejnych lat. Pod koniec ostatniej kadencji dziennikarze i mieszkańcy zarzucali mu przede wszystkim zadłużenie, z którym walczyć miał właśnie nowy prezydent. W momencie obejmo-

wania przezeń urzędu miało wynosić blisko 20 mln zł.

Biedroń wkrótce wsławił się też udzielaniem ślubów cywilnych. Terminów na „ślub u Biedronia" nie ma już podobno do końca kadencji. „Słupsk jak Las Vegas" – takie tworzono nagłówki w portalach internetowych. Z tego Biedroń na pewno zostanie zapamiętany.

Przyjazd rowerem był pierwszym krokiem do zmiany w Słupsku. W urzędzie zaczęło się zaciskanie pasa. Prezydent każdą złotówkę oglądał dwa razy, zmniejszył kilometrówki za podróże, połączył wydziały. Wielu urzędnikom się nie podobało. „Idąc do pracy zastanawiam się, w jakim wydziale dzisiaj pracuję" – sarkali.

Stał się sexy

Filip Springer, pisząc książkę „Miasto Archipelag" o byłych miastach wojewódzkich, przyjechał tu w ponurą pogodę. Odnotowuje, że w Słupsku od lat nie ma porodówki, rozmawia z Biedroniem o jego nadziejach związanych z prezydenturą, zauważa, że dzień później zmienił się kolejowy rozkład jazdy i miasto traci kolejne połączenie ze światem. „Słupsk na mapie Polski nie wyróżnia się niczym szczególnym, ale dzięki Biedroniowi stał się sexy i nie kojarzy się już źle" – pisał Springer.

– Jaki Słupsk widzi pan z okna samochodu? – pytam Piotra Strusia, dostawcę pizzy ze Słupska, współautora kanału na YouTube „SzeryfowieTV" z wideorecenzjami włoskiego specjału.

– Na pewno trochę lepszy – mówi. Jeździ dużo, ma doświadczenie, więc pytam o sedno miejskich spraw: stan dróg.

– Wiem, że mieszkańcy ulicy Legionów Polskich oczekują na dobrą drogę – opowiada Struś. – Ale w niektórych miejscach jest zdecydowanie lepiej. Drogi wymagające łatania są robione na bieżąco. Często jeżdżę do biblioteki przy ulicy Hubalczyków 8, tam do niedawna był parking w koszmarnym stanie: betonowy, dziurawy, można było uszkodzić auto. A teraz jest ładny plac z zadbanym parkingiem.

Ulica Legionów Polskich to jedna z inwestycji, której zaniedbanie wypominają Biedroniowi jego przeciwnicy. Remont tej ważnej arterii obiecywano rok po roku. Na obietnicach się kończyło. Powód? Miasto zamknęło postępowanie przetargowe, bo jedyny wykonawca, który się zgłosił, zażądał o 2,4 mln zł więcej, niż zapisano w kosztorysie. Ulica ciągle straszy dziurami. Po deszczu, zalewa ją woda i błoto.

Arkadiusz Kowalski, nauczyciel języków obcych ze Słupska, widzi jednak pozytywy: – Na pewno poprawiła się komunikacja miejska. Inaczej niż kiedyś, można dotrzeć do większości miejsc w mieście.

Po świecie z plecakiem

Młode małżeństwo spaceruje z wózkiem po centrum.

– Nie podoba nam się – mówią zgodnie. – Zwłaszcza te śluby. Czytaliśmy gdzieś, że mogą być nieważne, więc po co ta szopka? Kiedyś Słupsk nie był znany, dzisiaj jest – z dziwactw. Już lepiej było za poprzedniego prezydenta.

– Jak się żyje w Słupsku? – powtarzam pytanie. I znów opinie od ściany do ściany.

Małżonkowie deklarują, że żyje im się dobrze, praca i mieszkanie jest. Ale stabilizację osiągnęli tylko własnymi siłami, bo w Słupsku „zawsze o chleb było trudno i Biedroń tego nie zmienił".

Piotr Struś zaznacza: – Wraz z kolegą, z którym prowadzimy kanał, mamy wsparcie prezydenta. Spotkaliśmy się z nim w 2016 r., nagraliśmy krótki wywiad. Jak wrażenia? Bardzo pozytywne. Normalny facet. Potraktował nas poważnie, chociaż wtedy znało nas dużo mniej osób.

– W jakim celu się spotkaliście?

– Chcieliśmy naszemu prezydentowi pokazać, że są w mieście ludzie, którzy robią coś nietypowego. Przy okazji liczyliśmy na jakieś wsparcie...

Anna Rożek jest radną miasta z ramienia Platformy Obywatelskiej. Dokonaniami Biedronia jako prezydenta jest rozczarowana: – Na początku postanowiłam dać mu szansę – mówi. – Ale bardzo szybko się zorientowałam, że Robert Biedroń męczy się w Słupsku, i mimo oficjalnych zapewnień nie znosi tego miasta, traktując je przedmiotowo. Co mnie, jako rodowitą słupszczankę, bardzo razi i martwi.

Radna zwraca uwagę na coś, o czym mówi wielu moich rozmówców: częste wyjazdy. Słupskie stowarzyszenie „Inspiracje" w 2017 r. wystąpiło o upublicznienie informacji o pieniądzach wydanych na podróże prezydenta. Okazało się, że to prawie 55 tys. zł.

– Moim zdaniem Biedroń promuje dzięki tym wyjazdom głównie siebie. Słupskowi to nie przynosi żadnych korzyści – mówi Anna Rożek. – Prezydent twierdzi, że chodzi po świecie z plecakiem i szuka inwestorów. Jedyni inwestorzy, jacy się pojawili, będą budowali w Słupsku hotel, ale są to osoby z miasta i okolic, więc nie naszukał się daleko. Zresztą sami do niego przyszli.

– On w ten sposób reprezentuje miasto – uważa Piotr Struś. – Napisał książki i teraz je promuje. Poza tym, można go spotkać podczas imprez w Słupsku. W trakcie koncertu rapera Quebonafide stał w tłumie, normalnie. Konferencje co tydzień? Dzięki nim można być na bieżąco z tym, co się dzieje. Kobyliński taki nie był.

– Jak zależy Biedroniowi na Słupsku, pokazał, kiedy samorządowcy spotkali się w jednym z ministerstw, by omawiać inwestycje z regionu, a on wolał w tym czasie jeździć na rowerze podczas wywiadu dla Onetu – zauważa Anna Rożek. – To bardziej celebryta niż zarządca miasta.

Dopytuję jeszcze o wsparcie, na które liczyli smakosze pizzy: – Jak widać, film jest – mówi z uśmiechem Piotr Struś. – Wsparcie było więc przede wszystkim medialne.

Wstyd na Polskę

Choć Biedroń ze Słupska odchodzi, wielu nie chce się o nim wypowiadać. Radni, urzędnicy, społecznicy, zwykli mieszkańcy – często odmawiają odpowiedzi na pytanie: jaki Słupsk zostawia po sobie.

Za to lista zarzutów pod jego adresem, formułowana przez radną Rożek, jest długa. Jeden z najważniejszych: inwestycje, które pozostają tylko projektami.

– Najpierw prezydent ogłasza, że budujemy, potem okazuje się, że nie ma pieniędzy, bo projekt źle napisany albo jest problem z wykonaniem – mówi radna.

I podaje koronny już przykład aquaparku, który budowany jest od ośmiu lat, a jako plan pojawił się jeszcze za poprzedniego prezydenta. W międzyczasie projekt stracił możliwość finansowania z Unii Europejskiej, a żeby budowa w ogóle ruszyła, poprzednik musiał zaciągnąć długi.

W pobliżu okazałego budynku mieszkaniec Słupska wyprowadza psa na spacer. Ciepło, z czoła leci pot, z pyska psa kapie piana. Żyć się nie chce.

– Ja o tych rzeczach rozmawiać nie będę – cedzi pan Marek spomiędzy zębów i papierosa. Domyślam się, o jakie „rzeczy" chodzi, i zmieniam temat na inwestycje.

– Tak, basen to jest wstyd na całą Polskę – rzuca mężczyzna.

Pana Marka nie obchodzą rowery, wywiady w telewizji, zieleń na ulicach. Pana Marka interesuje beton.

– Żeby tyle lat to stało?! – unosi się. – Miasto prawie stutysięczne, a wszyscy spier..., przepraszam, uciekają!

↦

↦ Puenta rozmowy jest tym bardziej smutna, że pan Marek w końcu przyznaje: głosował na Biedronia. Mimo „tych rzeczy": – Dla nas wtedy nie było ważne, kto i z kim – mówi. – Tylko żeby było inaczej. No to jest: figa z makiem.

Słupszczanie mówią mi z przejęciem, że cztery lata temu w ogóle nie miała znaczenia orientacja seksualna prezydenta. Chodziło o to, by w mieście w końcu było inaczej. Żeby przyszedł ktoś „spoza układu" i „pozamiatał". Dzisiaj – dodają – wychodzi na to, że w „układzie" trzeba być, żeby cokolwiek na urzędzie zrobić.

W Słupsku jest ponad 90 tys. mieszkańców. Jak wynika z danych GUS z 2017 r., w ciągu ostatnich 15 lat ubyło prawie 9 tys. ludzi. Miasto nie wyróżnia się *in minus* – na tle podobnych, ekswojewódzkich – w kwestii otoczenia dla biznesu. Od 1997 r. funkcjonuje tu (ale także na terenie woj. pomorskiego i zachodniopomorskiego) Słupska Specjalna Strefa Ekonomiczna. Przez lata stopniowo rozszerzana przez rząd, jest dziś przestrzenią dla najważniejszych pracodawców w mieście i okolicach. W marcu 2018 r. bezrobocie w Słupsku było o połowę mniejsze niż w słupskim powiecie i wynosiło 3,7 proc.

Według Anny Rożek, problemem Biedronia jest brak konsekwencji i stosowanie podwójnych standardów: – Np. tyle mówi o miłości do zwierząt, a oszczędza na budowie schroniska – mówi radna. – Władze uparły się na miejsce oddalone od Słupska, dwa kilometry od przystanku.

Zdaniem Anny Rożek i radnego Pawła Szewczyka, który w tej sprawie występował z nią ramię w ramię, w ramach oszczędności projekt schroniska okrojono tak, że w jednym boksie ściśniętych byłoby zbyt wiele stworzeń. – Zrezygnowano z budowy pawilonu dla zwierząt – mówi Rożek. – Wiceprezydent odpowiedzialny za budowę ukrywał przed radnymi zmiany i oszczędności. Dopiero po walce dostaliśmy dostęp do informacji. Dzięki poświęceniu wolontariuszy być może sytuacja zwierząt w nowym schronisku nie będzie taka zła.

Rozsławił nas

Arkadiusz Kowalski, tutejszy nauczyciel języków obcych, jest zupełnie innego zdania. Podobają mu się oszczędności w urzędzie, ale też szukanie ich poza Ratuszem. Dla niego nieskończone inwestycje nie są problemem – ważne, że po erze marazmu coś się w ogóle zaczyna budować.

– Jedną z ważnych inwestycji jest wymiana niemal całego oświetlenia miejskiego na lampy ledowe – zwraca uwagę pan Arkadiusz. – To przyniesie oszczędności i przyczyni się do ochrony środowiska. Jednym z priorytetów prezydenta jest projekt „zielonego miasta".

Część nadwyżki budżetowej (według ratusza to 28 mln zł) ma zostać przeznaczona m.in. na remonty dróg, które pan Arkadiusz również docenia.

– Aquapark? Jest w Redzikowie, sześć kilometrów stąd. To niepotrzebna inwestycja. Dzisiaj można uznać, że eksperyment Biedronia w Słupsku się powiódł – stwierdza.

Można odnieść wrażenie, że słabe punkty prezydenta potrafią dostrzec samorządowcy i lokalni dziennikarze. Mieszkańcy, z którymi rozmawiam, są w większości zadowoleni, że ich miasto wyrwało się z szarości. Dziś „Słupsk to Biedroń", który – jak mówi mi jeden z mieszkańców – to miasto „rozsławił".

Inny rozdźwięk: jedni mówią, że prezydent nie boi się spotkań. Drudzy, że próbowali się dostać do ratusza ze swoim problemem, ale się nie udało. – Wielu Biedronia po prostu nie rozumie – mówi Piotr Struś. – Niektóre jego działania są zaskakujące. Ludzie się denerwują, że nie ma go w mieście. Ale zawsze stoi za tym jakiś cel. Miasto stało się bardziej kolorowe, choćby za sprawą murali. Jest też więcej plenerowych imprez. A to dla zwykłych ludzi ważne.

Widać, że dla wielu Biedroń ciągle jest „trzecią drogą": alternatywą wobec PiS-u i PO. – Nie chciałbym pisuarów czy platformersów – mówi Piotr Struś.

Co da Biedroń polityce centralnej?

– Będzie maskotką jednego sezonu – Anna Rożek nie boi się ostrych ocen. – Dużo frazesów niepopartych działaniami, dużo pustych uśmiechów.

A jednak jeszcze na początku 2018 r. wyglądało, że jeśli Biedroń zdecydowałby się pozostać, drugą kadencję miałby w kieszeni. Z badania pracowni IBRiS wynikało, że zdobyłby 54 proc. głosów.

© MARIUSZ SEPIOŁO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PREMIERA

Już w sprzedaży
kolejne wydanie specjalne
„Tygodnika Powszechnego"

Na wydarzenia lat 1918, 1945, 1989, 2004 i 2018 patrzą historycy, politycy, pisarze, filozofowie i reporterzy, ale jest jeszcze jedna, przekraczająca kategorie zawodowe, perspektywa.
W dziale „Polska jest kobietą" oddajemy głos tym, których rolę często pomija historia, choć dzięki ich mocy i niezłomności nasze stanowienie Niepodległej mogło stać się faktem.

Niezastąpiona lektura podczas Roku Niepodległości.
Już w salonach prasowych oraz w e-wydaniu

ARTUR SZCZEPAŃSKI / REPORTER

Demonstracja w obronie niezawisłych sądów, Olsztyn, sierpień 2018 r.

W stronę pata

PROF. WŁADYSŁAW CZAPLIŃSKI, PRAWNIK:

Jeśli Trybunał Sprawiedliwości UE powie, że nowa ustawa o SN narusza zasadę nieusuwalności sędziów, nie będzie można wydać wyroku opartego na przepisach sprzecznych z prawem unijnym.

ADAM PUCHEJDA: Jarosław Gowin nie wyklucza, że rząd nie uzna orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości w Luksemburgu. Może to zrobić?

WŁADYSŁAW CZAPLIŃSKI: Politycy mogą wiele, ale byłoby to poważne naruszenie prawa unijnego.

Prawica twierdzi, że reforma sądownictwa w Polsce nie podlega ocenie z punktu widzenia prawa unijnego.

Tyle że to nieprawda. Po pierwsze, w momencie, gdy weszliśmy do UE, zobowiązaliśmy się, że będziemy przestrzegali porządku prawnego Unii, a w tym porządku istotną rolę odgrywa sądownictwo. Po drugie, sądy krajowe są sądami unijnymi, w tym sensie, że znakomita większość spraw dotyczących stosowania prawa unijnego jest rozstrzygana przez sądy krajowe. Udział Trybunału Sprawiedliwości w unijnym obrocie prawnym jest niewielki. Większość spraw sądzona jest na poziomie krajowym. Kraje członkowskie mogą, oczywiście, decydować o takich kwestiach jak organizacja czy właściwość sądów itp., ale przestrzeganie zasad dotyczących statusu sędziów i funkcjonowania sądownictwa jako pewnej całości reguluje – jak najbardziej – prawo unijne.

Jaką rolę odgrywa więc TSUE?

Po pierwsze, rozpatruje skargi związane z naruszeniami prawa unijnego przez państwa. Po drugie, decyduje o ważności aktów prawnych UE. Po trzecie, zajmuje się sprawami odszkodowawczymi za bezprawne działania instytucji. Po czwarte – to nas w tej chwili interesuje najbardziej – rozpatruje tzw. pytania prejudycjalne.

Czym one tak naprawdę są?

W mniemaniu ojców założycieli UE miała tworzyć jednolity obszar gospodarczy i prawny. A skoro tak, to musimy mieć pewność, że wszystkie sądy w państwach członkowskich UE będą interpretowały prawo w taki sam sposób. Zapewnieniu jednolitości funkcjonowania prawa unijnego służą właśnie pytania prejudycjalne. Sądy krajowe, które mają tu wątpliwości, mogą, a w pewnych sytuacjach muszą zapytać Trybunał w Luksemburgu o sposób rozumienia prawa unijnego.

W obecnej sytuacji Sąd Najwyższy, działając jako sąd krajowy, ale rozpatrując sprawę, która jest związana z obowiązywaniem i funkcjonowaniem prawa unijnego, uznał, że jest to materia na tyle poważna i niejasna, że konieczna jest wykładnia TSUE. Zapytał więc Trybunał, co prawo unijne ma do powiedzenia na temat zasady niezawisłości sędziowskiej i zasady nieusuwalności sędziów.

I mógł zawiesić prawo krajowe?

Z punktu widzenia prawa unijnego – oczywiście tak. Z punktu widzenia ministra sprawiedliwości – najwyraźniej nie, ale to świadczy albo o złej woli, albo o tym, że minister nie rozumie, jak funkcjonuje prawo unijne. Jest zasadą, że sąd krajowy musi zapewnić skuteczną ochronę prawną obywateli danego kraju. Elementem tej ochrony jest zaś zapobieżenie sytuacji, w której jednostka w wyniku działania prawa krajowego, mogącego zostać uznanym za niezgodne z prawem unijnym, poniosłaby jakąś niepowetowaną szkodę.

W związku z tym sąd krajowy musi mieć możliwość przeciwdziałania takiej sytuacji. TSUE w całym szeregu orzeczeń wielokrotnie stwierdzał, jakie warunki muszą spełniać przepisy krajowe, które stanowią podstawę tzw. ochrony tymczasowej. To wcale nie musi być środek prawny, używając języka technicznego, to nie musi być jakaś instytucja, która jest stworzona specjalnie na potrzeby UE. W prawie krajowym są pewne reguły, które pozwalają na tymczasowe zabezpieczenie postępowania. A nawet jeśli ich nie ma – na co też mamy przykłady – dane państwo (jego sąd) – musi, jeśli chce pozostawać w zgodności z prawem unijnym, znaleźć jakieś sposoby zabezpieczenia.

Czy TSUE jest Sądem Najwyższym UE?

TSUE o tyle nie jest Sądem Najwyższym UE, że tylko interpretuje prawo. Nie jest sądem odwoławczym w takim sensie jak np. polski Sąd Najwyższy. Nie rozstrzyga sporów merytorycznie. Spór rozstrzyga zawsze sąd krajowy.

Mechanizm jest taki, że sąd krajowy zadaje pytanie, TSUE odpowiada, a wtedy sąd krajowy (a nie np. rząd) ma obowiązek wziąć pod uwagę tę odpowiedź. Rozstrzygnięcie merytoryczne pochodzi od sądu krajowego. Jedyna zależność polega na tym, że sąd krajowy jest związany wykładnią prawa unijnego – tym, jak TSUE zinterpretował przepis. Bardzo często ↦

↦ zdarza się jednak, że Trybunał, odpowiadając na pytania prejudycjalne, skierowane przez sąd krajowy, mówi: prawo unijne, o które pytasz, brzmi tak i tak, musimy je interpretować w taki i taki sposób, ale teraz twoim zadaniem jako sądu znającego prawo krajowe, znającego miejscową sytuację i zwyczaje, jest zastosować to, co powiedzieliśmy, do konkretnego sporu.

Może Pan podać przykład?

Słynne orzeczenie w sprawie Francovich i Bonifaci – chodziło o niewywiązanie się Włoch z obowiązku wykonania dyrektywy unijnej. TSUE orzekł wtedy, że państwo członkowskie może ponosić odpowiedzialność za niewdrożenie dyrektywy, ale żeby tak się stało, muszą być spełnione warunki A, B, C. Sprawa wróciła do sądu krajowego, który stwierdził, że warunki A i B są spełnione, ale warunek C nie, więc odszkodowanie się nie należy.

Znana jest sprawa orzeczeń Trybunału w sprawie handlu w niedzielę w Wielkiej Brytanii. To było pytanie prejudycjalne sądów angielskich związane z tym, że w różnych hrabstwach obowiązywały przepisy określające, że w niedzielę nie można było kupić Biblii, ale można było kupić whisky. I sądy krajowe zaczęły zadawać pytania na temat zgodności tych regulacji z prawem unijnym. TSUE odpowiedział: my interpretujemy prawo unijne dotyczące swobody przepływu towarów w taki i taki sposób, a to wy (sąd krajowy) rozstrzygacie, czy na waszym terenie jest zwyczaj handlu w niedzielę, czy go nie ma.

W Polsce sprawa wydaje się bardziej skomplikowana.

Jedna z kwestii dotyczy ubezpieczeń społecznych, naliczania składek i świadczeń, i tam SN pyta, czy obowiązujące ustawodawstwo, przewidujące obniżenie wieku emerytalnego, jest zgodne z zasadą nieusuwalności sędziów. Bo jeśli sędziowie – jak *de facto* stwierdza ustawa – nie są nieusuwalni, nie są też niezawiśli. A skoro nie są niezawiśli, to ta regulacja narusza prawo unijne – Karta Praw Podstawowych gwarantuje prawo do niezawisłego sądu. SN pyta po prostu, co mamy zrobić: czy możemy zastosować prawo, które narusza zasadę nieusuwalności sędziów?

Mówiąc o niezawisłości sądów powołuje się Pan na Kartę Praw Podstawowych. Wielu prawników przypomina jednak, że w Polsce te przepisy nie obowiązują.

To nieprawda: istnieją pewne ograniczenia dotyczące jurysdykcji Trybunału, nie znaczy to jednak, że sama Karta nie obowiązuje. Ale nawet gdybyśmy uznali – na potrzeby tej rozmowy – że Karta w Polsce nie działa, można przedstawić inne, równie mocne uzasadnienie. Zasada praworządności jest przecież sformułowana w artykule 2 Traktatu o UE, a jej elementem jest trójpodział władzy, niezależność władzy sądowniczej, a co za tym idzie: nieusuwalność sędziów.

Czy możemy jednak mówić o jednych rządach prawa, zasadzie „rule of law", czy o różnych jej odmianach?

Nas interesuje to rozumienie praworządności, które wynika z naszego członkostwa w Unii. A to jest już określone przez Komisję Wenecką i przez wiele orzeczeń, w których TSUE daje sądom krajowym wskazówki, jak oceniać, czy państwo jest praworządne, czy też nie. Kiedy wchodziliśmy do UE, właśnie to konkretne rozumienie praworządności – moim zdaniem uniwersalne, ale to na marginesie – było u nas badane i wtedy myśmy te warunki spełniali. Dziś to już nie ma – obawiam się – miejsca. No i jeszcze, co istotne, Polska przyjmując traktat lizboński zgodziła się, że państwa członkowskie akceptują zasadę prymatu prawa unijnego w takim kształcie, w jakim ono zostało ukształtowane w unijnej praktyce, czyli zgodnie z wyrokami TSUE.

Wyrok może odbić się na sytuacji prawnej obywateli Polski w krajach Unii?

I tak, i nie. To, że rząd polski jest traktowany jako naruszający prawo unijne, z punktu widzenia prawa unijnego nie ma znaczenia dla traktowania polskich przedsiębiorstw i polskich obywateli przez instytucje UE. Możemy korzystać ze wszystkich swobód unijnych. Natomiast orzeczenia polskich sądów mogą nie być wykonywane w innych państwach członkowskich – i w tym sensie sytuacja odbije się na pozycji jednostek.

Załóżmy, że mamy odpowiedź Trybunału i że jest ona niekorzystna dla rządzących. Tyle że starsi sędziowie Sądu Najwyższego już zostali pozbawieni stanowisk, funkcjonuje nowa KRS i mamy nowych sędziów. Fakty wyprzedziły wyrok Trybunału.

W takiej sytuacji będziemy mieli podwójny system prawny. Kiedy sędziowie SN otrzymają odpowiedź Trybunału, będą musieli wydać orzeczenie w sporze merytorycznym. A skoro – jak można się domyślać – TSUE powie, że nowa ustawa o SN narusza zasadę nieusuwalności sędziów, to sędziowie nie będą mogli wydać wyroku opartego na prawie, które jest sprzeczne z prawem unijnym.

I co wtedy?

Wtedy minister sprawiedliwości pewnie powie: wszczynamy postępowanie dyscyplinarne przeciw sędziom, którzy nie chcą wydać wyroku na podstawie wadliwego prawa – a sędziowie powiedzą: chwileczkę, postępujemy zgodnie z prawem unijnym, jak wskazał TSUE, i zgodnie z konstytucją, bo art. 9 mówi, że RP przestrzega umów międzynarodowych. Minister grozi postępowaniem dyscyplinarnym za przestrzeganie przez SN prawa unijnego, zgodnie z konstytucją.

To pat. Władza wykonawcza mówi jedno, sądownicza – drugie.

Nie, ten spór będzie eskalował.

Rząd wyprowadzi sędziów siłą?

Nie wiem, ale w obecnej sytuacji ja w ogóle pewnych rzeczy nie mogę sobie wyobrazić. Jeśli sąd wyda wyrok stwierdzający, że ustawa o SN narusza prawo unijne, to nie można jej stosować. To jest nie tylko zgodne z prawem unijnym, to wręcz nakaz prawa unijnego. Nikt tego nigdy nie kwestionował. Niemcy zmieniły konstytucję z tego powodu, Francja podobnie. Tylko polski rząd się z tym nie liczy, przynajmniej w warstwie słownej.

Nie ma wyjścia z tego klinczu?

TK powiedział kiedyś, że jeżeli dochodzi do sprzeczności między prawem unijnym i prawem krajowym – a właściwie z konstytucją – są trzy możliwości: albo doprowadzić do zmiany prawa unijnego, albo zmienić konstytucję, albo wyjść z Unii. ©

Rozmawiał ADAM PUCHEJDA

RAFAŁ GUZ / PAP

WŁADYSŁAW CZAPLIŃSKI *jest profesorem prawa międzynarodowego i prawa UE w Instytucie Nauk Prawnych PAN i w Centrum Europejskim Uniwersytetu Warszawskiego.*

Góry śmieci

MAREK RABIJ

Buty wysokogórskie – 2,8 tys. zł. Śpiwór – 3,5 tys. zł. Zdjęcie na najwyższym szczycie świata – bezcenne. Jeśli nie liczyć kosztów, które ponosi przyroda.

Kilkanaście dni temu w internecie pojawiły się zdjęcia śmieci pozostawionych przez tegoroczną polską wyprawę zimową na K2. Ekspedycja działała pod auspicjami Ministerstwa Sportu i Turystyki, które przyznało jej milion złotych dofinansowania na rozsławianie imienia Polski za granicą. Jej uczestnicy szybko wyjaśnili, że winę ponosi miejscowa agencja, która miała znieść odpady niżej, skąd zabiorą je następnie władze parku narodowego. Tłumaczenie brzmi wiarygodnie. Tylko czy wystarczy do zatarcia fatalnego wrażenia?

– Zapewniono nas, że w momencie, kiedy w internecie pojawił się film z bazy pod K2, nakręcony jeszcze w czerwcu, nasze śmieci były już uprzątnięte – twierdzi kierownik wyprawy Krzysztof Wielicki. – Ale powiem szczerze, że nie mam pewności, co stało się z nimi dalej. Pakistan powinien zająć się ich utylizacją, bo za to płacimy opłatę środowiskową. W praktyce, sądząc choćby po wyglądzie siedmiu pakistańskich baz wojskowych w Karakorum, które dosłownie toną w odpadach, różnie być może.

W tej sytuacji – jak przyznaje sam Wielicki – być może należy zrewidować model działania dużych wypraw w wysokich górach i z premedytacją odpuścić sobie część wygód. Ekspedycyjna logistyka w ostatnich dekadach uległa gigantycznej poprawie. Nikogo nie dziwi dziś stała łączność telefoniczna z bazą i dostęp do internetu. Część namiotów ma też ogrzewanie.

– W 1987 r., podczas pierwszej wyprawy na K2, nikt nie myślał, żeby ogrzewać gazem messę, tematem była góra, nie ogrzewanie – śmieje się Wielicki.

Western Barbecue

– Sytuację w gruncie rzeczy mogłyby łatwo opanować władze himalajskich krajów, bo tych kilkanaście ton w skali roku nie stanowi problemu nie do rozwiązania – kwituje himalaista. – W praktyce nikomu na tym w Nepalu i Pakistanie nie zależy.

Tegoroczny sezon wiosenny na Everestcie był najbardziej udany w dziejach: 11 dni doskonałej pogody pozwoliło wejść na szczyt 715 osobom. Góra stała się również sceną dla kilku innych wyczynów. Wspinacze wynajęci przez kalifornijską stację radiową ASK FM ukryli na szczycie kwity na okaziciela, potwierdzające posiadanie kryptowaluty o równowartości 50 tys. dolarów. Na Przełęczy Północnej (7200 m n.p.m.) Brytyjczyk Neil Laughton wraz z trzema współbiesiadnikami zasiadł z kolei do „najwyższej kolacji świata", której celem była zbiórka 150 tys. funtów dla mieszkańców regionów Nepalu, które najbardziej ucierpiały w trzęsieniu ziemi przed trzema laty. Menu, złożone m.in. z aperitifu na bazie 12-letniej metaxy, tostów z szampanem na przystawkę, zupy miso, jagnięcego tagine'u i deseru z czekolady, przygotował dla wyprawy Sat Bains, znany brytyjski szef kuchni prowadzący w Nottingham restaurację z dwiema gwiazdkami Michelin. Panowie włożyli do kolacji smokingi, panie – suknie wieczorowe.

W zeszłym roku Himalayan Database – najbardziej miarodajne źródło informacji o ruchu wspinaczkowym w Nepalu – odnotowała 825 wejść na szczyt w sezonie wiosennym. Uwaga wspinaczy tradycyjnie koncentrowała się na szczycie Everestu, który zdobyto 648 razy, i pobliskim Lhotse (8516 m n.p.m.), na który przez Kocioł Zachodni prowadzi trasa pokrywająca się w znacznej części z drogą pierwszych zdobywców Everestu. Kocioł, zwany slangowo Western CWM, w ostatnich latach zyskał ironiczne miano Western BBQ – nie tylko z powodu ↦

REKLAMA

↦ koszmarnych upałów, jakie wiosną przy słonecznej pogodzie męczą na tym rozległym śnieżnym płaskowyżu wspinaczy, ale także z racji coraz częstszego widoku Szerpów przygotowujących tu grilla dla klientów komercyjnych wypraw.

Droga pierwszych zdobywców z maja 1953 r. zmieniła się w rodzaj wysokogórskiego wesołego miasteczka, reklamowanego hasłem „Everest dla każdego". Za odpowiednio wysoką opłatą (od ok. 30-40 tys. dolarów wzwyż) wysokogórscy przewodnicy naprawdę gotowi są wciągnąć na szczyt każdego. Zachodnie biura podróży, nazywające się dla niepoznaki agencjami wysokogórskimi, kuszą klientów ogrzewanymi namiotami bazowymi z materacami wielkości łóżka hotelowego i z dywanem na podłodze. Nikogo nie dziwi dziś widok amatora, który z trudem brnie w górę wspierany przez dwóch, a nawet trzech doświadczonych Szerpów. Powyżej 7 tys. m n.p.m. klienci poruszają się już wyłącznie w maskach tlenowych, oddychając tlenem z butli dostarczonych im uprzednio do poszczególnych obozów przez tragarzy. Po sezonie sprawne butle z reguły trafiają z powrotem w doliny, bo są zbyt cenne. Uszkodzone lub porzucone przez klientów w pobliżu wierzchołka z reguły zostają na górze do czasu, aż zabierze je kolejna wyprawa sfinansowana przez Japanese Alpine Club, który mniej więcej co dwa lata organizuje sprzątanie Everestu.

W zeszłym roku z najwyższej góry świata zniesiono 11 ton śmieci. W tym roku tylko po sezonie wiosennym w bazie pod Everestem zostało po wspinaczach 8,5 tony odpadków. Sporo – jak na jedną morenę lodowcową, obleganą od kwietnia do końca maja przez wielotysięczny tłum kandydatów na „summitersów".

Z drugiej strony w polskich Tatrach – prawie sześć razy mniejszych od Parku Narodowego Sagarmatha, na terenie którego wznosi się Mount Everest – 3,5 mln turystów rokrocznie pozostawia około 40-50 ton śmieci oraz odpadów. Mniej więcej połowę z nich Tatrzański Park Narodowy usuwa bezpośrednio ze szlaków.

Tylko z przewodnikiem

– Everestowi wyrwano zęby – mówił mi w 2013 r. wybitny szwajcarski alpinista Ueli Steck, który w ubiegłym roku zginął w Himalajach na stokach Nuptse. – Władze coraz częściej oczekują od nas, że będziemy działać jak wyprawy komercyjne, z wielką bazą i stałymi obozami, bo na tym modelu można więcej zarobić. Urzędnicy, którym tłumaczę, że jedziemy w góry z minimalnym ekwipunkiem, podejrzewają, że próbujemy coś przed nimi ukryć. Pod tym względem cofnęliśmy się o kilka dekad.

Duże agencje od lat lobbują w Kathmandu, m.in. za wprowadzeniem zakazu wychodzenia w góry bez towarzystwa przewodnika wysokogórskiego czy za zakazem wyprzedzania zespołu Szerpów zakładających liny dla wypraw komercyjnych. Absurd? W Nepalu, o którym mówi się, że obok buddyzmu najważniejszą religią kraju stał się turyzm, nie brak zwolenników pełnego podporządkowania gór wysokogórskiemu biznesowi.

Górski rachunek strat i zysków teoretycznie obejmuje również koszty środowiskowe. Od 2013 r. Nepal pobiera od każdego wspinacza 4 tys. dolarów kaucji środowiskowej, która podlega zwrotowi, jeśli w drodze powrotnej uczestnik wyprawy zniesie w doliny co najmniej 8 kg śmieci. Wielu zamożnych uczestników wypraw komercyjnych, którzy za udział płacą po 70-80 tys. dolarów, traktują to jednak jak opłatę jedną z wielu – trzeba ją ponieść w trakcie wakacji życia, których nie zamierzają psuć sobie sprzątaniem. Według Komisji Kontroli Zanieczyszczeń Parku Narodowego Sagarmatha (SPCC) w 2017 r. wspinacze w całym Nepalu znieśli prawie 25 ton śmieci i 15 ton ludzkich odchodów. Jednocześnie same władze przyznają, że blisko połowa wspinaczy nawet nie zgłasza się po odbiór kaucji.

Po stronie tybetańskiej wyprawy zobowiązano do znoszenia takiej samej wagi ładunku, jaką wniosły do bazy. Grzywna za każdy brakujący kilogram wynosi 100 dolarów. Po ubiegłorocznym sezonie wspinaczkowym władze chińskie zebrały po swojej stronie Himalajów 5,2 tony śmieci i blisko tonę sprzętu porzuconego przez wspinaczy. Biorąc pod uwagę tempo, z jakim przybywa kandydatów do wejścia na najwyższą górę świata, ryzyko katastrofy ekologicznej rośnie skokowo z każdym rokiem.

– Moim zdaniem większość wspinaczy ze sportowym zacięciem dba o góry, które są areną dla ich pasji – mówi Krzysztof Wielicki, kierownik ostatniej polskiej wyprawy zimowej na K2. – Uczestnicy wypraw komercyjnych mają niestety inne nastawienie: przyjeżdżają po zdjęcie ze szczytu do powieszenia w gabinecie. Góry ich nie interesują. To ich jest dziś w Himalajach więcej od sportowców.

©℗ MAREK RABIJ

DOMA SHERPA / AFP / NEWS

ANNA

Dziewit-Meller: *Antymateria pamięci*

Kiedy kilka lat temu zaczynałam pracę nad powieścią o zagładzie chorych psychicznie, „Góra Tajget", nie wiedziałam, jak bardzo ta zbrodnia – będąca wszak prawdziwą uwerturą do Holokaustu – została zapomniana i pominięta w oficjalnych, ale i prywatnych kalendarzach upamiętnień przeszłości. Myślałam długo, że to tylko ja mało wiem, a okazało się, że mało albo nic wiedzą prawie wszyscy.

Trzymam dziś w ręce katalog wystawy, która została zaprezentowana podczas konferencji „Zagłada chorych – pamięć i wyzwanie" 11 kwietnia 2017 r. w Senacie RP, w ramach wydarzeń związanych z I Kongresem Zdrowia Psychicznego. Czytam w nim: „Program eutanazji zwany także akcją T4 był realizowanym w III Rzeszy w latach 1939-1945 programem zabijania osób z zaburzeniami psychicznymi. (...) Według oficjalnych danych w ramach »planowej eutanazji« od stycznia 1940 roku do sierpnia 1941 straciło życie 70 273 obywateli". Ale ofiar było znacznie więcej. Ginęły one także na ziemiach polskich – w szpitalach psychiatrycznych w Kocborowie, w Świeciu nad Wisłą, w Owińskach (tu po raz pierwszy wypróbowano nową jakościowo technikę zabijania – trucie tlenkiem węgla), w Dziekance koło Gniezna, w Kościanie (gdzie użyto kolejnej nowinki technicznej – samochodów-komór gazowych, co ułatwiło Niemcom zabijanie na przemysłową już skalę) i w łódzkiej Kochanówce, zabijano w Chełmie Lubelskim i w Kobierzynie, w Lublińcu czy Rybniku. Nawet w miejscach, w których nie dokonywano mordów w ramach akcji T4 – jak w podwarszawskich Tworkach, w Zofiówce czy Szpitalu im. Jana Bożego w Warszawie – wszędzie tam chorzy psychicznie ginęli, z głodu, od kul lub przy bombardowaniach, nie mając żadnych szans na ratunek.

Współautor wystawy, prof. Tadeusz Nasierowski – człowiek, który dla przywrócenia pamięci o tamtej zbrodni od lat opowiada historię jej ofiar – razem z Grażyną Herczyńską z Komisji Psychiatrii Polskiej PTP kolejny rok próbuje zainteresować opinię publiczną tą kwestią, także po to, by móc tysiącom nieraz bezimiennych nieszczęsnych ludzi (w tym wielu dzieciom) postawić pomnik.

W kraju opętańczej pomnikomanii wydawałoby się, że nic prostszego – postawić pomnik kolejny – a jednak z jakichś względów tego właśnie pomnika wciąż nie ma. Możliwe po prostu, że są jakieś kategorie ludzi godnych rozmaitych upamiętnień bardziej i takich, którzy nadają się mniej. Dajmy na to Łupaszka, mający choćby to eleganckie kwieciste rondo w Ostrołęce – godzien bardziej; pomordowane w Lublińcu dzieci – mniej.

Spotkałam niedawno reżyserkę filmów dokumentalnych z Nowego Jorku – pochodzącą z Ukrainy Żydowkę Ofrę Bloch – która pracowała nad filmem poświęconym m.in. postaci niemieckiego artysty Horsta Hoheisela. Człowiek ów jest jednym z najbardziej znanych przedstawicieli nurtu „antypamięci" (to moja interpretacja terminu *counter memory*, stosowanego przez artystów), twórcą antypomników, próbującym nieustannie dyskutować z tradycyjnym znaczeniem monumentów mających utrzymywać naszą pamięć w ryzach. Urodzony w 1944 r. w Poznaniu, wrócił kilka lat temu do tego miasta, by wraz z Andreasem Knitzem pracować nad wystawą „Oko pamięci" w przestrzeni CK Zamek – dawnej siedzibie Adolfa Hitlera. Jednym z elementów wystawy był „Pomnik szarych autobusów" – mobilny antymonument wiozący ze sobą pamięć o pomordowanych w ramach T4 pacjentach zakładów psychiatrycznych. Takie właśnie szare autobusy – niegdyś służące poczcie – woziły pacjentów na pewną śmierć. „Dokąd nas zabieracie?" („*Wohin bringt ihr uns?*") – głosi napis w środku autobusu, złożonego z dwóch symetrycznych części, pomiędzy które mógł wejść każdy widz i sam na chwilę poczuć klaustrofobiczne uwięzienie, które towarzyszyć musiało przerażonym ludziom.

Do Hoheisela władze Kassel zwróciły się o projekt mający upamiętnić pomordowanych miejscowych Żydów. Artysta sięgnął po symbol, który jako antypomnik nie pozwolił miastu nigdy zapomnieć o zadanym tu niegdyś gwałcie – jego projekt od lat gniecie, uwiera i prowokuje do dyskusji. W 1908 r. żydowski architekt Karl Roth zaprojektował dla Kassel fontannę, którą w kwietniu 1939 r. zniszczono – tak by oczy führera wizytującego miasto nie musiały cierpieć patrząc na żydowską fontannę. Hoheisel zbudował więc dla Kassel fontannę odwróconą – cieknącą w dół, zamiast do góry. Postawioną na głowie. Gdy moja znajoma zapytała, czy kiedyś fontannę odwróci, powiedział: „Tak, kiedy do Kassel wrócą wszyscy Żydzi".

Przypominając zatem o trwającej wciąż zbiórce na pomnik osób chorych psychicznie pomordowanych w czasie II wojny światowej, którego w kraju pomników zbudować nie sposób, chcę zaproponować myślenie o antyupamiętnieniu, o pokazaniu braku, zamiast wspominania, o nie wypełnieniu pustki, lecz o uwypukleniu jej tak, by każdy, kto obok niej przechodzi, naprawdę zaczął się bać, że go wciągnie, jak odwrócona fontanna, która zaburza miejski porządek w Kassel.

Wszelkie informacje o zbiórce na pomnik (antypomnik?) znajdą państwo na stronie www.przerwane-milczenie.pl. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

REPORTAŻ

TU KAŻDY MA SWOJE K2

„Wróciłeś? Wakacje się skończyły. Tu jest tyle roboty”
– słyszy często w pierwszym telefonie od ojca.
Nie on jeden. Bargielów, którzy poszli w świat, jest jedenastka.

BARTEK DOBROCH

Tam, gdzie inni himalaiści odczuwają krótki moment radości z osiągnięcia trudnego celu, Andrzej Bargiel jest dopiero na starcie. Nie siada nawet na sekundę. Mocno trzyma pozbawione skistoperów, superlekkie narty (gdyby mu się wyślizgnęły, musiałby schodzić pieszo, co zawsze uważał za bardziej niebezpieczny sposób powrotu w doliny niż zjazd). Skoncentrowany na wpięciu w wiązania specjalnych neoprenowych butów, z początku nie widzi lądującego za nim, pilotowanego przez brata drona, w którym wyczerpała się bateria. Najmłodszy z Bargielów, Bartek, też osiąga na K2 życiowy sukces: nikt wcześniej nie filmował człowieka z góry na szczycie ośmiotysięcznika. Nigdy przeznaczony do filmowania dron nie wzbił się wyżej.

Bez nagrań z drona i przymocowanej do kasku narciarza kamery wielu by pewnie nie uwierzyło w to, czego dokonał 22 lipca. Zapiętych na liczącym 8611 m szczycie nart nie odpina aż do znajdującej się na ponad 5000 m podstawy góry – nawet gdy na nadchodzą chmury i musi czekać ponad godzinę na poprawę widoczności w namiocie obozu IV. Gdy się nieco przejaśnia, kontynuuje zjazd, trzymając się krawędzi skał, uciekając z grożących lawinami rozległych pól śnieżnych południowej ściany, a następnie jadąc nigdy niepokonywanym w dół trawersem Messnera, prowadzącym pod gargantuicznymi serakami – kruszącymi się co rusz lodowymi ścianami.

– Mają po 200 metrów wysokości i błyszczą tak, że oczy by wypaliło bez okularów. Patrzyłem do góry, skąd leciały lodowe strzały – opowiada. Na ostatnim jęzorze śniegu kładzie się i leży godzinę, z przypiętymi nadal nartami. Jedną z pięciu par, które ozdobił jego przyjaciel, Sebastian Litner. Nazywają się Family First: nad obrazem góry wznoszą się podpisane inicjałami ptaki. W ten sposób na trasie zjazdu Andrzejowi Bargielowi towarzyszyli jego najbliżsi – dziesięcioro rodzeństwa.

Mleczne dzieci

Droga na najwyższe szczyty zaczyna się w Łętowni, wsi rozciągniętej wzdłuż doliny na styku Beskidu Makowskiego i Wyspowego. Prawie 60 km od Zakopanego, gdzie teraz mieszka, 25 km od Myślenic, do których dobiegał trenując jako nastolatek, 7 km od Jordanowa, w którym kończył szkołę, 15 km od Rabki, w której się urodził w 1988 r., jako dziewiąte dziecko Marii i Józefa. Czternaście lat wcześniej w tym samym szpitalu na świat przyszedł pierworodny Robert, a 2 lata po nim Grzesiek. Później rodziły się córki: Ania, Gosia, Ewa, Basia, Agata, Jadzia, a po Jędrku jeszcze Ela i Bartek, 20 lat młodszy od Roberta.

Dzieci była jedenastka, poletek – 38 w trzech wsiach. Łącznie 4,5 hektara pól i lasu. – Do skoszenia były dwa hektary. Kosą, bo ojciec miał problem z kosiarką. Trzeba też było orać pola. Koniem. Ciąć i zwozić z lasu drzewo na opał, a potem je rąbać – wylicza Jędrek, gdy rozmawiamy na butwiejącej ławce nad potokiem.

Do tego grabienie, zwożenie siana i słomy, żniwa, kopanie ziemniaków, rozwożenie obornika. No i praca przy zwierzętach. Dziś pozostała już tylko krowa.

Ojciec przez jakiś czas dorabiał jako mleczarz. Wstawał o trzeciej, zbierał po wsi bańki z mlekiem i odwoził do mleczarni, z której przywoził potem sery. Czasem pomagał mu w tym Andrzej. Po tym, jak starsi bracia opuścili dom, ojciec widział w nim następcę w gospodarstwie.

– Jesteśmy dziećmi mleczarza. Mlecznymi dziećmi – zauważa trzy lata starsza od Jędrka Agata. – Przeżyliśmy głównie dzięki mleku. Nasi rodzice nie zarabiali. Mieliśmy buty po starszym rodzeństwie. Czasem przychodziły paczki od znajomych, a w nich rzeczy, w które się śmiesznie ubieraliśmy. Uciekaliśmy do tworzenia, do przestrzeni. Andrzej wychodził, żeby uspokoić głowę, opuścić ten ul, gdzie nikt nie miał własnego pokoju.

Gdy szli całą rodziną do kościoła, koleżanki ze wsi mówiły Marii: „Fajne masz te dzieci, ale takie dziwne”.

– Gdy po powrocie do szkoły mieliśmy rysować wakacje, próbowałam przedstawić plażę, a na niej rodzinę. Tyle że w ubraniach – mówi Anna, najstarsza z sióstr, drobna blondynka, kuratorka w krakowskim Bunkrze Sztuki. – Nie wiedziałam, co się robi na plaży. Wszyscy się śmiali.

Opisując przygody z wakacji, notowaliśmy: „Wyszłam z krowami, rozpętała się burza, krowa sąsiadki biegła na nas...” – przywołuje podobną historię Agata. – Mieliśmy dyżury przy krowach, rano i wieczorem. To był czas zabawy, siedzenia na drzewach, chodzenia na grandę, grania w państwa-miasta, leśnych przygód.

MARCIN KIN

↦ Wiele przygód rozgrywało się w wyobraźni. Siedzieli na jakiejś górce i snuli wizje, gdzie wybudują wyciąg, gdy będą bogaci. W telewizji u sąsiadów Andrzej oglądał skoki i relację z zimowej wyprawy na K2, śmiejąc się, że można by tam jeździć na nartach.

Pierwsze narty przywiózł mu od dziadka z Chochołowa Grzesiek. Nie dało się na nich jeździć: były skorodowane i wypadały z nich wiązania. Jędrek załatwił więc inne, od sąsiada, którego ojciec pracował w Niemczech. Wymienił na nie scyzoryk i paletki do ping-ponga. Były to narty do skoków, miały dwa metry długości. Uciął je piłą w połowie i przestawił wiązania. Kompletu dopełniały buty, które nawet dziś byłyby na niego za duże. Z takim sprzętem z grupą okolicznych dzieciaków ubijał jodełką trasy narciarskie na okolicznych górkach i budował skocznie, na których dało się skakać do 30 metrów.

– Te wszystkie nasze wizje, że będziemy sobie robić rowerki, przyczepimy do nich skrzydła, by skakać z wysokiego pola i lecieć, ukształtowały też Andrzeja. Jego marzenia do niedawna wydawały się wielu osobom majaczeniami wariata – mówi Agata, ciemnowłosa, nieco hipisowska w stylu. Wszystkie siostry są do siebie podobne, obdarzone mocnymi rysami, klasyczną urodą jakby z międzywojennej fotografii. „Jakby" jest słowem, którego często używają. Jak ludzie, którzy pewność siebie musieli budować od podstaw.

Przeciw schematowi

Górskich tradycji w rodzinie nie było. Jedyny łącznik z Tatrami stanowili dziadkowie z Chochołowa. Pradziadek, gdy wybuchła I wojna światowa, uciekł z bratem do Czech, tam nauczył się budować domy. Stawiał potem najpiękniejsze wille w Łętowni, w tym dzisiejszy dom Bargielów. Prowadził też karczmę, którą przejęli potem dziadek i babcia Andrzeja. Dziadek chciał zostać weterynarzem, ale wybuchła kolejna wojna. W jej trakcie dziadkowie ukrywali na strychu żydowską rodzinę (nie przeżyła, bo ktoś ją wydał – opowiadali wnukom). Po wojnie kupili pole, by wykarmić dzieci. Wkrótce jednak zostawili na gospodarstwie 21-letnią córkę Marię, którą wyswatali z Józefem Bargielem, a sami przenieśli się do Chochołowa. Żyli równie biednie jak w Łętowni: przeciekał dach, przez który, jak Maria Bargiel opowiadała dzieciom, umierająca ciotka miała widzieć gwiazdy.

Gdy dużo się dzieje i świat pędzi, wraca do rodzinnego domu i robi rzeczy, które są takie jak dawniej. **Nie musi rozmawiać o K2.** Może odnaleźć harmonię.

Podczas wizyty na chrzcinach u wujka na pobliskiej Płazówce Andrzej zobaczył po raz pierwszy Tatry. – Przeraził mnie ich ogrom. Ciężko było mi sobie wyobrazić, że można te góry okiełznać – wspomina.

Na razie próbował okiełznać rower górski. Kolarstwo górskie uprawiała już Gosia. Rywalizowała w zawodach z najlepszymi: Mają Włoszczowską i Anną Szafraniec. Rodzeństwo twierdzi, że mogła osiągnąć to, co one, gdyby nie dwa razy cięższy rower, brak możliwości treningu i odpowiedniego żywienia.

– Siostry miały dużo większy talent do sportu – mówi Andrzej. – Ewa, Jadzia czy Ela nigdy nie biegały, a w zawodach szkolnych były zawsze najlepsze. Pokonywały dziewczyny, które trenowały w klubach.

Sportową drogą poszła jeszcze tylko Jadzia – nauczycielka wf-u. Pozostałe siostry wybrały ścieżkę artystyczną. Sztuka i nauka były obok sportu sposobami na bunt przeciw schematowi, w jaki próbowali wepchnąć ich rodzice. Bali się zmian. Na nic się nie zgadzali. Józef Bargiel nie popierał nawet edukacji, chyba że miała służyć zdobyciu przydatnego na wsi zawodu. Dlatego Grzegorz już jako 15-latek opuścił dom, by przyuczać się na stolarza.

– Ojciec zakładał, że powinniśmy jeździć, jak kuzynki, do Włoch, opiekować się starszymi ludźmi, a potem zbudować tu dom i kupić używany samochód – mówi Andrzej. – Dla niego był to szczyt sukcesu, naoczna wartość. A nas bardziej niż pieniądze interesowało to, by żyć po swojemu i czerpać radość z tego, co się robi.

Rodzaj sztuki

Konserwatywny świat rodziców nie był jednak szczelny. Wyłomem była tradycja przyjmowania letników.

Anna: – Rodzice siedzieli z nimi wieczorem, pili kawę, palili. A oni opowiadali historie z miast. Zawsze podsłuchiwaliśmy. To było fascynujące. Chcieliśmy wyjść z domu, zobaczyć coś więcej. Mogło nas czekać lanie po powrocie, ale nic by nas nie powstrzymało.

Wymykali się więc. Pod pretekstem pielgrzymki albo wyjazdu na zbiory jabłek, jechali do Jarocina albo na Woodstock. Kasety z muzyką przynosił wcześniej do domu Robert. Ania poznała dzięki niemu zespół Świetliki. W gazecie znalazła wywiad z Teresą Murak, artystką, która obsiewała wszystko rzeżuchą i w porośniętym nią płaszczu wychodziła na miasto. To był pierwszy kontakt ze sztuką współczesną. Gdy poszła na studia, wybrała animację kultury na UJ. Potem skończyła zarządzanie w kulturze i studia kuratorskie.

Anna: – Robiłam wiele rzeczy jako pierwsza w rodzinie. Jako pierwsza miałam nieślubne dziecko, mieszkałam z partnerem bez ślubu.

Był nim związany potem z Grupą Ładnie malarz. Bargielówny poznawały środowisko artystyczne. Basi, która chciała robić zdjęcia, Ania kupiła na urodziny aparat. Młodsza siostra skończyła później studia fotograficzne i scenografię w Londynie, gdzie wcześniej do pracy i na studia pojechała pionierka emigracyjnego szlaku Bargielów, Ewa. Najmłodsza Ela co roku na urodziny otwierała na piętrze domu w Łętowni wystawę swoich prac, a od dwunastego roku życia sama szyła ubrania. Agata skupiła się na ruchu, głosie i teatrze, a ostatnio zaangażowała się w artystyczno-ekologiczne projekty Cecylii Malik. Razem jako „Matki Polki na Wyrębie" karmiły swoje dzieci na pniach masowo wycinanych w Polsce drzew. W małopolskim Kamyku – wsi, w której mieszka Agata i gdzie rozmawiamy – wymyśliły akcję „Siostry Rzeki", protest przeciw regulacji polskich rzek.

Potrzeba kontaktu z naturą i związek z ziemią będą wspólną cechą rodzeństwa i jednym z niewielu łączników z pracującymi nadal na roli rodzicami. Czy będzie się ona wyrażała przez sztukę albo przez

RDC POLSKIE RADIO

BARTEK DOBROCH będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 5 września o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

ARCHIWUM RODZINY BARGIELÓW

Dziesięcioro z rodzeństwa Bargielów. Od lewej z tyłu: Agata, Gosia, Anka z Bartkiem, Basia, Grzesiek, Ewa. Od lewej z przodu: Jadzia, Ela, Andrzej. Jedenasty, Robert, robi zdjęcie.

uprawiany zawsze na wolnej przestrzeni sport.

– To, co robi Jędrek, dla mnie też jest rodzajem sztuki – podkreśla Anna. – Pewien rodzaj wrażliwości znajdziesz u każdego z nas. Z dzieciństwa nie pamiętam konkretnych sytuacji, ale to, jakie było światło w któreś popołudnie. Przebłyski związane z wrażeniami estetycznymi i uczucia, które te wrażenia wzbudzały.

Energia z wiatru

Wsparcie starszego rodzeństwa nie kończyło się na torowaniu szlaków. Miało także bardziej prozaiczny wymiar. Dzięki niemu standard życia u Bargielów się podwyższał, pojawiła się łazienka, a prania nie trzeba było już płukać w zamarzającej zimą Łętówce. Idący na studia młodsi mieli pieniądze na egzaminy i start w wielkim mieście, które rodziców napawało lękiem przed utratą kontaktu z tradycją i Kościołem. Dzięki siostrzano-braterskiej starszyźnie w domu nie panowała anarchia. Najstarsi opiekowali się najmłodszymi. Obowiązkami domowymi dzielili się wszyscy według harmonogramu, który dzieci narzuciły sobie same. – Przetrwaliśmy, bo się wspieraliśmy – uważa Agata.

Dorastającym Jędrkiem zajął się pracujący już Grzesiek. Na praktykach u stolarza poznał miejscowego artystę, Szczepana Masnego. Masny był też ratownikiem, taternikiem, nurkiem jaskiniowym. Wziął 16-latka na nurkowanie do położonego 500 m pod ziemią syfonu jednej z najgłębszych jaskiń w Tatrach, Śnieżnej Studni. Po wyjściu Grzesiek miał halucynacje z wysiłku. Potem, już jako członek speleoklubu, odkrył w tej jaskini kilometr korytarzy. Reszta poszła – lubi to porównanie – lawinowo. Zaczął się wspinać, poznawać ludzi z górskiego środowiska, a w końcu uczestniczyć w zawodach w kiełkującej dopiero dyscyplinie. Pojechał na pierwsze skiturowe mistrzostwa świata we francuskim Serre Chevalier. Już jako ratownik tatrzański pokazał skitury Jędrkowi.

Młodszemu bratu się spodobało. Jeździł do Zakopanego na dyżury Grześka w schroniskach. Razem biegali, wspinali się. W Łętowni Andrzej zrobił sobie ściankę wspinaczkową, przykręcając listwy do ściany stodoły. Chciał iść do liceum sportowego w Zakopanem, ale narciarstwo wysokogórskie nie było dyscypliną olimpijską – nie miało ścieżki nauczania. Trafił do szkoły leśnej, ale zrezygnował. Nie miał pieniędzy, a Grześka, który zaczął kurs międzynarodowego przewodnika górskiego, nie było stać na jego utrzymanie. Gdy nie wypalił pomysł z dojeżdżaniem do szkoły od dziadków z Chochołowa, wrócił do Łętowni. Poszedł do klasy o profilu piłkarskim w Jordanowie. Po szkole i pracy czas na trening zostawał tylko nocą. Biegał więc po zmroku, choć ludzie ze wsi uważali, że robią to tylko wariaci i złodzieje. Nie tracił determinacji.

– To była radość, czerpałem energię z zapachów, z wiatru, z liści, które opadały jesienią, zachodów słońca. Nie brałem odżywek, jedynie butelkę do ręki, jabłko do kieszeni i biegłem 40 km – wspomina. Dla sportu rzucił studia, choć rodzeństwo mu odradzało. – To, co mówili, było rozsądne, ale ja nie mogłem być rozsądny, by robić to, czym się zajmuję teraz – mówi Andrzej.

Zaczął wygrywać zawody skialpinistyczne, choć na pierwszych mistrzostwach świata startował jeszcze na sprzęcie pożyczonym od brata. Jako 20-latek stanął na podium w zawodach pucharu świata, rok później był trzeci w klasyfikacji generalnej. Tuż po zakończeniu igrzysk w Turynie, w położonej także w Piemoncie Artesinie odbywały się mistrzostwa świata. Podczas zawodów indywidualnych zeszła lawina. Według oficjalnych komunikatów wywołana przez narciarzy, według Andrzeja przez filmujący zawody helikopter. Porwała 20 osób, w tym jego. Stracił przytomność. Szybko go odkopano, ale wypadek pogrzebał na lata olimpijskie szanse dyscypliny.

Pod koniec pierwszej dekady XXI w. sportowy kryzys dopadł także Andrzeja. Wierzył, że może być najlepszy, ale brakowało funduszy i sponsorów. Poza tym przetrenował się, posypał mu się związek. Ojciec byłej dziewczyny, także znanej narciarki, nieżyjący już ratownik górski Sławek Riemen, opowiedział mu o narciarzach, którzy próbują zjeżdżać z ośmiotysięczników.

Jędrek postanowił się sprawdzić w ekstremalnym biegu „Elbrus Race", prowadzącym na najwyższy szczyt Kaukazu. ↦

Okazało się, że na te same zawody wyruszają himalaiści pod wodzą Artura Hajzera, szefa startującego właśnie programu Polski Himalaizm Zimowy. Trasa pokonywała 3242 metrów przewyższenia na sam szczyt. Rosyjscy organizatorzy nie zdążyli zarejestrować kamerą finiszu niespodziewanego zwycięzcy – Andrzej zameldował się na wierzchołku po 3 godzinach i 23 minutach, ponad pół godziny szybciej niż dotychczasowy rekordzista, Denis Urubko.

Gdyby nie narty

Hajzer widział w nim zawodnika, który obdarzony fenomenalną wydolnością może w szybkim tempie wchodzić zimą na ośmiotysięczniki. Bargiel pojechał na unifikacyjną wiosenną wyprawę PHZ na Manaslu i jesienną na Lhotse. Jeździł na ich stokach na nartach, ale na przeszkodzie do wejścia na szczyt stawały decyzje kierowników, ambicje innych, raz także tragiczna śmierć jednego z Szerpów. Natura buntownika i sportowa wizja narciarstwa w Himalajach sprzeciwiały się uczestnictwu w programie.

– Na szczęście nigdy nie dał się namówić. Sam go stopowałem, żeby uważał z zimowymi wyprawami – mówi Grzegorz. „Byliby z ciebie ludzie, gdyby nie te narty" – narzekał Hajzer. Bargiel odgryzał się, że himalaizm to sport dla starszych panów.

Chciał go uprawiać po swojemu. Tak jak nikt dotąd w Polsce. Samemu organizować małe narciarskie wyprawy. Niewielu wierzyło, że mu się uda. Nie miał doświadczenia w rozmowach ze sponsorami. Na pierwsze spotkania Agata pożyczała mu od kolegi garnitur. Musiał przełamywać nieśmiałość. Nie lubił publicznych wystąpień. Choć w górach jest jednym z najszybszych ludzi na świecie, poza nimi często się spóźniał.

– Na co dzień uchodzi za niezorganizowanego, ale gdy pojawia się wyższy cel, wszystko potrafi dopiąć na ostatni guzik. To materiał na pracę psychologiczną o motywacji – twierdzi starszy brat.

Cykl planowanych wypraw Andrzej nazwał „Hic Sunt Leones", interesując się terenami mało znanymi albo wręcz nietkniętymi przez narciarzy.

W czteroosobowym zaledwie składzie pierwszej wyprawy znalazł się także Grzesiek. Niestety, niedługo po wyjściu do ataku szczytowego wpadł po uda do lodowego potoku i następnego dnia dopadło go przeziębienie. Wcześniej podczas przekraczania podobnej przeszkody Andrzej wybił bark. Kiedyś podpatrzył, jak się go nastawia, i wiedział, że trzeba to zrobić błyskawicznie po kontuzji. Jednym szarpnięciem, mimo piekielnego bólu, uratował wyprawę. 2 października 2013 r. stanął na niższym centralnym wierzchołku Sziszapangmy (droga na główny była niemożliwa). Zapiął narty i jako pierwszy Polak zjechał z ośmiotysięcznego szczytu do samej podstawy. A potem poszedł za ciosem.

W 2014 r. w rekordowym czasie poniżej 24 godzin wszedł na Manaslu, a następnie zjechał na nartach. W 2015 r. zdobył Broad Peak, dokonując pierwszego w historii zjazdu z wierzchołka głównego aż do bazy. Rok później, także w rekordowym czasie 29 dni, 17 godzin i 5 minut zdobył tytuł Śnieżnej Pantery, czyli pięć siedmiotysięczników byłego ZSRR. Pierwsza próba wejścia i zjazdu z K2 skończyła się rok temu niepowodzeniem. Dlatego po udanym zjeździe przyznał: „Cieszę się, że nie muszę już tutaj wracać". Na pytanie Ani, jak było u góry, powiedział: „Dobrze, zwiozłem Bartkowi drona".

Siła sprawcza

Dron najmłodszego z Bargielów trzykrotnie ratował życie lub zdrowie himalaistów. Za pierwszym razem, gdy kucharz innej wyprawy wypatrzył na sąsiednim Broad Peaku człowieka w dużej odległości od drogi zejściowej. Gdy dron Bartka podleciał w pobliże, mężczyzna zaczął do niego machać. Szkocki alpinista Rick Allen, który podczas zejścia osunął się 300 m, zatrzymując niemal na krawędzi seraków, przyznał, że mówił do drona, myśląc, że jest słyszany. Latający towarzysz, brzęczący niby trzmiel, dodał mu otuchy, choć Allen spędził nad krawędzią noc, miał już lekkie odmrożenia i halucynacje.

– Po tej akcji zaczął iść do góry. Poszedł za wysoko. By mu wskazać drogę, nadleciałem nad niego, następnie poleciałem w kierunku osób, które do niego szły, i z powrotem – opowiada Bartek. Tak cicho, że jego słowa ledwo przebijają się przez szum spływającego z Tatr potoku. Podczas tej samej wyprawy pomagał też swoim dronem w ratowaniu poważnie ranionego kamieniem Czecha, a także

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

dostarczył lekarstwa wspierającemu Andrzeja w drodze na szczyt Januszowi Gołąbowi, który leżał w obozie III niemal sparaliżowany postrzałem.

„Ratowanie życia człowieka jest ważniejsze niż jakiś popieprzony zjazd" – powie Andrzej po powrocie. A przebywająca tego lata w Karakorum bizneswoman i podróżniczka Masha Gordon napisze o braciach: „Nie uderzył mnie heroizm, ale raczej ich najwyższa pokora i człowieczeństwo. Mama Bargiel zrobiła coś dobrego".

Anna: – U nas w rodzinie kobiety były siłą sprawczą. Taką, która ciągnęła do góry, napędzała rozwój. I babcia, i mama dawały nam akceptację. Walczyły dla nas o książki, o przestrzeń do nauki. A kiedy mama odchowała najmłodsze dziecko, wróciła do pracy fizycznej. Bieda jest kobietą, a nam brakowało pieniędzy.

Pierwszym pomysłem Andrzeja po K2 było wzięcie mamy na jej pierwsze w życiu wakacje. Nad morze.

Koniec wakacji

Rodzeństwo Bargielów łączy też chęć pomocy drugiemu człowiekowi. Anna: – Z dziadkami mieszkała pani, która w końcu stała się członkiem rodziny. Jak byłam dzieckiem, mieliśmy także trzecią babcię, Kasię. To były osoby bezdomne.

Najstarszy z braci poszedł na studia pielęgniarskie. Andrzej kontynuuje w górach ratowniczą drogę Grzegorza, a na Kasprowym, gdzie w ramach treningu wbiega czasem trzy razy dziennie, co roku zbiera pieniądze na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Angażuje się też w inne akcje charytatywne, zwłaszcza w pomoc chorym na mukowiscydozę.

„Wróciłeś? Wakacje się skończyły. Ziemniaki trzeba kopać" – słyszy często w pierwszym telefonie od ojca. Po medialnym tournée i weekendzie na Helu leci helikopterem sponsora do Częstochowy na wywiad, którego udziela podczas lotów z mistrzem samolotowych akrobacji, a po południu jedzie do Łętowni pomóc rodzicom, by na wieczór zdążyć jeszcze do Zakopanego na pępkówkę u brata. Rodzice nie rozumieją pasji syna, nie potrafią jej nawet nazwać. Ojciec, pytany, czym się syn zajmuje, odpowiada: „A, biega gdzieś po górach". Agata: – Oni myślą, że my się ciągle bawimy. „Zjechałeś? To może byś się wziął do roboty i pomógł w polu?".

„Umiesz traktorem jeździć?" – pyta Józef Bargiel, gdy rozmawiam z córkami w Łętowni. Do niedawna miał drabiniasty wóz i pracował w polu koniem, którego przed wyprawą na K2 Andrzej odkupił i przekazał pod opiekę stadninie. Musiał tylko zwrócić chomąto, bo ojciec utyskiwał, że jego brak w domu zwiastuje śmierć.

Starzejącym się rodzicom potrzebna jest pomoc. Tym razem do zwiezienia jest cała fura słomy. Andrzej z pożyczonego od sponsora kabrioletu, którym przed chwilą przywiózł z jordanowskiej apteki lekarstwa dla mamy, przesiada się na traktor. Pniemy się nim na oddzielone miedzami pole. Sierpniowy żar leje się z nieba. Do rąk bierzemy grabie i widły.

– Ale to też jest fajne – mówi. – W momentach, gdy dużo się dzieje, świat pędzi, przyjeżdżasz tutaj i robisz rzeczy, które są takie jak dawniej. Nie musisz rozmawiać o K2. Możesz odnaleźć harmonię.

Anna: – Czasem jest tak, że musisz się zbuntować i czemuś zaprzeczyć, żeby mówić, ale na swoich zasadach.

Druga fala

– Nasze samozaparcie? Podejrzewam, że jest manifestacją przeciwieństwa stylu życia rodziców, ale też totalnym zaprzeczeniem upupiającego stygmatu polskości –mówi Ela, najmłodsza, najbardziej alternatywna i antysystemowa. Z nieodłącznym turbanem na głowie, na który mama utyskuje: „Zdejmij tę chustę, bo wyłysiejesz".

To druga fala buntu w rodzinie Bargielów. Ela porzuciła szansę studiów w Londynie i kariery projektantki mody, wybierając edukację opartą na doświadczeniu, nomadyzm, życie w podróży, na squatach. Jak sama mówi: poza tożsamością narodową, religijną, a nawet poza tożsamością języka. Mówi wolno, a gdy brak jej polskich słów, wplata czasem angielskie. Zaczyna już myśleć w tym języku, którego akcent zmienia wraz z miejscami pobytu. Ostatnio na dłużej zatrzymały ją Portugalia i Maroko, w którym zatrudnia kobiety do wyrobu projektowanych przez siebie butów z naturalnych tkanin.

Ela: – Zmagamy się z figurą naszego ojca, próbujemy zapełnić braki, sięgnąć po to, czego nie było. Gdy się wychowywałam, rodzeństwo przejęło już role rodziców. Moja autonomiczność wynika zapewne z ich młodzieńczego buntu, w którym uczestniczyłam od dziecka.

Podczas wizyty w domu snuje wizje na temat świata poza systemem monetarnym, wyzwolonego z nadmiernego konsumpcjonizmu, a w zamian opartego na wymianie dóbr, produktów, wiedzy.

MARCIN KIN

Andrzej Bargiel, Tatry, 2016 r.

Agata: – Każde z nas ma swoje K2: cel, do którego dąży. Dla każdego to coś innego. Czasem chodzi o małe rzeczy. Jadzia miała marzenie własnego domu. Zawzięła się i wybudowała go jako pierwsza z nas.

W 2014 r., gdy po trzęsieniu ziemi w Nepalu zaginęła przebywająca tam na trekingu Ela, odnalezienie jej stało się K2 dla wszystkich. Wtedy też poczuli siłę wielkiej rodziny. Choć dotknęli także ukrytej pod nią słabości.

Agata: – Kiedyś będziemy umierać. Będziemy przeżywać te wszystkie rozstania. Nawet ja się łapię na tym, że się robię trochę konserwatywna i myślę: „No dobra, już zjechałeś z tej góry! A jeszcze tyle tych gór. Może już tam nie chodź".

© BARTEK DOBROCH

WIARA

KOŚCIÓŁ RÓŻNYCH PRĘDKOŚCI

Przychodzi katolik kulturowy do proboszcza i prosi o sakrament. Co proboszcz ma zrobić?

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

Bezpośrednim powodem do napisania tego tekstu była obserwacja. Uczestniczyłem we mszy świętej, podczas której kilkorgu dzieciom udzielono sakramentu chrztu. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie zachowanie uczestników liturgii. Miałem wrażenie, że przynajmniej część z nich nie do końca wiedziała, w czym uczestniczy. Rozmawiali, przeglądali telefony, nie wykazywali szczególnego zainteresowania tym, co dzieje się dookoła nich. Także zachowanie podczas przyjmowania komunii przez tych, którzy mogli do niej przystąpić, wskazywało, że dla nich to raczej czynność niezwyczajna. Zostali nagle wyrwani ze świata i zanurzeni w misterium, które było im obce. Rozmowa z księdzem proboszczem potwierdziła moje przeczucia.

Oczywiście trudno jednoznacznie wyrokować o cudzej wierze na podstawie praktyk religijnych, ale przecież daje to jakiś obraz. To nie były rodziny czy osoby – jak to się eufemistycznie mówi – narzucające się Kościołowi. Zresztą ich kondycja partnerska – związek cywilny bądź konkubinat – też wiele mówiła o ich stosunku do religii. Zdarza się, że osoby żyjące na peryferiach wiary i Kościoła przychodzą prosić o sakrament. Motywacja tej prośby nie jest jednoznaczna. Oczywiście, nie można wykluczyć w niej komponentu wiary. Wciąż wiele jest jednak w niej motywacji społeczno-kulturowej. Co ma robić Kościół – a *de facto* proboszcz – w takiej sytuacji? Uznać taką motywację za wystarczającą czy – nawet kosztem odłożenia w czasie udzielenia sakramentu – podjąć działania katechumenalne? A może odmówić?

Plecami do katolików kulturowych

W roku 1958 młody ks. Joseph Ratzinger w artykule „Neopoganie i Kościół" („Die neuen Heiden und die Kirche"), opublikowanym na łamach czasopisma „Hochland", pisał: „Płaszczyzna sakramentów, otoczona kiedyś dyscypliną wtajemniczania w arkana, to właściwa, wewnętrzna płaszczyzna Kościoła. Ponownie należy sobie uświadomić, że sakramenty bez wiary nie mają sensu i tu Kościół będzie musiał stopniowo, z zachowaniem największej delikatności, zrezygnować z szerokiego zakresu swojego zasięgu, gdyż wynika z tego zwodzenie samego siebie oraz ludzi". Ratzinger postulował wyraźne rozróżnienie na Kościół i nie-Kościół, a granicą miała być wiara. To ona jest warunkiem udzielenia sakramentów. Kościół powinien dokonywać „samoograniczenia (...) pożądanego dla zakresu sakramentalnego". Punktem wyjścia dla tak sformułowanego postulatu była diagnoza Ratzingera mówiąca, że mamy dzisiaj do czynienia z „Kościołem pogan, którzy zwą się jeszcze chrześcijanami, lecz w rzeczywistości są poganami". Cechą charakterystyczną tej nowej sytuacji kościelnej jest fakt, że „bycie chrześcijaninem przestało być właściwie własnym stanowiskiem, a raczej [stało się] polityczno-kulturową wytyczną".

Podobną drogą co Ratzinger poszli autorzy kanadyjskiego raportu zatytuło-

A&G / GETTY IMAGES

wanego „Risquer l'avenir" („Zaryzykować przyszłość"), który został przygotowany w 1992 r. na wniosek biskupów prowincji Québec. Celem raportu był opis sytuacji religijnej prowincji i zaproponowanie kierunków dla dalszej działalności pastoralnej. Jedną z rekomendacji raportu było – jak to skomentował Gregory Bauman, jeden z najwybitniejszych teologów kanadyjskich – „odwrócenie się plecami do katolików kulturowych". Autorzy wyszli z założenia, że katolicyzm przetrwa w Québecu pod warunkiem, że stanie się religią fundowaną na osobistym wyborze wiary. W praktyce postulat ten sprowadzał się do odmawiania udzielania chrztu, błogosławienia związków małżeńskich, a także chrześcijańskiego pochówku tym katolikom, którzy nie są aktywnymi członkami chrześcijańskiej wspólnoty. Raport traktował katolicyzm kulturowy jako szkodliwą formę przesądu, który osłabia wartość tożsamości religijnej, a także zafałszowuje granicę, jaką należy wyznaczyć między wspólnotą wierzących a społeczeństwem, w którym ta wspólnota funkcjonuje. Mówiąc językiem Ratzingera: katolicyzm kulturowy staje się jakąś strefą przejściową między Kościołem a nie-Kościołem. Raport wskazuje na jeszcze jedno niebezpieczeństwo. A jest nim dawanie Kościołowi fałszywej nadziei, że jego obecność w społeczeństwie jest zapewniona.

Raport ten został w tym samym roku przedstawiony na kolokwium, w którym wzięło udział 570 osób duchownych i świeckich z całej prowincji. Uznano, że raport jest zbyt negatywny, przedstawia nazbyt pesymistyczną wizję Kościoła, dominuje w nim perspektywa socjologiczna ze szkodą dla teologii, a proponowane drogi na przyszłość są zbyt radykalne. Krytyka dotyczyła także postulatu porzucenia katolików kulturowych. Podkreślono, że motyw zwracania się do Kościoła po sakramenty wcale nie musi wynikać z przesądu czy sentymentu, ale z potrzeby symboli, które wyrażają wartości przez nich wyznawane, choć nie zawsze kulturowi nimi żyją. W konkluzji stwierdzono, że ↦

↦ nie należy zupełnie odrzucać katolicyzmu kulturowego, gdyż świadczy o pewnej identyfikacji mieszkańców tej prowincji z chrześcijaństwem i Kościołem.

Religijna socjalizacja

Problem wyznaczenia granicy między Kościołem a nie-Kościołem – tak jak to postulował młody Ratzinger – nie jest prosty do rozwiązania. Z jego wypowiedzi, a także z cytowanego kanadyjskiego raportu, można by wyprowadzić dwa kryteria: osobista decyzja wiary i aktywne członkowstwo we wspólnocie Kościoła. Czy jedno kryterium przekłada się na drugie? Czy tak rozumiany Kościół można ograniczyć do *dominicantes*, a więc tych, którzy regularnie uczestniczą w mszy św. niedzielnej? Takie kryterium wydaje się jednak nazbyt ostre i wykluczające z Kościoła całe masy ludzi, którzy praktykują mniej regularnie, ale przecież prowadzą dość stabilne życie religijne i wychowują dzieci zgodnie z chrześcijańską moralnością.

Jakie kryterium przyjąć dla katolicyzmu kulturowego? „Leksykon socjologii religii" pod red. Marii Libiszowskiej-Żółtkowskiej i ks. Janusza Mariańskiego nie zna takiego terminu. Jak pisze Małgorzata Bilska na portalu Deon.pl: „Przyjęło się, że katolicyzm kulturowy jest taką formą bycia katolikiem, która jest dość bezmyślną pochodną procesu socjalizacji". W katolicyzmie kulturowym dominują motywacje pozareligijne: społeczne, kulturowe, a nawet polityczne. Istotnym komponentem bycia katolikiem jest tradycja, rytualność, a nawet polskość. W tej perspektywie katolikiem wciąż jeszcze „wypada być", a przyjęcie sakramentów jest elementem owej kulturowo-religijnej tożsamości.

Jednym z motywów – choć w społeczeństwie nowoczesnym coraz słabiej funkcjonującym – może być także społeczna presja. Są też – choćby w przypadku zwracania się o ślub kościelny – motywy estetyczne. Nie można też wykluczyć tego, o czym pisali autorzy kanadyjskiego raportu: magicznego rozumienia religii i przesądów związanych z (nie)przyjęciem sakramentów. Wciąż zdarza się, że w kancelarii parafialnej ktoś się przyzna do przekonania, że dziecko po chrzcie mniej będzie chorowało.

Czy jednak katolicy kulturowi, prosząc o sakramenty, mają wyłącznie motywy kulturowe i pozareligijne? Uważam, że nie, a samo rozdzielenie tych motywów bywa wręcz niemożliwe. Racje kulturowe mieszają się z religijnymi. Nawet zdanie „bo mama mnie tak wychowała" wcale nie musi dowodzić, że to wyłącznie przejaw bezmyślnej socjalizacji. Może się w tym kryć zarówno przejaw zewnętrznej wierności tradycji religijnej, jak i zinterioryzowanej wiary, której nie da się *ad hoc* zakwestionować. Od „katolika kulturowego" do Ratzingerowego „neopoganina" i członka nie-Kościoła droga daleka i wiele stanów pośrednich.

Kerygmat w kancelarii

W ostatnich latach katolików kulturowych raczej ubywa, niż przybywa. Motywy pozareligijne odgrywają coraz mniejsze znaczenie. Pytanie „co ludzie powiedzą" w przypadku życia bez ślubu kościelnego, pogrzebu bez księdza, a ze świeckim ceremoniarzem (pogrzeby wybitnych postaci bardzo tu wzmacniają motywację), czy też w przypadku, gdy dziecko nie zostaje ochrzczone bądź nie idzie do pierwszej komunii (choć tu istnieje wciąż duża presja społeczno-komercyjna) – ma coraz mniejsze znaczenie. Moralna presja społeczeństwa jest coraz mniejsza, a współczynnik akceptacji życia bez sakramentów coraz większy. Katolików „z tradycji" ubywa. Ale to nie znaczy, że ich nie ma i że nie przychodzą do Kościoła, prosząc o sakrament. Co wtedy?

Ks. Grzegorz Strzelczyk mówił w wywiadzie dla „Więzi" (2/2017): „Socjologicznie patrząc, wraz z przemianami kulturowymi wyraźnie ubywa nam katolików pochodzących z organicznie odziedziczonej wiary. Albo przyjmują oni wiarę świadomie, albo gdzieś nam znikają. Jest też duża »szara strefa« składająca się z tych, których wiara wyrosła na tradycyjnym wychowaniu religijnym, ale nie jest zakorzeniona – w efekcie oni »jeszcze są« w Kościele, bardziej ciałem niż duchem. Do nich trzeba skierować się z kerygmatem, z orędziem o zbawieniu w Chrystusie. To może dawać im podstawę do tego, by trwali w Kościele". Podobnie mówił Ratzinger w roku 1958: „Skoro sakrament będzie miejscem, gdzie Kościół będzie się zamykał i musiał zamykać na nie-Kościół, wówczas słowo pozostanie rodzajem i sposobem, którym będzie on kontynuować otwarty gest zapraszania na ucztę eucharystyczną". A ja dodam – gestem zapraszania do przyjęcia każdego sakramentu.

Przygotowanie do przyjęcia sakramentów winno być dzisiaj przeorganizowane w ten sposób, by stało się formą katechumenatu. Koniecznością staje się więc wprowadzenie przepowiadania kerygmatycznego, które skoncentruje się na wierze adresatów i pozwoli na – jak pisał Ratzinger – „wtajemniczenie w arkana" sakramentów. O takim katechumenacie przed zawarciem sakramentu małżeństwa pisał papież Franciszek w adhortacji „Amoris laetitia": „priorytetowo należy potraktować – wraz z odnowionym przepowiadaniem kerygmy – te treści, które przekazywane w sposób atrakcyjny i przyjazny pomogą im zaangażować się w proces trwający całe życie »z wielkodusznością i wolnością«. Jest to rodzaj »inicjacji« do sakramentu małżeństwa, który zapewni im niezbędne elementy, aby mogli go przyjąć z najlepszą dyspozycją i rozpocząć życie rodzinne z pewną solidnością".

Dzisiaj miejscem takiego przepowiadania jest przede wszystkim kancelaria parafialna, która winna przekształcić się z urzędu w miejsce przepowiadania. Przygotowanie do sakramentów nie może się dzisiaj ograniczać do weryfikacji spełnienia koniecznych, minimalnych warunków, ale musi stać się okazją do głoszenia kerygmatycznego, którego – być może – proszący o sakrament nigdy nie doświadczyli.

Komu sakrament?

Kiedy przed laty po raz pierwszy przyjechałem do Francji na wakacyjne zastępstwo, zaskoczyła mnie pewna sytuacja duszpasterska. Prawie wszystkie małżeństwa, które błogosławiłem, były poza mszą św., a nowożeńcy nie przystępowali do komunii, z czego wnoszę, że nie byli także u spowiedzi. Było to dla mnie szokiem. W Polsce nigdy nie spotkałem się z taką sytuacją. Francuscy duszpasterze wyjaśnili mi, że tak się dzieje coraz częściej. Ślub kościelny wciąż jest istotnym elementem dla dużej części francuskiego społeczeństwa. Trudno powiedzieć, ile w tym wiary, a ile względów estetycznych. Mimo tego, że podejmują długotrwałe, indywidualne przygotowanie do małżeństwa, nie zawsze kończy się ono gotowością do sakramentu pokuty i pojednania oraz gotowością do przyjęcia komunii. Jeżeli jednak nie można dać wszystkiego, czy znaczy to, że nie można dać nic?

Udzielony sakrament małżeństwa pozostaje – choć zapewne w mniej doskonały sposób – źródłem łaski stanu, nawet jeśli sami narzeczeni nie są w stanie ła-

ski uświęcającej. Trzeba także zawierzyć Bogu. A Kościół nie może być ostatecznie zaporą dla łaski Boga.

Papież Franciszek pisze tak: „Istnieje wiele uprawnionych sposobów organizowania bezpośredniego przygotowania do małżeństwa, a każdy Kościół lokalny rozezna, który z nich jest najlepszy, zapewniając odpowiednią formację, która jednocześnie nie zniechęci młodych do sakramentu". Tę zasadę można odnieść do przygotowania do każdego sakramentu. Musi ono mieć taką formę, by „nie zniechęcić" do sakramentu. A tak się może stać, gdy przygotowanie będzie się jawiło jako nazbyt wymagające, formalne, a przede wszystkim niezrozumiałe w swym zamyśle. Problem ten bardzo mocno się ujawnił w przypadku przygotowania do bierzmowania, które wielu zniechęciło. Czy jakikolwiek duszpasterz może się zadowolić komentarzem, że „słabsi muszą odpaść"?

Być może wciąż będzie istniał Kościół „różnych prędkości". Jedni kandydaci do przyjęcia sakramentów mniej lub bardziej chętnie poddadzą się kerygmatycznemu przygotowaniu, które wymagać będzie od nich czasu, wysiłku i zaangażowania. Wiemy jednak, że będą i tacy, którzy pozostaną gdzieś na granicy Kościoła i nie-Kościoła i z katolików kulturowych nie przekształcą się nigdy w dojrzałych członków Kościoła. Co z nimi? Odmówić im sakramentów? Odmówić im łaski? Bo nie dają gwarancji?

Wiemy dobrze, że łaska sakramentów o wiele bardziej inicjuje wiarę, niż stanowi jej zwieńczenie. A jej owoce ujawniają się czasami po latach i niespodziewanie. Bardzo lubię wracać do tego epizodu zapisanego w „Niecodzienniku" ks. Jana Twardowskiego – o kobiecie, która chciała się wyspowiadać: „Stałam na ulicy, obsypał mnie śnieg, przypomniała mi się moja sukienka do I Komunii Świętej". Przypomniała mi się ta scena, gdy patrzyłem na tych uczestników liturgii chrztu świętego. Sprawiali wrażenie obcych ciał w tym misterium, wszak – mimo przygotowania – nikt ich nigdy nie wprowadził wystarczająco w arkana. Kto wie, kiedy i jak obudzi się w nich łaska? Może będzie tak, jak to było w przypadku Tadeusza Różewicza, który pisał o swojej pierwszej komunii: „To było doświadczenie dziecka. Które potem wraca do starego człowieka, do umierającego". Dajmy szansę łasce, na działanie której przecież nigdy nie jest za późno.

© KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

JACEK TARAN DLA „TP"

Miara wiary

O. GRZEGORZ KRAMER SJ, PROBOSZCZ:

Skoro burzymy się, że ludzie przychodzą po sakramenty bez wiary i zrozumienia, to dlaczego zaniedbujemy porządną katechezę wtajemniczenia?

MACIEJ MÜLLER: Spotyka Ksiądz katolików kulturowych?

KS. GRZEGORZ KRAMER SJ: W narracji naukowej to zagadnienie wydaje się jasne: za pomocą pewnych kryteriów oceniamy, że jakaś grupa katolików szuka zewnętrznych form, ale nie wiąże tego z głęboką relacją z Bogiem. OK, tylko kiedy siedzę w kancelarii lub jestem w kościele i mam przed sobą konkretnego człowieka, jakoś niełatwo mi stosować te kategorie. Przecież to by się łączyło z ocenianiem tego kogoś i wrzuceniem go do worka z etykietką „taki a taki". Jakie ja mam do tego prawo, czy ja sam jestem jakiś superwierzący? No i czym miałbym mierzyć jego wiarę: liczbą modlitw, zaobserwowanych charyzmatów? A tak w ogóle, to czy płytka wiara jest niewystarczająca do udzielenia sakramentu? I jak głęboka musiałaby być, by mieć pewność, że ten człowiek może przystąpić do sakramentu?

Pewnie, że czasem po narzeczonych widzę brak zainteresowania katolickim nauczaniem o małżeństwie, tylko estetyką ślubu kościelnego. Ale jeśli mi mówią wprost, że wierzą, że Bóg jest dla nich ważny, to nie mogę opierać się na moich wrażeniach.

Zdarza się, że Ksiądz odmawia sakramentu, pogrzebu czy wypisania zaświadczenia do bycia chrzestnym?

Sakramentu nie zdarzyło mi się odmówić. Jaka mogłaby być tego przy- ↦

czyna, skoro ktoś o niego prosi i mówi, że wierzy? A w kwestii zaświadczeń muszę kierować się tym, co mówi prawo kanoniczne. Jeśli ktoś nie spełnia warunków, bo np. żyje w związku niesakramentalnym, nie mogę powiedzieć, że nie ma sprawy, bo ja jestem taki fajny ksiądz. Tłumaczę, dlaczego tak jest. Że przecież on, jako chrzestny ma świadczyć o wierze i być świadectwem wiary dla dziecka, i to musi być autentyczne. Jeśli, nawet niekoniecznie z jego winy, życie potoczyło mu się tak, a nie inaczej, to nie wchodźmy w jakąś fikcję.

Spisywanie protokołu przedślubnego wymusza rozmowę o wierze: o tym, jak ona wygląda i będzie wyglądała w przyszłości. Na tym etapie można by coś wybadać.

Niby tak, ale te pytania są tak skonstruowane, żeby odpowiedzieć tak lub nie. „Czy rozumiesz potrzebę modlitwy, przystępowania do sakramentów św. i uczestniczenia we mszy św.?" Jeśli ktoś by przyznał, że nie zgadza się z jakąś częścią nauczania Kościoła albo odrzuca sens sakramentów, to mamy pole do rozmowy. Skoro tego człowieka coś boli, warto od razu dopytać. Ale rzadko się zdarza, żeby ktoś, mając wątpliwości, odpowiadał szczerze. Jeśli słyszę na wszystkie pytania odpowiedź „tak", nie ma sensu dociskać. Nie mogę też zapominać, że siedzi przede mną człowiek, który nie jest teologiem, i pewne zwroty oraz skróty myślowe z protokołu mogą być dla niego niezrozumiałe.

Pyta Ksiądz o motywacje?

Pytam, ale jeśli człowiek mi nie powie wprost, że nie wierzy w to, co się dzieje w sakramentach, to trudno mi powiedzieć: pan się nie nadaje. Samo to, że ktoś przychodzi i prosi, jest dla mnie znakiem, że jest w nim wiara. Mniejsza z tym, jaka. Nie wiem na dobrą sprawę, co siedzi w sercu ludzi przychodzących do kancelarii. Może to naiwne, ale wierzę, że sakramenty mają w sobie moc, by ich wiarę wzmocnić.

Swoją drogą ciekawe, że ludzie niewierzący często mówią, iż dziecka nie powinno się chrzcić, bo ono musi mieć wybór i dopiero w przyszłości świadomie opowie się za chrześcijaństwem lub nie. Natomiast ci „wierzący kulturowo" z reguły chcą chrzcić dziecko (nawet jeśli kieruje nimi głównie tradycja rodzinna) i podkreślają, że czynią to... żeby ono w przyszłości miało wybór, czy przy wierze pozostać.

Takie podejście do sakramentu to nie rytualizm?

To prawda, że czasem potrzeba rytuału przewyższa zrozumienie tego, że najważniejsze są sakramenty. Coraz częściej spotykam się też z oczekiwaniem, żeby pogrzeb odbył się bez mszy. Ksiądz, owszem, niech będzie i modli się nad grobem, ale Eucharystii nie chcemy.

Potrzebujemy religijnego rytuału, nawet jeśli Bóg na co dzień nie jest dla nas punktem odniesienia?

Nie deprecjonujmy tak rytuałów. Jeśli ktoś nie potrzebuje mszy na pogrzebie, nie oznacza to, że nie ma w nim wiary. Sakramenty są najlepszym sposobem kontaktowania się z Bogiem, ale wszystko, co

REKLAMA

Prestige MJM 10 lat · MARCELIN MANAGEMENT · 100 UNIWERSYTET POZNAŃSKI 1919-2019 UAM UMP UPP AWF · POZnań · TEATR MUZYCZNY W POZNANIU · TVP 3 POZNAŃ · GŁOS WIELKOPOLSKI · DO RZECZY · pap · cgm.pl · wp · naszemiasto. · Multikino · empik · PRESS SERVICE · VIXON · ams

w Kościele okołoliturgiczne, też pomaga wyrazić wiarę i przeżyć ważne wydarzenie w kategoriach religijnych. To nie jest teatrzyk. Rozmawiam z tymi ludźmi i widzę, że wyznają Boga, a w tej wierze istotna jest dla nich forma. Zetknięcie z rytuałami Kościoła może korzystnie wpłynąć na niekoniecznie dojrzałą wiarę. Izajasz pisze, że Słowo Boże spada na ziemię i nie wraca do Boga, dopóki nie przyniesie plonu. Ale nie jest powiedziane, czy to się zdarzy za rok, pięć lat czy za sto. Każdy człowiek ma swoje tempo w podróży do Boga. On każdego z nas zbawia jako niepowtarzalną osobę, a nie jako jednego z wielu.

Podczas wielu chrztów widziałem czerwoną wstążeczkę przywiązaną do dziecięcego wózeczka: ochronę przed urokiem. Innym razem ojciec chrzestny na wezwanie „przyjmijcie światło Chrystusa" wyjął z kieszeni zapalniczkę.

Jest też zabobon, który zakazuje brania na chrzestną kobiety w ciąży. A kiedyś, podczas chrztu, na pytanie: „o co prosicie Kościół Boży dla swojego dziecka", usłyszałem: „o zdrowie". To wszystko wskazuje na to, że zawodzi nasza katecheza o sakramentach. Jest coś takiego, jak nauki przedchrzcielne, ale to na ogół spotkania techniczne: gdzie stanąć, co powiedzieć, gdzie się wspiąć, żeby odpalić świecę od paschału. Ale skoro burzymy się, że ludzie przychodzą po sakramenty bez wiary i zrozumienia, to dlaczego zaniedbujemy porządną katechezę wtajemniczenia?

Nie deprecjonujmy przywiązania do rytuałów. Zetknięcie z nimi może korzystnie wpłynąć na niekoniecznie dojrzałą wiarę.

A inne sytuacje, kiedy Księdzu ręce opadają?

Czasem, jak patrzę na gości ślubnych, którzy przyjechali po prostu na imprezę kolegi czy koleżanki i są w kościele tylko z grzeczności, kompletnie niezainteresowani tym, co się dzieje, mam ochotę tupnąć i powiedzieć: idźcie stąd lepiej. Z drugiej strony myślę: po co mam zaczynać kolejną wojnę?

A może obecność w kościele sporej liczby ludzi, którzy normalnie do niego nie chodzą, to szansa duszpasterska?

Na pewno... Ale nie na zasadzie, że po mojej homilii ślubnej oni wszyscy postanowią się wyspowiadać i zaczną regularnie praktykować. To naiwne. Mam jednak szansę opowiedzieć im o Słowie Bożym coś takiego, co w nich zostanie i będzie rezonować, bo trafi w jakiś ich wewnętrzny, nawet nieuświadomiony głód. Może choćby przy wódce na weselu o tym pogadają?

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

O. GRZEGORZ KRAMER *jest jezuitą, proboszczem parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Opolu, rekolekcjonistą, autorem bloga „Bóg jest dobry".*

REKLAMA

Ks. Michał Heller podczas spotkania „Granice Kosmosu", Auditorium Maximum UJ, kwiecień 2013 r.

Wielkie odpowiedzi księdza Hellera

ARTUR SPORNIAK

Każdy ma – bardziej lub mniej uświadomioną, bardziej lub mniej spójną – wizję świata. Pewien kosmolog, fizyk i filozof zaprezentował właśnie swoją.

„To moja najbardziej osobista książka" – zwierzał się współpracownikom. Wyjątkowo pilnował też jej redakcji i cieszył się z pięknej edycji. Książka „Ważniejsze niż Wszechświat", która właśnie trafia do księgarń, posiada twardą oprawę, zdobi ją 15 reprodukcji rycin z amsterdamskiego Rijksmuseum. A jednak na pierwszy rzut oka wydaje się niepozorna. Zaledwie 128 stron. Siedem esejów, z których cztery były już publikowane (dwa pierwsze i po części czwarty w „Tygodniku"). Dlaczego przez autora jest traktowana z taką pieczołowitością? Jakie miejsce zajmuje w jego ogromnym dorobku?

Niedosyt

Zamiast wstępu krótki esej „Wielkie Pytania – Wielka Odpowiedź". „Na ogół pytania prywatne są dla nas ważniejsze niż ogólnoludzkie" – pisze ks. Michał Heller, bo to te pierwsze decydują o naszym życiu tu i teraz. Ale są też ogólne pytania, „które wszystkim innym dojmującym pytaniom udzielają swojej niepokojącej mocy". Przykład: pytanie o sens. Dlaczego istnieje raczej coś niż nic? Na czym polega granica między dobrem i złem? Dlaczego należy myśleć i postępować racjonalnie? Co to są wartości? Czy nasze życie kończy się wraz ze śmiercią?

Ks. Heller jako naukowiec zajmuje się kosmologią i fizyką matematyczną. Ale jako filozof, popularyzator nauki i człowiek wierzący zadaje – jak sam przyznaje – od początku swojej twórczości Wielkie Pytania. I od początku próbuje też czytelnikom podsuwać na nie odpowiedzi. Gdy się tym odpowiedziom przyjrzeć z perspektywy lat, ich charakterystyczną cechą zawsze była ostrożność i powściągliwość. To były raczej sugestie niż odpowiedzi. Na tym chyba po trochu polegała uzależniająca moc książek Hellera: otrzymywaliśmy solidną strawę, przygotowaną zgodnie z kanonami metodologii nauko-

wej, przyprawioną tu i ówdzie Wielkimi Pytaniami. Gdy robiło się naprawdę metafizycznie (spekulacyjnie), Heller zwykł kończyć artykuł czy książkę. Ciągły niedosyt.

Autor, jakby mimochodem, tak się usprawiedliwia: „Wielkie Pytania mają to do siebie, że gdy muszą ustąpić miejsca zagadnieniom, które można do końca rozwiązać i sprawdzić, bynajmniej o to się nie obrażają, lecz przeciwnie – tężeją i nabierają mocy. Potem tym bardziej dają o sobie znać. Są cierpliwe, ale nieustępliwe; prędzej czy później nadchodzi czas, gdy trzeba im poświęcić niepodzielną uwagę".

Naukowiec musi trzymać się naukowej metody, a więc zakładać naturalizm zakazujący wyjaśnień odwołujących się poza doświadczany empirycznie świat. Nie jest dobrze widziane, gdy zbyt często patrzy szerzej, wykracza poza granice wyznaczone metodą naukową, a zwłaszcza wtedy, gdy te spekulacje zapuszczają się w zbyt dalekie metafizyczne rejony – choćby bardzo pilnował, aby nie były sprzeczne z obrazem świata implikowanym przez naukę. Mogłaby na tym ucierpieć jego reputacja.

Ale może się okazać, że w którymś momencie życia Wielkie Pytania stają się ważniejsze niż naukowa reputacja. „Ważniejsze niż wszystko inne, czyli »ważniejsze niż Wszechświat«" – pisze Heller, tłumacząc tytuł swojej książki.

Pytania

Lata ćwiczenia się w metodologicznej ascezie sprawiły, że zebrane w książce odpowiedzi są najwyższej próby. Choć autor zastrzega się, że spisywane w różnych okolicznościach, nie są usystematyzowane, z książki wyłania się metafizyczno-religijna wizja, którą dotychczas czytelnicy mogli jedynie przeczuwać. Heller dzieli się swoim światopoglądem: tym, w co wierzy i jak rozumie ostateczny sens życia i sens Wszechświata. I dlatego ta książka jest wyjątkowa.

Najpierw ks. Heller przygotowuje nas do zaprezentowania wizji odpowiedziami na Wielkie Pytania. Wychodzi od racjonalności Wszechświata – „tego zadziwiającego i »niezrozumiałego« faktu, że Wszechświat daje się zrozumieć". Dostrzec w tym można pośredni argument za sensownością ludzkiego istnienia („bez wątpienia bezsens jest irracjonalny"). Na pytanie Leibniza, dlaczego istnieje raczej coś niż nic, odpowiada za św. Augustynem: bo istnienie jest dobrem. Skąd zatem zło fizyczne?

Cierpienie, śmierć, rozkład są ceną za to, że życie jest w ogóle możliwe. Świat jest najlepszym z możliwych (znów Leibniz).

Charakterystyczne dla wizji Hellera jest rozumowanie: coś może istnieć, bo jest racjonalne. Dlaczego jednak istnieje? Bo jest dobre. Za zło moralne odpowiadają ludzie – istoty rozumne (świadome siebie) i wolne, a więc zdolne do wyboru między dobrem a złem. „Widocznie Wszechświat ze złem i wolnością jest lepszy niż Wszechświat bez zła i bez wolności".

Logos

Główny esej, który wprost kreśli wizję, zatytułowany „Logos Wszechświata i człowieka" (opatrzony datą 26 września 2010 r.), został przez autora przedstawiony trzy lata temu w postaci prezentacji w Filharmonii Podkarpackiej w Rzeszowie. Ponieważ ową prezentację szczegółowo na tych łamach już omawiałem (zobacz www.powszech.net/heller-wizja), ograniczę się do przypomnienia najistotniejszych kwestii.

Historię wszystkiego, co jest, Heller umieszcza – podobnie jak Teilhard de Chardin – między początkiem (Stanem Alfa) i końcem (Stanem Omega). Stworzenie, czyli początek, polega na Wielkim Zacieśnieniu niezmierzonego Pola Racjonalności, które jest też niezmierzonym Polem Dobra (czyli Bogiem). Można rozumieć to też jako akt Miłości albo Pierwsze Wcielenie Logosu. Bóg zatem w sposób racjonalny wyłania z siebie świat, który rządzi się racjonalnymi prawami. One to prowadzą do pojawienia się na świecie istot rozumnych i wolnych, zdolnych do wyboru moralnego zła. Zło jest dla Hellera irracjonalnością, która zaburza harmonię Wszechświata. Musi ona zostać naprawiona przez Drugie Wcielenie Logosu, choć – jak zaznacza Heller – może to być jeden i ten sam akt Miłości, co Pierwsze Wcielenie Logosu. Wszystko wszakże dzieje się poza czasem. Ponieważ Logos poprzez swoje Pierwsze Wcielenie jest we wszystkim, „to cierpi i umiera w każdym cierpieniu i umieraniu". W ten sposób następuje odkupienie. Śmierć, zdaniem Hellera, można rozumieć jako wyzwolenie z Zacieśnienia, czyli wejście w ostateczne Rozszerzenie.

Za tym poetyckim językiem kryją się możliwe racjonalne struktury i przekształcenia. Np. o Rozszerzeniu Heller pisze: „Struktury matematyczne, które są obecnymi prawami fizyki, mogą być rozszerzone do większych struktur, których są podstrukturami. Te większe struktury też mogą wyznaczać jakąś fizykę". Nie muszą w niej występować ograniczenia „naszej" fizyki, np. druga zasada termodynamiki, rządząca procesami rozkładu i śmierci. Tak autor Wizji wyobraża sobie pokonanie śmierci.

A jak wyobrazić sobie można życie wieczne? Dowiadujemy się tego z innego eseju („Czasoprzestrzeń i życie wieczne"). Śmierć jest przejściem z porządku czasowego, w którym dana jest jedynie teraźniejszość (bo przeszłości już nie ma, a przyszłości jeszcze nie ma), do istnienia poza czasem, w którym dostępna jest cała nasza historia – „w swej głębi i pełni". Autor uprzedza, że nie chodzi o przeżywanie życia na nowo od początku do końca, tylko o kontemplowanie go w całości. Pod warunkiem zjednoczenia z Bogiem („W tym zjednoczeniu mogę uczestniczyć w Bożym oglądaniu mojej własnej historii. W ten sposób odzyskam ją, już bez perspektywy przemijania").

W jakim jednak sensie będzie to „wizja uszczęśliwiająca", skoro w naszym życiu są momenty nie tylko dobre i szczęśliwe, ale także złe? Heller odwołuje się do kategorii religijnych: odkupienia i odpuszczenia. „Bóg ma inną pamięć niż ludzie. Jeżeli komuś odpuścił, to po prostu wykreślił z historii".

Autor zastrzega się, że zaprezentowana wizja jest jedynie „hipotezą filozoficzną". Łączy ona obraz świata szkicowany przez współczesną naukę z obrazem świata kreślonym przez religię. Jakby usprawiedliwiając się, wskazuje, że wizji nie da się uniknąć. „Każdy posiada jakąś wizję świata, mniej lub bardziej uświadomioną, poskładaną z mniej lub bardziej pasujących do siebie kawałków. Warto umieścić siebie w bardziej uporządkowanej całości".

Ks. Michał Heller zaryzykował. Odsłonił się. Jako autor książek, którymi karmimy się od lat, stał się jeszcze bliższy. Warto to docenić. ©℗

Michał Heller
WAŻNIEJSZE NIŻ WSZECHŚWIAT
Copernicus Center Press, Kraków 2018.

SZYMON BLIK / REPORTER

MATERIAŁY PRASOWE

Carlo Acutis

Głodny i głupi

ADA SERRA

Jak może wyglądać świętość współczesnego nastolatka?

Płacz i uśmiech. To pierwsze i ostatnie wspomnienie matki. Antonia Salzano tak zapamiętała syna. Dwa momenty połączone słowem – szpital. Płacz w szpitalu w Londynie, gdy przyszedł na świat 2 maja 1991 r. Rodzice przyjechali do Wielkiej Brytanii z Włoch za pracą. Uśmiech: ostatnie pożegnanie w szpitalu San Gerardo w Monzy, gdzie zapadł w śpiączkę z powodu ostrej białaczki szpikowej typu M3 – najgorszej z odmian, z szansą przeżycia jedną na milion – zdiagnozowanej niespełna tydzień wcześniej. I gdzie zmarł 12 października 2006 r.

W lipcu Franciszek podpisał dekret Kongregacji ds. Kanonizacyjnych o heroiczności cnót Carla Acutisa. Piętnastolatek ma otwartą drogę na ołtarze.

– Nie myślałam nigdy, że mam w domu świętego – mówi w rozmowie z „TP" matka. – Był może bardziej wrażliwy na problemy innych i bardziej posłuszny niż rówieśnicy. Byliśmy początkującymi rodzicami. Nie miał żadnych darów mistycznych. Może dlatego to taki piękny i prosty przykład. Prowadził normalne życie, żył wiarą na co dzień i każdego dnia w niej wzrastał – dodaje Antonia Salzano.

Mało kto wie, że w żyłach chłopca płynęła też polska krew. Jego babcia ze strony ojca była pół-Polką, urodzoną w Warszawie. W czasie II wojny światowej wyjechała do Londynu. Mama uśmiecha się: – Dziwnym trafem także pierwsza niania Carla, Beata, pochodziła z Polski.

„WASZ CZAS JEST OGRANICZONY, więc nie marnujcie go, żyjąc cudzym życiem" – mówił Steve Jobs w słynnym przemówieniu na Uniwersytecie Stanforda w czerwcu 2005 r. Trudno tych słów nie odnieść do zdolnego Włocha. Jego umiejętności programowania mimo wieku były na poziomie profesjonalnego informatyka.

Jobs, którego Carlo uwielbiał, mówił dalej: „Miejcie odwagę kierować się sercem i intuicją. One w jakiś sposób doprowadzą was do poznania, kim naprawdę chcecie być". Carlo miał tę intuicję od dzieciństwa. Potem wyrażał ją własnym powiedzeniem: „Każdy rodzi się jako wersja oryginalna. Wielu za to umiera jako kopia".

Sam urodził się w rodzinie obojętnej religijnie, która dopiero dzięki niemu zbliżyła się do chrześcijaństwa. Jak każde dziecko zasypywał rodziców pytaniami, a wiele z nich dotyczyło Boga.

– Byłam na mszy w dniu mojej pierwszej komunii, potem przy bierzmowaniu i podczas ślubu – przyznaje matka. – Z trudem odróżniałam Ewangelię od Biblii. Byłam ignorantem. Ale ciekawość Carla zmuszała mnie do szukania odpowiedzi. Powolutku się nawracałam, dzięki synowi. Zrozumiałam, że byłam uprzedzona do chrześcijaństwa. Mąż również nie był zbyt wierzący i przeszedł podobną drogę.

Siedmioletni Carlo otrzymał zgodę na przystąpienie do pierwszej komunii. Od tamtej pory codziennie uczestniczył w mszy i adoracji Najświętszego Sakramentu, odmawiał różaniec. „Eucharystia to moja autostrada do nieba" – to jedno z jego najpopularniejszych zdań. Można pytać, czy taka miłość do Eucharystii u dorastającego chłopca nie jest anachronizmem w XXI wieku?

– Robił wszystko to, co robią jego rówieśnicy: chodził do szkoły, miał przyjaciół, uprawiał sport – zapewnia matka. – Miał silny charakter, tak więc był nawet w klasie uważany za lidera. Był rozjemcą w konfliktach, bronił słabszych, gdy w szkole dochodziło do przemocy. W centrum jego życiowego programu był Jezus – tak zapisał w swoim komputerze. Ale nigdy nikomu nie narzucał swojego zdania i być może dlatego nie naśmiewano się z niego. Nie każdy rozumiał jego wiarę, ale on szanował innych, nie był świętoszkowaty. Z drugiej strony, pod względem religijnym był tak dobrze przygotowany i dojrzały, że gdy miał 11 lat, zaproponowano mu, by prowadził katechezę.

Inni stali się wtedy dla niego ważni. Mówił: „Spojrzenie na siebie przynosi smutek, spojrzenie w stronę innych daje szczęście". Zaczął spotykać się z bezdomnymi, którym rozdawał plecaki – kupował je za zaoszczędzone pieniądze. Jednemu, który przesiadywał niedaleko jego domu, Carlo co wieczór przynosił jedzenie.

UŻYWAŁ INTERNETU JAKO NARZĘDZIA ewangelizacji. Zaczęło się od wystawy pokazującej historię cudów eucharystycznych. Najpierw sam jeździł po sanktuariach, żeby zebrać informacje i zrobić zdjęcia. Potem podróżowała wystawa – odwiedziła tysiące parafii na pięciu kontynentach. Dziś jest dostępna w internecie, w wielu wersjach językowych, również po polsku (miracolieucaristici.org). Carlo mówił, że „internet to wielki potencjał dobra".

– Zrealizował wystawę bez wielkich nakładów finansowych. W ten sposób wciąż ewangelizuje świat – mówi matka.

Chyba najsłynniejsze zdanie Steve'a Jobsa brzmi: „Bądźcie głodni. Bądźcie głupi". Carlo był głodny wiedzy, głodny Eucharystii. A głupota? Zafascynował się Franciszkiem z Asyżu. „Pan objawił mi swą wolę, bym był głupcem na tym świecie" – mówił Biedaczyna. Zgodnie ze swoją ostatnią wolą Carlo został pochowany w Asyżu.

© Przeł. EA

ADA SERRA *jest włoską dziennikarką, specjalizuje się w tematyce międzynarodowej i religijnej.*

SZYMON

Hołownia:
Dobre rzeczy

Tydzień temu, pisząc o egzekucji 14-letniego chłopca dokonanej w 1944 r. w USA (i jak się po latach okazało – bezprawnie skazanego), zastanawiałem się, jak to jest, że coś, co 70 lat temu nosiło wszelkie pieczęcie autorytetów prawnych, naukowych, etycznych i religijnych, dziś uważane jest za odrażającą zbrodnię. Traf chciał, że jedna z lektur podjętych przy pracy nad książką (o konieczności zawarcia przez człowieka nowego przymierza z resztą świata, którą musi wreszcie zacząć traktować jak bliźniego) dostarczyła kolejnych przykładów z tej samej dziedziny.

Książka Charlesa Pattersona „Eternal Treblinka" wzięła tytuł z opowiadania żydowskiego noblisty Isaaca Bashevisa Singera („W relacji do zwierząt wszyscy ludzie to naziści; dla zwierząt to wieczna Treblinka"). Singer, zadeklarowany wegetarianin i obrońca zwierząt, wiele razy uzasadniał radykalizm szokującego porównania, na które nie mógłby pozwolić sobie nikt o innych niż on korzeniach. Przyznaję, że to dzięki książce Pattersona odkryłem ten wymiar pisarstwa autora, kojarzącego mi się dotąd tylko z kulturową nostalgią. Wstrząsnęła mną ostrość i aktualność jego wołania o opamiętanie się człowieka, który we wszystkich wymiarach swoich relacji ze światem poddaje je paradygmatowi wyzysku, wylewanej bez „oddania jej hołdu choć jedną łzą" krwi.

Patterson pokazuje, jak ta przemocowa mentalność człowieka, gatunkowa (rasowa, religijna, kulturowa, naukowa) pycha, płynie pod powierzchnią losów świata tym samym wartkim strumieniem, wydostając się na światło dzienne w erupcjach z pozoru tak różnych, że postronnym wydaje się, iż za każdym razem wybucha zupełnie inne szambo. Nie miałem pojęcia, że Henry Ford model taśmy produkcyjnej podpatrzył w pierwszej wielkiej przemysłowej rzeźni w Chicago, w której – metodami nie mającymi nic wspólnego z refleksją nad dobrostanem zwierząt – zabijano ich dziennie tysiące. Nie wiedziałem i o tym, że Ford był patologicznym antysemitą, finansującym edycje „Protokołów Mędrców Syjonu", rasistowskie szmatławce, a jako osobisty znajomy Hitlera odbierał od niego nazistowskie odznaczenia. Hitlera interesowały procesy technologiczne, których pionierem był m.in. Ford. Współpracownicy Wodza ideę taśmy produkcyjnej wdrożyli w eksterminacji tych, których – to i dziś pierwszy krok do masowych zbrodni – odhumanizowywali, nazywając i traktując jak „tępialne" zwierzęta („robactwo", „szczury", „krwiopijcze pająki", „pasożyty" etc.).

Jedną z wprawek nazistowskiego reżimu w przemysłowym zabijaniu był program T4, czyli eutanazja chorych psychicznie oraz obciążonych genetycznie dzieci i dorosłych („żyjących bez celu", „ludzkiego balastu", „półludzi", „umysłowo martwych"). W 1929 r. na wiecu w Norymberdze Hitler, opętany obsesją dziedziczności mocy i słabości, mówi: „Jeśli w Niemczech każdego roku będzie rodził się milion dzieci, i wyeliminujemy z nich 700-800 tysięcy najsłabszych, skutkiem będzie przyrost naszej narodowej siły". Rok po tym matki i ojcowie tych dzieci dają mu 18 proc. głosów w wyborach. Trzy lata później ma ich już 44 proc.

Program eutanazji najsłabszych wypączkował zaś z projektu przymusowej sterylizacji, którego rozwój w USA Hitler również obserwował z wielkim zainteresowaniem. W Stanach pierwsze kastracje przestępców (by nie przekazywali „przestępczych genów" dalej) to koniec XIX w. (idea wyrosła z eksperymentów dr. Harry'ego Sharpa, który miał ubezpładniać chirurgicznie chłopców, by „wyleczyć" ich z nałogu masturbacji). Pierwszym stanem, który wprowadził przymusową sterylizację „kryminalistów, idiotów, imbecyli i gwałcicieli", była Indiana (1907). Do 1930 r. podobne prawo obowiązywało w 33 stanach Ameryki. Najwięcej sterylizacji dokonano w Kalifornii, w sumie okaleczono w ten sposób 65 tys. ludzi: chorych psychicznie, głuchych, niewidomych, Indian. Regulacje amerykańskie były inspiracją nie tylko dla nazistowskich Niemiec, ale i np. dla Kanady, Danii, Szwecji, Japonii, Szwajcarii. W Kalifornii ostatnie przypadki przymusowej sterylizacji (w więzieniu) miały miejsce w tej dekadzie, bezwzględny zakaz wprowadzono dopiero cztery lata temu. W Peru w latach 90. XX w. przymusowo wysterylizowano dla „dobra państwa" i „powstrzymania biedy" kilkaset tysięcy kobiet, najczęściej spośród rdzennej ludności. Przymusowa sterylizacja „demograficzna" miała do niedawna miejsce w Chinach, doniesienia o niej napływają z Bangladeszu i Uzbekistanu. Zachodnie państwa i amerykańskie stany płacą dziś odszkodowania ofiarom tych aberracyjnych programów. Mnie jednak nie przestaje zadziwiać, że jeszcze pół wieku czy sto lat temu ci wszyscy naukowcy, sędziowie, prawnicy, politycy, pracownicy socjalni byli przekonani, że robią dobre rzeczy.

Nie minął przecież nawet wiek od 1927 r., w którym Sąd Najwyższy USA rozpoznając sprawę przymusowej sterylizacji „wątłej umysłowo" Carrie Bell z Virginii, uznał, że „jest lepiej dla świata, by zamiast czekać na egzekucję zdegenerowanego potomstwa za popełnione zbrodnie, albo pozwolić mu, by zmarło z głodu z powodu swego imbecylizmu, społeczeństwo mogło chronić tych, którzy są niezdolni do przedłużenia gatunku; trzy pokolenia imbecyli – to wystarczy". Jeszcze w 1942 r. organ prasowy amerykańskich psychiatrów deliberował, czy nie należałoby pozbawiać życia niepełnosprawnych umysłowo dzieci, nazywając je „błędami natury".

Raz jeszcze powtórzę tezę sprzed tygodnia: fajnie jest zepchnąć odpowiedzialność za podobne horrenda na totalitarnych dewiantów, pofukać, że coś tam to „jaskinia" albo „średniowiecze".

Rzecz w tym, że nie wiadomo, jak nasze światłe opinie, pokropione świętą wodą nauki, religii, postępu, ocenią ci, co w XXII wieku będą opisywać nas jak wykopaliska. Dziś nie mamy czego sobie zarzucić? No więc rzecz w tym, że opisani wyżej też nie mieli. To prawda, udoskonaliliśmy metody przemysłowej eksterminacji najsłabszych członków ludzkiej wspólnoty (to już nie są niewidomi czy chore psychicznie dzieci, to najczęściej nie nasi rodacy). Lepiej zapakowaliśmy je w mity ekonomicznych konieczności, negacje oczywistych danych, uzasadniliśmy swoją agresję czy obojętność sztucznie wyindukowanym lękiem. Ale nawet jeśli my sobie wiele wybaczymy, historia nie zrobi tego na pewno, bo ona dla obłudy nie ma żadnej litości. Dla głupoty, krótkowzroczności, egotyzmu – też. ©

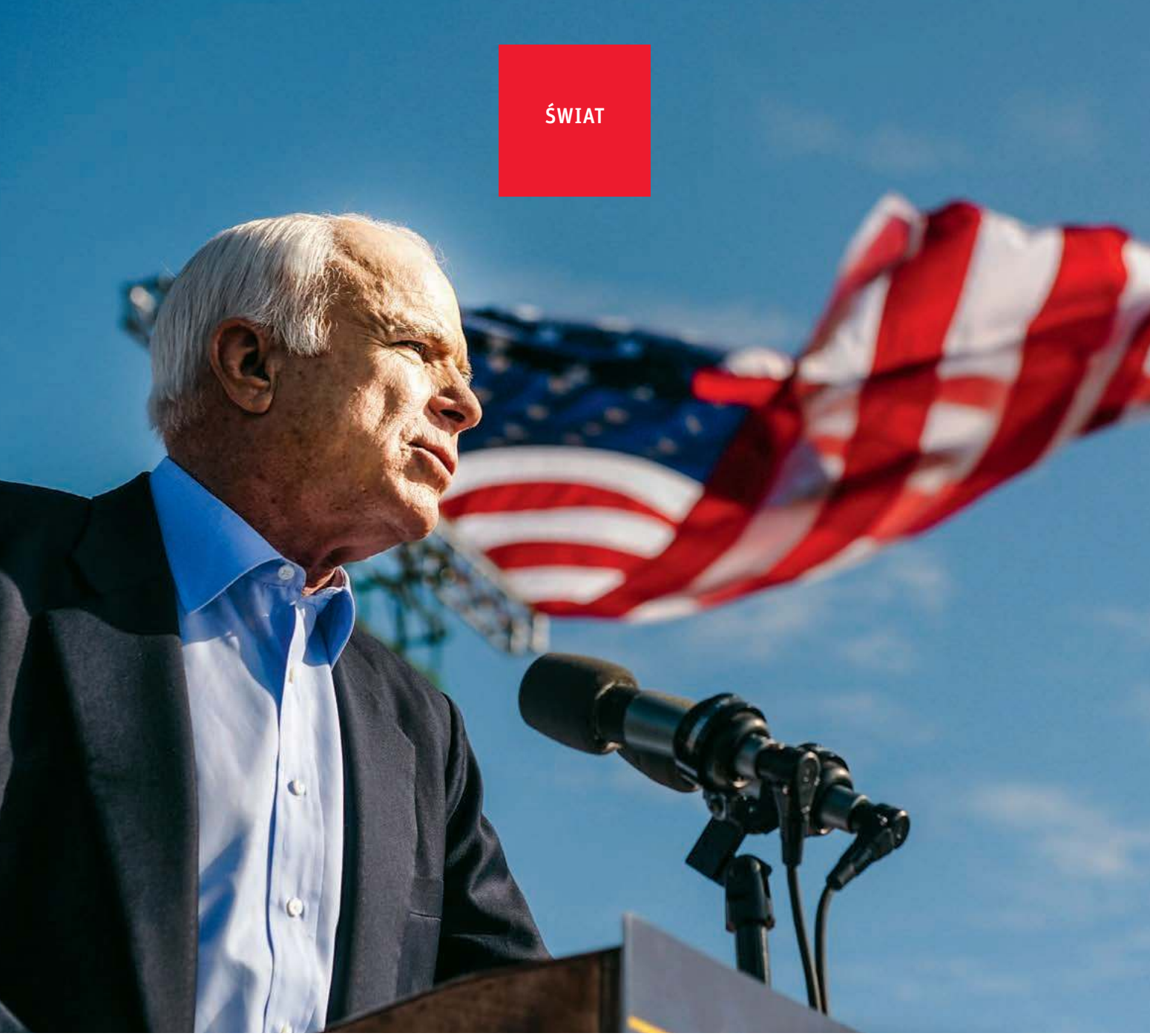

SENATOR AMERYKA

Zdarzało mu się robić coś wbrew sobie, ale potem tego żałował i próbował minimalizować szkody. W dzisiejszej polityce to rzadkość, nie tylko w USA. Ale John McCain zawsze był indywidualistą.

PIOTR TARCZYŃSKI

ROBYN BECK / AFP/ EAST NEWS

John McCain w czasie swojej kampanii prezydenckiej. Tampa na Florydzie, listopad 2008 r.

Był rok 2000, gdy w czasie prawyborów w Karolinie Południowej kandydata Johna McCaina zapytano o powiewający nad stanową legislaturą sztandar Konfederacji – ten z czasów wojny secesyjnej, z lat 1861-65. Choć tak naprawdę McCain uważał, że flaga ta jest dziś symbolem rasizmu i niewolnictwa, to – nie chcąc zrażać tamtejszych wyborców – wydał oświadczenie, iż flaga jest „symbolem dziedzictwa".

Dla politycznej korzyści postąpił więc wbrew sobie – i potem nie był w stanie tego przeboleć. Po kilku miesiącach, kiedy już zawiesił prezydencką kampanię, wrócił do Karoliny Północnej, żeby publicznie przeprosić. Powiedział: „Sprzeniewierzyłem się swoim zasadom i złamałem obietnicę, że zawsze będę mówił prawdę. (...) Moja skrucha narazi mnie na krytykę z obu stron, ale trudno, zasłużyłem na nią. Łatwo być uczciwym, kiedy już nic od tego nie zależy".

Z innych czasów

W innym czasie brzmiało to może banalnie – ale okoliczności sprawiają, że dziś banalne to nie jest: wraz z odejściem Johna McCaina faktycznie dobiega końca pewna epoka w dziejach amerykańskiej polityki.

Senat Stanów Zjednoczonych jest czymś więcej niż tylko jedną z dwóch izb Kongresu – zapewnia ciągłość. I to nie tylko instytucjonalną, bowiem zgodnie z etymologią słowa „senat" jest rzeczywiście zgromadzeniem politycznych „starców": liczy się w nim przede wszystkim staż, a co za tym idzie zdobyte doświadczenie.

Wielu senatorów sprawuje swój mandat przez wiele kadencji, a John McCain spędził tu ponad 31 lat, stając się jednym z senackich „gigantów", szanowanym przez obie strony politycznej sceny. Nawet jeśli niekoniecznie lubianym – zresztą przez obie strony, gdyż znany był z ostrego języka, z mówienia tego, co naprawdę myśli. Nie bał się też rzucić wyzwania własnemu obozowi, zwłaszcza w ostatnich latach życia.

Był kimś w rodzaju republikańskiego odpowiednika senatora Teda Kennedy'ego, zmarłego w 2009 r., zresztą na tę samą chorobę, która zabiła McCaina, i tego samego dnia, 25 sierpnia. Choć żaden z nich nie zasiadał w kierownictwie swojego klubu, byli *de facto* jednoosobowymi instytucjami, z których zdaniem zawsze należało się liczyć.

McCain i Kennedy przyjaźnili się – byli przedstawicielami (inni powiedzieliby: „reliktami") czasów, kiedy różnica poglądów nie musiała oznaczać wrogości. Gdy w 2008 r. na wiecu wyborczym – McCain był wtedy kandydatem Partii Republikańskiej na prezydenta, a jego rywalem był Barack Obama – jakaś kobieta powiedziała mu, że nie ufa Obamie, bo jest on „Arabem", McCain zabrał jej mikrofon i bez wahania powiedział: „Nie, proszę pani, to porządny człowiek, dobry obywatel, z którym po prostu się nie zgadzam" (nie spotkało się to zresztą z życzliwą reakcją zebranych).

McCain znany był ze swoich przyjaźni także z politycznymi oponentami: Johnem Kerrym czy Joem Bidenem. To znamienne, że o wygłoszenie przemowy na swoim pogrzebie poprosił byłego demokratycznego prezydenta, Baracka Obamę, obecnego republikańskiego zaś nawet nie zaprosił na uroczystości.

McCain kontra Trump

Stosunki między nimi były chłodne – eufemistycznie rzecz ujmując – zresztą od samego początku, kiedy tylko w 2015 r. Donald Trump z gracją słonia w składzie porcelany wkroczył na scenę polityczną. „McCain nie jest bohaterem, bo dał się schwytać, a ja lubię ludzi, którzy nie dają się schwytać" – rzucił na spotkaniu z wyborcami kandydat Trump, który w czasie wojny wietnamskiej uniknął poboru z powodu rzekomych „narośli kostnych" w stopie.

McCain nigdy nie krył swojego sceptycyzmu wobec Trumpa. Jako jeden z nielicznych Republikanów bez ogródek krytykował jego rasistowskie czy seksistowskie wypowiedzi. W swojej ostatniej, pożegnalnej książce „The Restless Wave" („Niezmordowana fala") jednoznacznie oskarżył prezydenta o osłabianie międzynarodowej pozycji USA, wspieranie tyranów i podminowywanie demokracji.

Po niesławnej konferencji w Helsinkach, gdzie w lipcu tego roku Trump właściwie przyznał rację Putinowi, gdy ten zaprzeczył, jakoby Rosja ingerowała w amerykańskie wybory w 2016 r. (czym Trump w gruncie rzeczy zakwestionował ustalenia własnych służb wywiadowczych, dowodzących takiej ingerencji), senator McCain wydał bezprecedensowe oświadczenie: „Jeszcze żaden prezydent nie poniżył się tak w obliczu despoty. [Było to] jedno z najbardziej haniebnych wystąpień (...) w historii". Trump oczywiście nie pozostał dłużny – kiedy w sierpniu podpisywał ustawę o wydatkach zbrojeniowych, nazwaną na cześć umierającego McCaina, o senatorze z Arizony nawet nie wspomniał, a kilka godzin później nie omieszkał rzucić pod jego adresem jakiejś niestosownej uwagi.

Kiedy McCain – już ze zdiagnozowanym rakiem mózgu – wypowiedział się ↦

↦ przeciwko nominatce Trumpa na szefową CIA, jedna z doradczyń prezydenta rzuciła: „Jego zdanie się już nie liczy, i tak umiera". Wybuchło oburzenie, Biały Dom odmówił wystosowania przeprosin, kierownictwo partyjne nabrało wody w usta.

Ale McCain nie takie rzeczy już słyszał, i to nie raz. Zanim w osiemdziesiątym drugim roku życia uległ glejakowi, przeżył kilka innych typów nowotworu i trzy katastrofy lotnicze. W tym jedną, która okazała się w jego życiu kluczowa.

„Hanoi Hilton"

John McCain III – trzeci w kolejności tego imienia, jako że także ojciec i dziadek nosili imię John; obaj byli admirałami US Navy – początkowo poszedł w ślady antenatów. W 1958 r., mając 22 lata, wstąpił do marynarki wojennej.

Ale jeśli czymś się tam wyróżniał, to wyłącznie lekkomyślnością i brawurą. Wdawał się w bójki, nie słuchał przełożonych, rozbił dwa samoloty ćwiczeniowe. Akademię ukończył jako niemalże najgorszy kadet z całego roku i powszechnie uważano, że przed wyrzuceniem uchroniło go tylko jego nazwisko.

Wiosną 1967 r. został wysłany na wojnę wietnamską, jako pilot na lotniskowcu. Miał pecha: już w październiku został zestrzelony nad Hanoi, stolicą Wietnamu Północnego. Cudem przeżywszy skok ze spadochronem, spadł do jeziora – złamał obie ręce i nogę, niemal utonął, a następnie prawie zlinczował go tłum Wietnamczyków. Kiedy trafił do niesławnego więzienia – przez amerykańskich jeńców zwanego „Hanoi Hilton" – odmówiono mu pomocy medycznej, dochodząc do wniosku, że „i tak już umiera".

Gdy jednak Wietnamczycy dowiedzieli się, że ojciec młodego pilota jest dowódcą amerykańskiej floty na Pacyfiku, zaczęli leczyć jeńca i zaproponowali Amerykanom wymianę. Młody McCain odmówił preferencyjnego traktowania, nie chcąc zostawiać kolegów, którzy trafili do niewoli przed nim.

Torturowany, stracił wszystkie zęby i osiwiał. Myślał o samobójstwie. Do końca życia nie mógł sobie wybaczyć, że w pewnej chwili zgodził się przyznać do rzekomych zbrodni wojennych i podziękował Wietnamczykom za to, jak jest traktowany.

Ostatecznie spędził w niewoli pięć i pół roku, z czego dwa lata w izolatce.

Jedna z doradczyń Trumpa rzuciła: **„Jego zdanie się już nie liczy, i tak umiera"**. Wybuchło oburzenie, Biały Dom nie przeprosił, kierownictwo partii nabrało wody w usta. Ale senator słyszał w życiu znacznie gorsze rzeczy.

Indywidualista w Kongresie

Wrócił do Stanów dopiero w 1973 r., jako zmieniony człowiek. Nie tylko fizycznie – do końca życia kulał i nie był w stanie unieść rąk wyżej niż na wysokość barków – ale też psychicznie. Jeden z jego ulubionych bon motów brzmiał: „Jestem starszy niż Ziemia i mam więcej blizn niż Frankenstein".

Zaczął korzystać z odzyskanego życia. Wdawał się w romanse i ostatecznie w 1980 r. zostawił żonę Carol Shepp (byli małżeństwem od 1965 r.) dla Cindy Hensley, dziedziczki fortuny browarniczej z Arizony.

Kiedy stało się jasne, że nie zostanie trzecim admirałem McCainem, postanowił odejść z wojska (w stopniu komandora) i zająć się polityką, do czego od pewnego czasu namawiały go zresztą obie partie, Demokraci i Republikanie – młody weteran z bohaterską kartą był atrakcyjnym kandydatem.

McCain wybrał Partię Republikańską. W 1982 r. został członkiem Izby Reprezentantów (izby niższej Kongresu), a cztery lata później senatorem z Arizony, zastępując na tym stanowisku innego „giganta", Barry'ego Goldwatera. Ten wieloletni lider konserwatywnego skrzydła partii w 1964 r. przegrał wprawdzie wybory prezydenckie, ale osiągnął niemało: zdołał przesunąć Republikanów z centrum na prawo, stając się jednym z ojców współczesnej „Grand Old Party".

Pierwsze lata McCaina w Senacie nie były udane. Cieniem na jego reputacji położyła się afera tzw. Piątki Keatinga, od nazwiska pewnego arizońskiego biznesmena. W 1991 r. wewnętrzne śledztwo Senatu zakończyło się wnioskiem, że przyjmując pieniądze od Keatinga, McCain nie złamał wprawdzie prawa, lecz „zachował się nieroztropnie".

Od tamtej pory, w ramach ekspiacji, senator zajął się kwestią nadmiernego wpływu pieniędzy na politykę, latami próbując przepchnąć przez Senat tzw. Ustawę McCaina-Feingolda o reformie finansowania kampanii wyborczych – bezskutecznie, nie miał bowiem wsparcia własnej partii.

Nigdy nie był graczem zespołowym: już w szkole miał ksywkę „McWredniak". Był konfliktowy, łatwo wpadał w gniew i ciskał bluzgami, od których więdły uszy. Prawie pobił się z partyjnym kolegą na sali Senatu, do innego nie odzywał się całymi latami. Z tej „osobności" zdołał jednak uczynić zaletę – wyrobił sobie opinię „Mavericka": indywidualisty, który potrafi przeciwstawić się szefostwu swojej partii.

Dzięki tej reputacji wystartował w prawyborach prezydenckich w roku 2000.

Kandydat do Białego Domu

Faworytem do republikańskiej nominacji był wtedy gubernator Teksasu George W. Bush. Ale McCain spróbował niemożliwego – i rzucił mu wyzwanie.

Jeździł swoim autobusem, „Ekspresem prosto z mostu", rozmawiał z ludźmi, nie uchylając się od żadnego pytania – i wygrał republikańskie prawybory w kilku stanach. Wydawało się, iż sprawa jest rozstrzygnięta. Ale wtedy – przed prawyborami w Karolinie Północnej – sztab Busha, pod wodzą niesławnego Karla Rove'a, rozpętał kampanię oszczerstw. McCainowie poza trójką biologicznych dzieci mieli też adoptowaną córkę z Bangladeszu – i oto republikańscy wyborcy zaczęli otrzymywać anonimowe telefony informujące ich m.in., że senator ma nieślubną córkę z czarną prostytutką.

McCain przegrał i wycofał się z wyścigu, a porażka nim wstrząsnęła: dotychczas szczerze – i naiwnie – wierzył, że kampanię wciąż można prowadzić bez nieczystych zagrywek i personalnych ataków.

Bush junior został ostatecznie prezydentem, a kilka miesięcy później, 11 września 2001 r., runęły wieże World Trade Center. Choć McCain zachowywał wobec administracji Busha wyraźny dystans, to w 2003 r. poparł interwencję w Iraku (nigdy nie krył swojego „jastrzębiego" podejścia do polityki zagranicznej). Ale coraz częściej krytykował sekretarza obrony Donalda Rumsfelda i sposób prowadzenia tej wojny.

Jego doświadczenie z Wietnamu uczyniło go niewzruszonym wrogiem tortur i kiedy na jaw wyszło okrutne traktowanie Irakijczyków w więzieniu Abu Ghraib, McCain – wbrew stanowisku administracji Busha – doprowadził do uchwalenia prawa zakazującego „nieludzkiego traktowania jeńców".

Taktyczny sojusz, strategiczny błąd

Przepaść między nim a jego partią zdawała się tak głęboka, że w 2004 r. spekulowano wręcz, czy zgodzi się zostać wiceprezydenckim kandydatem Demokraty, Johna Kerry'ego. Ale McCain nie był zainteresowany pozycją rezerwowego – liczył na wybory za cztery lata.

Zrozumiał jednak, że aby zdobyć partyjną nominację, musi się zmienić – i zaczął się zbliżać do prawicowego mainstreamu. Zawsze był konserwatystą, co do tego nie ma wątpliwości, ale – jak kiedyś Goldwater – potrafił przeciwstawić się radykałom swojej partii, wprost nazywając ich „wieszczami nietolerancji".

W czasie kampanii 2008 r., już jako kandydat Republikanów, wyciągnął do nich rękę. Coś, co miało być tylko polityczną zagrywką w coraz gorzej idącej kampanii przeciw Obamie, okazało się jego największym błędem. Serce dyktowało mu inny wybór, podobny do tego, o którym mówiono w 2004 r.: na swojego wiceprezydenta chciał wziąć Joego Liebermana, demokratycznego senatora z Connecticut i bliskiego przyjaciela. Ale spin doktorzy oraz partyjna wierchuszka podnieśli larum i McCain ustąpił – zdecydował się na nikomu nieznaną gubernator Alaski, Sarę Palin: telegeniczną i przebojową, ale zarazem ultrareligijną i niekompetentną.

Choć w swojej ostatniej książce McCain przyznał, że wybór Palin był błędem, którego żałuje, to skutki tej decyzji są odczuwane do dziś: to za jej sprawą antyintelektualny populizm – reprezentowany wówczas przez Sarę Palin i ruch Tea Party, a dziś Trumpa – wszedł do centrum polityki USA. Nie musiał się tam nawet wdzierać – został zaproszony z honorami.

Powrót „Mavericka"

Ultraprawicowa fala, która za czasów Obamy zaczęła zalewać Partię Republikańską, zmieniła także McCaina. Choć Demokraci liczyli na to, że senator okaże się pomostem między obiema partiami, ten coraz częściej brzmiał jak cała reszta republikańskich konserwatystów.

> John McCain zostanie zapamiętany jako jeden z niewielu współczesnych amerykańskich polityków, którzy nie tylko powtarzali, że **„działają w duchu ponadpartyjności"**, ale naprawdę próbowali to robić.

I tak, choć wcześniej deklarował, że poprze zniesienie zakazu służby w wojsku dla osób deklarujących się otwarcie jako homoseksualiści, jeśli takie będzie zdanie kierownictwa armii, ostatecznie sprzeciwiał mu się z całych sił. Głosował przeciw DREAM Act, reformie imigracyjnej, o którą walczył kiedyś ramię w ramię z Tedem Kennedym. A także przeciw innym inicjatywom Obamy, np. walce z ociepleniem klimatu, którą popierał jeszcze dekadę wcześniej. Wielu wydawało się, że „Mavericka" już nie ma, narastało rozczarowanie McCainem.

Wszystko jednak zmieniło się wraz z nadejściem Trumpa.

Senator najpierw sprzeciwiał się jego nominacji, by potem udzielić mu poparcia, a ostatecznie znowu je wycofać. Było to typowe zachowanie McCaina: zdarzało mu się robić coś wbrew sobie, ale potem szczerze tego żałował i aktywnie próbował zminimalizować szkody.

Choć więc wcześniej głośno krytykował politykę zagraniczną Obamy, to działania Trumpa – jego protekcjonizm, izolacjonizm, a przede wszystkim zbliżenie z Putinem – budziły autentyczny niepokój McCaina, który bez ogródek określał Rosję mianem geopolitycznego wroga Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza od czasu zajęcia Krymu w 2014 r. W przeciwieństwie do wielu Republikanów, McCain nie bagatelizował sprawy rosyjskiej ingerencji w wybory prezydenckie w 2016 r. i powiązań ludzi Trumpa z Moskwą.

Senator krytykował prezydenta, ale – jako konserwatysta – w większości popierał posunięcia jego administracji w polityce wewnętrznej: obniżki podatków, większe wydatki na zbrojenia; z entuzjazmem opowiedział się też za kandydaturą konserwatysty Neila Gorsucha do Sądu Najwyższego.

Ostatni rok

W lipcu 2017 r. McCain zadał jednak administracji bolesny cios.

Dwa tygodnie po operacji raka mózgu wrócił do Waszyngtonu w samym środku debaty o uchyleniu reformy zdrowotnej Obamy (tzw. Obamacare). W podzielonym niemal równo Senacie jego głos okazał się decydujący – choć nie tak, jak oczekiwało kierownictwo partii. Najpierw zagłosował wprawdzie za rozpoczęciem debaty na ten temat, ale później, wraz z Demokratami, przeciwko skleconej naprędce „reformie light" Trumpa. Bo choć nie krył sprzeciwu wobec Obamacare, to nie zgadzał się na ustawę, która likwidowała kluczowe zapisy programu, ale nie oferowała nic w zamian. „Bądźmy szczerzy, ta ustawa była gówniana" – mówił bez ogródek. W surowych słowach skarcił wtedy obie partie za rosnącą polaryzację kraju i nieumiejętność współpracy, wezwał je do tworzenia prawa zgodnie z procedurami – żmudnymi, ale gwarantującymi ponadpartyjny konsensus.

W przeciwieństwie do Goldwatera, McCain nie okazał się dla swojego obozu politycznego postacią transformacyjną, choć nieraz próbował tego dokonać. Partia Republikańska, której poświęcił polityczne życie, na jego oczach stała się partią Trumpa – człowieka, którym gardził i którego uważał za zagrożenie dla Ameryki i świata. Jako człowiek ogromnie samokrytyczny McCain musiał mieć świadomość, że sam się do tego przyczynił – i być może na ostatni rok jego życia należy patrzeć jako na formę ekspiacji.

Mimo wszystko John McCain III zostanie zapamiętany jako jeden z niewielu współczesnych amerykańskich polityków, którzy nie tylko powtarzali, że „działają w duchu ponadpartyjności", ale naprawdę próbowali to robić: niekoniecznie musisz się zgadzać ze swoim oponentem, ale wysłuchaj go, szanuj, spróbuj znaleźć z nim pole porozumienia.

Charakterystyczne, że to nie Republikanin, a lider Demokratów w Senacie zaproponował, aby jeden z trzech gmachów senackich nazwać imieniem zmarłego. W uzasadnieniu padły słowa: „W czasach, kiedy jest to tak rzadkie, John McCain nigdy nie bał się mówić prawdy".

© PIOTR TARCZYŃSKI

„Błękitni" przeciw „zielonym"

DOMINIKA MATEJKO

Argentyńczycy dużo mówią w tych dniach o życiu: jego wymiarze metafizycznym i prawnym. Projekt liberalizacji ustawy antyaborcyjnej głęboko podzielił społeczeństwo.

Wydarzenia ostatnich tygodni odcisnęły się wyjątkowo silnym piętnem na społeczeństwie Argentyny. Od emocji aż wrzało w Kongresie (parlamencie), w mediach oraz na ulicach miast – nie tylko tych dużych, także małych. Każda strona przedstawiała własną definicję tego, czym jest życie, kiedy się zaczyna – i jak ma się do tego moralność.

Wszystko za sprawą projektu nowelizacji ustawy aborcyjnej, który na początku sierpnia został poddany głosowaniu przez Senat. Debata poprzedzająca głosowanie przerodziła się w 20-godzinny burzliwy maraton, podczas którego deputowani prześcigali się w przedstawianiu argumentów „za" i „przeciw" dekryminalizacji aborcji do 14. tygodnia ciąży.

Choć gdy w końcu doszło do głosowania, zaskoczenia nie było: z 71 deputowanych 38 głosowało przeciw nowelizacji, 31 było za, a dwóch się wstrzymało (aby ustawa przeszła, potrzeba było 37 głosów).

Plac niezgody

Nie obyło się przy tym bez skandali. Deputowany Rodolfo Urtubey podzielił się myślą, że nie każdy gwałt łączy się z przemocą. Ta opinia, połączona z pewnością, jaką było słychać w głosie Urtubeya, wywołała oburzenie zgromadzonych. Nie mniejszy skandal wywołała wiceprezydent Argentyny Gabriela Michetti, która zwymyślała swojego partyjnego kolegę. Wulgaryzmy, jakie skierowała pod adresem Luisa Naidenoffa, mogłyby przejść bez echa, gdyby nie fakt, że – wbrew temu, co sądziła pani wiceprezydent – mikrofony nie były wyłączone.

A to tylko próbka pokazująca, że wielu politykom trudno było utrzymać nerwy na wodzy.

Zresztą nie tylko politykom. Emocje z sali plenarnej szybko wyszły na ulicę. Na placu przed Kongresem, mimo zimna i deszczu, w oczekiwaniu na decyzję czekali zwolennicy i przeciwnicy nowelizacji. Rozdzieleni bramkami i kordonem policji, krzyczeli swoje hasła.

Po jednej stronie placu stali więc przeciwnicy nowelizacji, związani z ruchem pro-life (tutaj: *provida*). Ubrani w błękitne barwy, skandowali „Ratujmy dwa życia". Lub też, bardziej radykalne: „Nawet twoja stara nie może ci odebrać życia". Po drugiej stronie ustawili się zwolennicy nowelizacji, z zielonymi apaszkami. Krzyczeli: „Aborcja legalna, bezpieczna i bezpłatna".

Gdy ogłoszono wynik głosowania, doszło do zamieszek. Na szczęście niegroźnych, choć kilka osób zostało zatrzymanych.

Granice zmian kulturowych

Ideowa bitwa, która rozegrała się na placu przed Kongresem, to tylko jeden z elementów argentyńskiej „wojny" aborcyjnej.

Dyskusja zaczęła się dużo wcześniej – właściwie nawet jeszcze przed tym, jak w lutym tego roku prezydent Mauricio Macri zaproponował debatę o nowelizacji prawa aborcyjnego. Już od 2015 r. w całym kraju miały miejsce regularne manifestacje ruchów feministycznych, które z każdym miesiącem rosły w siłę. Zaczęło się od demonstracji pod hasłem „*Ni una menos*" („Ani jednej mniej"), które miały ukazać problem znęcania się nad kobietami w Argentynie. W międzyczasie wyszły na jaw liczne przypadki morderstw na kobietach, często na tle seksualnym. Kobiety z ruchu Ni Una Menos pokazały, że argentyński *macho* istnieje i ma się dobrze.

To był szok dla społeczeństwa, które na tle całej Ameryki Łacińskiej było niemal zawsze postrzegane jako jedno z najbardziej nowoczesnych, czerpiących obficie z kultury europejskiej. To w końcu w Argentynie, jako w drugim państwie na świecie, w 1921 r. zalegalizowano aborcję w przypadku gwałtu lub zagrożenia życia albo zdrowia kobiety. To tu w 2010 r. zalegalizowano małżeństwa homoseksualne, a w 2012 r. weszła w życie ustawa, która dopuszcza zmianę płci.

Przemianom prawnym i kulturowym co krok towarzyszyły doniesienia o morderstwach na kobietach. Wstrząs był powszechny i chyba mało kto miał wątpliwości, że problem jest poważny i najwyższy czas, by coś z tym zrobić. Była więc masowa mobilizacja, liczne protesty uliczne i happeningi. Wszystko po to, aby skończyć z przemocą wobec kobiet. Całe społeczeństwo zdawało się mówić jednym głosem.

Ale – do czasu. Gdy ruchy feministyczne zaczęły wysuwać kolejne, dużo dalej idące postulaty, nie dla wszystkich stało się jasne, czy chcą dalej popierać ich kampanię. Argentyńczycy chcieli walczyć z przemocą wobec kobiet, ale temat aborcji stanowił tabu. Prawo aborcyjne pozostawało niezmienione od 1921 r. i aż do inicjatywy prezydenta Macriego nikt z polityków nie chciał tego dotykać. Wcześniej, w ciągu 13 lat, La Campaña Nacional por el Derecho al Aborto Legal, Seguro y Gratuito – Narodowa Kampania na Rzecz Legalnej, Bezpiecznej i Darmowej Aborcji – sześć razy przedstawiała projekt nowelizacji. Bezskutecznie.

Decyzja Macriego o rozpoczęciu dyskusji była więc ryzykowna. Choć złośliwi twierdzą, że była to ostatnia deska ratunku dla tracącego poparcie prezydenta, który ma coraz mniejsze szanse na drugą kadencję – a wybory są zaplanowane na przyszły rok.

Argumenty „zielonych"...

Obie strony sporu obszernie przedstawiały swoje argumenty.

„Zieloni", czyli zwolennicy nowelizacji, podkreślają, że jest ona niezbędna, aby móc w pełni bronić kobiety w Argentynie. Liczyli, że kraj stanie się jednym z niewielu miejsc w Ameryce Łacińskiej, gdzie aborcja jest legalna. Obecnie jest dopuszczona na Kubie, w Gujanie, Puerto Rico, w stolicy Meksyku (w innych stanach meksykańskich jest zakazana) oraz w Urugwaju (graniczącym z Argentyną). To właśnie z Urugwaju argentyńscy zwolennicy

MARCOS BRINDICCI / REUTERS / FORUM

Przeciwnicy i zwolennicy liberalizacji aborcji przed parlamentem w Buenos Aires, 1 sierpnia 2018 r.

liberalizacji otrzymali największe poparcie. Niektórzy sąsiedzi specjalnie przyjechali do Buenos Aires, aby wyrazić poparcie dla „zielonych".

Dla wzmocnienia swoich argumentów „zieloni" podawali dane liczbowe, które ich zdaniem ukazują skalę problemu wokół aborcji w Argentynie: spośród 254 ciężarnych kobiet, które zmarły w 2016 r., prawie jedna piąta miała stracić życie wskutek komplikacji po aborcji dokonanej często przez lokalnych znachorów.

„Zieloni" twierdzą, że co roku w Argentynie dokonuje się ok. 500 tys. nielegalnych aborcji. Kobiety, które decydują się na nią, zwykle mają pochodzić z niższych klas społecznych, przez co mają utrudniony dostęp do opieki zdrowotnej.

Bogatsze kobiety, mieszkające w dużych miastach, mają równie często dokonywać aborcji. Różnica polega jednak na tym, że one mogą sobie pozwolić na to, aby skorzystać z usług prywatnych klinik – nielegalnie i za spore pieniądze. W tym przypadku ryzyko poważnych powikłań czy nawet śmierci jest więc mniejsze, niż ma to miejsce w przypadku ubogich kobiet, które decydują się na domowe sposoby przeciw niechcianej ciąży.

Grupy proaborcyjne atakowały też Kościół katolicki i Kościół ewangelicki, które zaangażowały się w dyskusję. W ojczyźnie papieża Franciszka ponad 75 proc. społeczeństwa to katolicy, 14 proc. ewangelicy, a kilka procent to wyznawcy innych religii. Papież wystosował zresztą do biskupów argentyńskich list, w którym opowiedział się przeciwko nowelizacji i wezwał ich, aby bronili „życia i sprawiedliwości".

Zwolennicy liberalizacji atakowali też rząd – za to, że przez lata problem aborcji był, ich zdaniem, marginalizowany. Twierdzili, że argentyńskie prawo nie powinno kierować się religijnymi pobudkami, a to one, jak twierdzą, były kluczowe dla tych polityków, którzy głosowali przeciw nowelizacji.

„Zieloni" przekonują, że bez względu na restrykcje prawne aborcja nie zniknie. Według nich różnica polega tylko na tym, gdzie i jak kobiety będą jej dokonywać.

...i argumenty „błękitnych"

„Błękitni", czyli przeciwnicy nowelizacji, starannie odpierają argumenty zwolenników liberalizacji. Mówią o niedokładnych danych, jakimi – ich zdaniem – posługują się „zieloni".

Minister zdrowia Adolfo Rubinstein, który jest zwolennikiem liberalizacji prawa aborcyjnego, już na początku „zielono-błękitnej wojny" sięgnął po wspomnianą wyżej liczbę 500 tys. corocznych aborcji, zestawiając ją z liczbą przypadków śmiertelnych, mającą wynosić 37 kobiet na rok.

„Błękitni" szybko obliczyli, że gdyby tak było, wówczas odsetek śmiertelności wynosiłby 0,0074 proc. Ich zdaniem, skoro odsetek ten jest na tyle mały, to tym bardziej nie ma potrzeby zmieniać obecnej ustawy.

„Błękitni" argumentują, że więcej kobiet umiera co roku na raka szyjki macicy lub raka piersi – i to raczej tym powinno zająć się ministerstwo zdrowia. Ich zdaniem „zieloni" zrobili burzę w szklance wody po to, żeby osiągnąć korzyści z legalizacji aborcji. Wśród „błękitnych" pojawiały się głosy, że grupy proaborcyjne mają być powiązane z organizacjami, które handlują narządami nienarodzonych dzieci (wśród „zielonych" słychać było niejako lustrzany zarzut – tyle że chodziło o handel narządami płodów).

„Błękitni" zarzucają też „zielonym", że ci „zasłaniają się biednymi", usiłując przekonać społeczeństwo, że pomaganie ubogim kobietom z niechcianą ciążą jest dla nich priorytetem. Tymczasem ruch antyaborcyjny podkreśla, że to oni, a nie „zieloni", pomagają w tzw. *villas*, czyli slumsach, gdzie prowadzą misje świeckie i kościelne na rzecz edukacji seksualnej i pomocy ciężarnym. Dostarczają im też leków – oraz, bywa, oferują środki antykoncepcyjne. „Błękitni" twierdzą też, że to rząd jest winny za obecny stan rzeczy, gdyż nie wspiera finansowo grup charytatywnych, pracujących na rzecz najuboższych kobiet.

To dopiero początek?

Dyskusja nie zakończyła się wraz z głosowaniem w Senacie.

W piątek, 24 sierpnia, grupa ponad 3 tys. osób demonstracyjnie podpisała akt apostazji – oficjalnego wystąpienia z Kościoła katolickiego. Miał to być ich sprzeciw wobec zaangażowania Kościoła w spór aborcyjny i głos na rzecz separacji państwa od Kościoła.

Z kolei rząd proponuje szereg zmian w kodeksie karnym, w prawie pracy i w opiece zdrowotnej. Proponuje np. zniesienie kar więzienia za aborcję, przewiduje regulację czasu pracy dla matek oraz skuteczniejszą opiekę zdrowotną dla ciężarnych kobiet. Dla Argentyńczyków to jednak za mało. „Zieloni" dalej będą walczyć o legalizację aborcji. Z kolei „błękitni" chcą teraz powszechnej edukacji seksualnej.

Nie wiadomo, czy Argentyńczycy mogą osiągnąć jakikolwiek kompromis. Cała dyskusja dopiero nabiera rozpędu. Także politycznego: niewątpliwym jest, że to spór o aborcję stanie się główną kartą przetargową w nadchodzących wyborach prezydenckich. ©

LARS PEHRSON / SVD / TT / FORUM

Per Jimmie Åkesson, przewodniczący partii Szwedzcy Demokraci, i plakat „Zwykli ludzie przeciwko Brukseli", Sztokholm, luty 2018 r.

Idylla w zawieszeniu

AGATA KASPROLEWICZ

Żaden kraj Europy nie przyjął tylu uchodźców w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Ale atmosfera się zmienia: antyimigranccy Szwedzcy Demokraci walczą w wyborach o drugie miejsce.

Styczniowe poranki w Sztokholmie są do siebie podobne – zimne i ponure. Słońce późno wstaje, a poczucie przeszywającego chłodu potęguje bezlitosny wiatr. Siódmy poranek stycznia tego roku był jednak wyjątkowy, a dla 63-letniego Daniela Cuevasa Zunigi okazał się ostatni.

Zahartowany w skandynawskich mrozach mężczyzna wracał na rowerze do domu po nocnej zmianie. Pracował w ośrodku dla niepełnosprawnych w Vårby gård, na przedmieściach stolicy. Kiedy zobaczył leżący na drodze dziwny kulisty przedmiot, zatrzymał się i chciał przyjrzeć mu się z bliska. Sięgając po niego, nie wiedział, że jest to granat M-75. Chwilę później nastąpiła eksplozja.

Daniel Cuevas Zuniga nie był bohaterem kryminału Henninga Mankella czy Stiega Larssona. Był jednym z wielu Chilijczyków, którzy po zamachu stanu Augusta Pinocheta w 1973 r. znaleźli schronienie w życzliwej Szwecji. Ówczesny premier, socjaldemokrata Olof Palme, jako pierwszy na świecie otworzył drzwi przed chilijskimi uciekinierami. Szwedzka tradycja gościnności wobec ludzi w potrzebie sięga znacznie dalej niż ostatni kryzys migracyjny.

Granaty z Bałkanów

Śmiertelny wybuch na sennym przedmieściu Sztokholmu był jednym z wielu podobnych wydarzeń, które miały miejsce w Szwecji w tym roku. Tylko w styczniu – oprócz tragedii w Sztokholmie – granat ręczny wylądował w mieszkaniu na przedmieściach Göteborga, zamieszkanych głównie przez imigrantów; wybuchł w kuchni (w tym samym sąsiedztwie dwa lata wcześniej od wybuchu granatu zginął 8-letni chłopiec). Z kolei w Malmö ktoś wrzucił granat na posterunek policji. W Uppsali dwóch dwudziestolatków zostało zatrzymanych pod zarzutem wrzucenia granatów do domu pracownika banku, który badał oszustwa finansowe.

„Jak to możliwe, że granaty wybuchają na ścieżkach rowerowych?" – pytała zrozpaczona wdowa po Zunidze w rozmowie z dziennikarzami. Mówiła przez łzy, że nie poznaje kraju, do którego przyjechali z mężem przed kilkoma dekadami.

Granaty, które wybuchają na spokojnych dotąd szwedzkich ulicach i wpadają ludziom do mieszkań, w gwałtowny sposób wybudzając Szwedów z błogiego snu o szwedzkiej idylli, pochodzą z wojny zakończonej ponad dwie dekady temu. Wyprodukowała je armia jugosłowiańska, a potem, w latach 90., zostały przejęte przez jej przeciwników.

Wojna się skończyła, a broń została. Handlarze bronią z Bośni czy Serbii

szybko zapuścili swoje macki w szwedzką diasporę. Kiedy starzejące się w magazynach granaty zaczęły zachodzić rdzą, zaczęli je dodawać gratis do zakupu np. kałasznikowa. Myśląc być może, że byłoby szkoda, gdyby miały się zmarnować.

Do Szwecji nielegalna broń dociera z Danii, poprzez długi na prawie osiem kilometrów Most nad Sundem, który łączy Kopenhagę z Malmö. Miał symbolizować zjednoczoną Europę. W ciągu ostatnich kilku lat zaczął się kojarzyć z przemytem – narkotyków, ludzi i właśnie broni.

Pytania i odpowiedzi

Eksplodujące granaty – narzędzie w rękach kryminalistów – stały się symbolem rosnącej w Szwecji przestępczości.

Do roku 2014 takie wydarzenia były w tym kraju rzadkością. Zmiana przyszła w roku 2015. Wtedy zostało zdetonowanych 10 granatów, a kolejnych 35 przechwyciła policja. Następny rok, 2016, był jeszcze gorszy. Doszło do 35 eksplozji, 55 granatów zostało skonfiskowanych. W ubiegłym roku było spokojniej: „jedynie" 21 wybuchów. Podobno obecnie granat można kupić w Szwecji za 100 koron, czyli ok. 50 zł. Nielegalnie, rzecz jasna.

Co stało się z sielską Szwecją – krainą anyżkowych cukierków, chodaków, mebli IKEA i dobrobytu dostępnego dla każdego? Kiedy Szwecja stała się krajem wybuchających na ulicy granatów, płonących samochodów, dzielnic zwanych potocznie „no-go zones", gdzie wstępu nie mają wozy policyjne, a nawet karetki pogotowia? Kiedy tutejsze miasta zyskały wątpliwą renomę światowych stolic gwałtu? Kiedy szwedzka rzeczywistość zaczęła przypominać szwedzki kryminał?

Na takich pytaniach ogromną popularność zbija partia, która jeszcze kilka lat temu nie miałaby szansy zaistnieć na tutejszej scenie politycznej. Oprócz pytań udziela ona także odpowiedzi – rozpadowi szwedzkiej utopii winni są przybysze. Dziś Szwedzcy Demokraci (Sverigedemokraterna) są trzecią największą siłą polityczną w kraju. A do wyborów parlamentarnych, które odbędą się w drugą niedzielę września, idą po jeszcze więcej.

Hasło, z którym Szwedzcy Demokraci usiłowali kilkanaście lat temu wejść na scenę polityczną, brzmiało: „Niech Szwecja będzie szwedzka". Tymczasem identyczną nazwę nosił nacjonalistyczny ruch Bevara Sverige Svenskt (BSS), założony w 1979 r. Choć odżegnywał się od rasizmu, to zasłynął m.in. z takich haseł jak: „Nie pozwól, by twoja córka stała się zabawką czarnucha". Z kolei BSS czerpał ideologiczne inspiracje z Nowego Ruchu Szwedzkiego, który w czasie II wojny światowej wspierał nazistowskie Niemcy. W latach 1941-45 członkiem ruchu był Ingvar Kamprad, założyciel koncernu IKEA.

Kryminał jak komentarz

Szwedzcy Demokraci powstali w 1988 r. – dwa lata po tym, jak w centrum Sztokholmu, na skrzyżowaniu ulic Sveavägen i Tunnelgatan, został zastrzelony Olof Palme, kiedy wracał z żoną z kina. Śmierć popularnego polityka wstrząsnęła krajem, który nie mógł zrozumieć, jak mogło dojść do takiej tragedii. Szwecja nie była przecież miejscem, gdzie politycy giną w zamachach. Białą trumnę udekorowaną czerwonymi różami żegnał tłum zrozpaczonych i zszokowanych obywateli.

Wątek niewyjaśnionego do dziś zabójstwa Palmego często pojawia się w szwedzkich kryminałach. W mroczną fabułę znanej na całym świecie trylogii „Millenium" wplótł go także Stieg Larsson. Nie wszyscy wiedzą, że zanim zaczął pisać kryminały, Larsson był zaangażowanym lewicowym dziennikarzem, pomysłodawcą i współtwórcą magazynu „Expo".

Po śmierci Larssona w 2004 r. stanowisko naczelnego pisma przejął Daniel Pool. Mówi mi, że „Expo" powstało w połowie lat 90. XX w. i było reakcją na falę neonazistowskich ugrupowań, które stawały się w tamtym czasie w Szwecji aktywne i zaczęły rekrutować młodzież. Larsson z niepokojem przyglądał się, jak na przestrzeni lat radykalna prawica staje się w kraju coraz bardziej wpływowa. Dziennikarze „Expo" mieli te tendencje obserwować.

– Szwedzki kryminał oddaje życie codzienne, jest komentarzem społecznym. Napięcie polega właśnie na tym, że w spokojnym społeczeństwie nagle pojawia się jakieś zło – mówi mi Stefan Ingvarsson, mieszkający w Sztokholmie tłumacz i publicysta, który przełożył na szwedzki m.in. teksty Gombrowicza.

Debata światopoglądowa między autorami szwedzkiego kryminału dotyczy natury zła: czy nadchodzi ono z zewnątrz, czy też tkwi w środku?

Stefan Ingvarsson uważa, że uczciwsze są te kryminały, które pokazują zło śpiące poniekąd pod deskami własnej podłogi, aniżeli te próbujące tworzyć obraz oblężonej idylli. A taki właśnie wizerunek Szwecji kreuje partia Szwedzkich Demokratów.

„Opętani lewicowym ekumenizmem"

Szwedzcy Demokraci nie lubią, gdy przypomina im się o neonazistowskich korzeniach. Dziś, pod przewodnictwem 39-letniego Pera Jimmie'ego Åkessona, przeszła wizerunkowy „lifting". Z partyjnych plakatów zniknął wiking trzymający slogan „Niech Szwecja będzie szwedzka". W jego miejscu pojawił się błękitno-żółty kwiatek, nowe logo ugrupowania.

Ale kiedy reporterzy gazety „Expressen" razem z fundacją „Expo" przeanalizowali postacie kandydatów, zgłoszonych przez tę partię w nadchodzących wyborach, okazało się, że na jej listach znalazło się kilka osób, które działały w neonazistowskich organizacjach. Skonfrontowany z tym Åkesson stwierdził, że nie można wykluczać ludzi z polityki tylko dlatego, że „w młodości zrobili coś głupiego".

– Musimy sobie zdawać sprawę z tego, że Szwecja to kraj opętany lewicowym ekstremizmem – mówi mi Kent Ekeroth, 36-letni poseł z ramienia Szwedzkich Demokratów.

W ten sposób Ekeroth tłumaczy złą prasę swojej partii. Jego zdaniem w Szwecji nawet prawicowe media prezentują lewicowy punkt widzenia. Wszystkie, przekonuje Ekeroth, jak jeden mąż negują różnice między kobietą i mężczyzną czy popierają feminizm. Poseł powołuje się przy tym na badania, z których wynika, że 75 proc. szwedzkich dziennikarzy ma lewicowe poglądy.

Koniec politycznego dogmatu

– Szwecja jest wspaniałym krajem dlatego, że zbudowali go Szwedzi – przekonuje Kent Ekeroth. – Przez ostatnich 30-40 lat próbowano nam wmówić, że Szwecja nie odniosłaby sukcesu bez imigrantów. Tymczasem to wielkie kłamstwo. Ani Somalijczycy, ani Irakijczycy nie zbudowali Szwecji. Szwecję zbudowali Szwedzi.

Jeszcze niedawno takie słowa wywołałyby w kraju skandal, zostałyby uznane za polityczną i obyczajową herezję. Dziś jednak partia, której politycy głoszą takie poglądy, cieszy się poparciem około 20 procent – i po zbliżających się wyborach może ↦

↦ stać się drugą siłą w Riksdagu (parlamencie).

Ale procenty i słupki popularności nie oddają w pełni sukcesu tego ugrupowania.

Cztery lata temu, podczas poprzednich wyborów parlamentarnych, żadna partia polityczna – poza Szwedzkimi Demokratami – nie mówiła o imigracji. Liberalna polityka imigracyjna wydawała się wręcz politycznym dogmatem, a przedstawianie imigracji jako problemu politycznego odbierane było przez mainstream jako zdrada szwedzkich wartości. W 2014 r. Szwecja była jedynym krajem Unii Europejskiej, który automatycznie przyznawał azyl wszystkim Syryjczykom.

Potem, w 2015 r. – w czasie apogeum kryzysu migracyjnego w Europie – do dziesięciomilionowej Szwecji przybyło 160 tys. uchodźców i imigrantów. Oznacza to, że stała się krajem o największej w Europie liczbie uchodźców/imigrantów przypadających na jednego mieszkańca.

Ale potem, począwszy od 2016 r., władze zaostrzyły politykę migracyjną.

– Cztery lata temu w Szwecji panował konsensus w sprawie liberalnej polityki migracyjnej. W przeddzień tegorocznych wyborów panuje konsensus, że migrację trzeba kontrolować i ograniczyć – mówi „Tygodnikowi" Michael Winiarski, dziennikarz liberalnego szwedzkiego dziennika „Dagens Nyheter".

58 procent

Dziś większość Szwedów nadal popiera przyjmowanie uchodźców. A równocześnie to imigracja stała się problemem politycznym i głównym tematem tych wyborów. Zaczęła być też łączona z przestępczością. Niedawno telewizja publiczna wyemitowała reportaż o gwałtach w Szwecji – w 2017 r. liczba odnotowanych gwałtów przekroczyła 7 tys. przypadków.

W reportażu przedstawiono liczby, z których wynika, że 58 proc. sprawców (gwałtu i próby dokonania gwałtu), skazanych w ciągu ostatnich pięciu lat przez szwedzkie sądy, to mężczyźni urodzeni poza Szwecją.

> Cztery lata temu w Szwecji panował konsensus w sprawie liberalnej polityki migracyjnej. Dziś panuje zgoda, że **imigrację trzeba ograniczyć.**

Redaktor naczelny Ulf Johansson powiedział potem w rozmowie z brytyjską BBC, że jest świadomy, iż sprawcy gwałtów stanowią tylko ułamek procenta wszystkich ludzi, którzy w ciągu ostatnich pięciu lat przybyli do Szwecji. Podkreślił, że celem emisji programu nie było zaognienie atmosfery w kraju przed wyborami. Uznał natomiast, że skoro imigracja jest głównym tematem kampanii wszystkich partii, to obowiązkiem telewizji publicznej jest dostarczenie Szwedom na ten temat wiedzy.

Dane przedstawione w programie warto uzupełnić o inne wyliczenie, z którego wynika, że w 2015 r. – czyli w momencie, gdy do Szwecji przyjechało najwięcej uchodźców – liczba gwałtów spadła o 12 proc.

Inna Szwecja

Bez względu na wynik wrześniowego głosowania Szwedzcy Demokraci odnieśli już sukces: udało im się przekonać ogromną część Szwedów – w tym także tych, którzy nie będą na nich głosować – że zło przychodzi z zewnątrz.

Bez względu na to, czy zajmą oni drugie miejsce, czy też trzecie, Szwecja po tych wyborach będzie inna. Polityczny establishment nie będzie mógł dłużej wypierać istnienia Szwedzkich Demokratów.

Cztery lata temu, kiedy zdobyli 12 proc. głosów, można było jeszcze udawać, że ich (prawie) nie ma. W tym roku, kiedy jest niemal pewne, że zagłosuje na nich około dwa razy więcej Szwedów, zbudowanie koalicji bez ich udziału może okazać się wyzwaniem.

Daniel Pool, redaktor naczelny „Expo", uważa, że zabójstwo premiera Palmego było punktem zwrotnym w powojennej historii Szwecji, końcem jej „ery niewinności".

Pool uważa, że dzięki temu, iż Szwedzi nie brali udziału w II wojnie światowej, a po 1945 r. znaleźli się w innym położeniu geopolitycznym niż większość Europejczyków, mieli szansę budować inne społeczeństwo: Szwecja miała być „trzecią drogą", alternatywą dla reszty Europy, podzielonej żelazną kurtyną na komunistyczny Wschód i kapitalistyczny Zachód.

Taka wizja była droga Olofowi Palmemu. Z tamtych czasów wywodzi się też idea, że Szwecja jest tak nowoczesnym krajem, iż nie potrzebuje czynnika narodowego jako istotnego dla określenia swej tożsamości. Szwedzką tożsamość miała teraz określać międzynarodowa solidarność. Wówczas to właśnie Szwecja jako pierwsza otworzyła drzwi dla uchodźców z Chile – takich jak nieszczęsny Daniel Cuevas Zunig – a także zaangażowała się w walkę z apartheidem w RPA.

Pułapka autokreacji

Daniel Pool uważa, że liberalna i szczodra polityka imigracyjna Szwecji jest spuścizną po tamtym „złotem okresie". Jest bowiem częścią wizji Szwecji jako otwartego i tolerancyjnego państwa; wizji społeczeństwa, które poczuwa się do obowiązku pomocy ludziom w potrzebie, które jest wierne wartościom solidarności międzynarodowej.

Jednak problem w tym, że taka wizja jest również autokreacją Szwedów, w której kryje się pułapka. – Witaliśmy przez te wszystkie lata obcokrajowców z otwartymi ramionami, ale zamknęliśmy przed nimi możliwości awansu społecznego – uważa Pool. – Problem w tym, że na ten temat w Szwecji nikt nie chciał już rozmawiać, bo debata wymagałaby zadania sobie trudnych pytań: czy rzeczywiście jesteśmy tymi, za których się podajemy? Albo: czy wizerunek tolerancyjnego społeczeństwa odpowiada rzeczywistości?

Debatę na temat migracji zaczęli Szwedzcy Demokraci i postawili własną diagnozę: że Szwecja jest oblężoną idyllą, którą trzeba bronić przed obcymi. Może więc stawką tych wyborów, prócz liczby miejsc dla poszczególnych partii, jest też wizerunek kraju?

Jego losy wydają się równie niepewne jak kształt przyszłego rządu.

© AGATA KASPROLEWICZ

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

AGATA KASPROLEWICZ będzie gościem Macieja Zakrockiego w „Popołudniu Radia TOK FM" w środę 5 września o godz. 16.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

TYGODNIK POWSZECHNY
muzyka W TYGODNIKU
Dodatek specjalny 37/2018
redakcja Jakub Puchalski

KAROL SZYMANOWSKI INTERNATIONAL MUSIC COMPETITION KATOWICE 2018

KONKURS SZYMANOWSKIEGO

Kompozytor w swojej pracowni, Zakopane, 1935 r. NAC

PIERWSZY KONKURS im. Karola Szymanowskiego w Katowicach odbędzie się w dniach 10-23 września 2018 r. Wydarzenie organizowane jest przez Narodową Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia przy wsparciu Polskiego Radia SA, Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach oraz Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego w Zakopanem. Dofinansowane jest też ze środków Miasta Katowice oraz Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości. 117 młodych muzyków z 21 krajów ubiegać się będzie o nagrody aż w pięciu kategoriach: fortepianu, skrzypiec, śpiewu, kwartetu smyczkowego oraz kompozycji. Jako komitet honorowy imprezę firmują dyrygent sir Simon Rattle oraz Krzysztof Penderecki. W skład jury wchodzą polscy i zagraniczni artyści o bogatym bagażu doświadczeń związanych z twórczością Szymanowskiego i nie tylko. Dla podkreślenia znaczenia muzyki Szymanowskiego ważne jest bowiem pokazanie jej w kontekście – to też sposób, by wyłoniła się jej specyfika.

Gdyż Szymanowski jest specyficznym kompozytorem. Jak mówi Kaja Danczowska, jedna z najwybitniejszych wykonujących jego utwory skrzypaczek, której mistrzyni, Eugenia Umińska, pracowała nad nimi z samym autorem, istotne jest nie to, by tę muzykę po prostu dobrze grać, lecz by przekazywać jej migotliwą tkankę dźwiękową. „Trzeba w niej uzyskać nieważkość". By to osiągnąć, konieczne jest m.in. wypracowanie specjalnych sposobów posługiwania się instrumentem. W przypadku skrzypiec będzie to np. używanie odmiennego niż w innych utworach nacisku smyczka w stosunku do prędkości – jednak nie zbyt lekkiego, bo dźwięk musi pozostać pełny. Podobnie z wibrato, które należy dawkować bardzo dyskretnie: aż po białe nuty, wibrowane najwyżej lekko, na samym końcu. „A przede wszystkim trzeba grać krystalicznie czysto, gdyż w przeciwieństwie do Brahmsa czy Czajkowskiego tutaj nawet drobne zachwianie intonacji powoduje, że muzyka staje się drażniąca – mówi skrzypaczka. – Trzeba też indywidualnie traktować każdy utwór. Każdy wymaga przede wszystkim wczucia się w muzykę, a nie równego odczytania. Gdy razem graliśmy »Mity«, Krystian Zimerman zasugerował: wkołyszmy się w tę muzykę". Właśnie: wniknijmy w nią i się wkołyszmy.

© JP

Organizator NOSPR
Współorganizatorzy
NOSPR współfinansują
Sponsor NOSPR i projektu akustyki sali koncertowej TAURON
Partner strategiczny PWM
Partner STOART
Partner motoryzacyjny
Patroni medialni
Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Infrastruktura i Środowisko Dla rozwoju infrastruktury i środowiska | www.pois.gov.pl

Ryzykowna gra

JAKUB PUCHALSKI

Nie lubię konkursów muzycznych. Zamieniają sztukę w zawody sportowe. Ale na tym właśnie polega ich siła.

Zawodów też nie lubię. Więc ich nie oglądam. Dlaczego zatem nie unikam konkursów muzycznych? Nie tylko dlatego, że w przeciwieństwie do sportu muzyka mnie interesuje. Że jest to element mojego zawodu. To nie tłumaczy emocjonalnego zaangażowania, któremu nie potrafię się oprzeć, gdy już wsiąknę w agon. Emocji, trzeba to przyznać, niewyrafinowanych i prostych, ale i niosących jedno pocieszenie: podzielanych przez wszystkich na sali i w zasadzie niekwestionowanych. Emocji płynących ze śledzenia rywalizacji i jej wyników.

Nie ma się też co oszukiwać: fakt, że jest to rywalizacja w muzyce, bynajmniej jej nie „uszlachetnia" (cokolwiek by to miało znaczyć) – przeciwnie, raczej mnoży wątpliwości, zwłaszcza w porównaniu ze sportem. Tam wynik jest raczej jasny i jawnie osiągnięty – tu zależy od garstki wybranych osób i średniej wyciągniętej z ich przekonań, z definicji subiektywnych, a subiektywność ta wsparta jest jeszcze zwyczajową niejawnością obrad. Nie dość więc, że nie ma czystej miary, to jeszcze dochodzi element ruletki.

Nie słucham więc konkursów, by dowiedzieć się, kto wygrał, lecz by dowiedzieć się, kto jak grał. Tyle dobrego, acz nie zmienia to faktu, że oczywiście klnę na złe wybory (czyli niezgodne z moimi), i cieszę się z właściwych (czyli z moimi zgodnych). A także z lubością dywaguję nad rolą konkursów i ich pozycją.

Konkurs do konkursu

O tym faktycznie warto pamiętać: w każdej swej edycji do konkursu staje także sam konkurs. Przy ich niezliczonej w świecie liczbie (Wikipedia podaje listę ponad trzystu, pewna analiza twierdzi jednak, że samych międzynarodowych konkursów pianistycznych jest dziś ponad 750!), dokonanie szeregu złych wyborów może obniżyć rangę nawet najlepszego, a wspięcie się wyżej w hierarchii jest bardzo trudne.

Konkurs Szymanowskiego, na który teraz czekamy, ma tu wszakże specjalny atut do zaproponowania: specyfikę repertuaru, która stanowi wstępną selekcję kandydatów. To nie jest konkurs dla każdego: na najlepszego pianistę, skrzypka czy śpiewaka. To konkurs dla poszukujących, dla wybranych. Co stanowi też niebezpieczeństwo: ryzyko tworzenia getta „specjalistów". Tym jednak ewentualnie przyjdzie się martwić w przyszłości, i to raczej odległej, na razie natomiast trzeba wspomnieć o drugim atucie: wysokości nagród. To zawsze poważny wabik świadczący o powadze przedsięwzięcia – tu rysują się one bardzo atrakcyjnie. Trzecim elementem jest jury. W Katowicach, poza Krzysztofem Pendereckim wśród sędziów w dziedzinie kompozycji, zabraknie wprawdzie największych nazwisk, które przyciągają i podkreślają wyjątkowość wydarzenia (jak na Konkursie Chopinowskim, Czajkowskiego albo Królowej Elżbiety Belgijskiej – tutaj takie postaci są w Komitecie Honorowym: obok Pendereckiego również Simon Rattle, co buduje prestiż), ale przecież kompetencje katowickiego jury i dorobek jurorów budzą respekt. Można zakładać, że dla tych, do których konkurs jest adresowany, sędziowie bynajmniej nie będą anonimowymi osobami.

Wypchnąć w świat

Dlaczego jednak konkurs, nie koncert? Przecież w czasie, gdy muzyka rozwijała się najbardziej dynamicznie, z najlepszymi rezultatami, w XVIII i w XIX wieku, nie robiono żadnych konkursów. Najlepsi artyści byli polecani przez swoich profesorów, często mistrzów, jak Chopin czy Liszt, zaczynali grać w salonach albo (to już później) po przesłuchaniu na prywatnym koncercie dla specjalistów dostawali szansę na występ np. z orkiestrą. I dalej musiało się wszystko rozstrzygnąć: albo porywają publiczność, albo nie. Czasem trzeba było do tego paru prób (nawet Horowitz ich potrzebował), inwestycji impresaria, który wierzył w talent i nie zrażał się po pierwszych niepowodzeniach, ale wciąż gotów był wynająć kolejną salę, w kolejnym mieście... Jeżeli ktoś miał coś do przekazania, miał szanse, by triumfować. Bez konkursu. Po czym w połowie lat 80. XIX w. z idei i majątku legendarnego wówczas artysty, Antona Rubinsteina, narodził się turniej. Pomysł na miarę i skalę swojego autora – nowatorski i spektakularny. Jakże odległy od działalności niedawno zmarłego Liszta, który prowadził w Weimarze swoje kursy jak zakon dla wiernych: przybywali, kształcili się długo lub krótko, tworząc dwór siwowłosego mistrza, po czym wyruszali w świat z marką „uczeń Liszta", otwierającą każde drzwi.

Gdy Rubinstein po raz pierwszy ogłaszał konkurs, wymyślił go jako imprezę międzynarodową w pełnym znaczeniu tego słowa. Pierwsza edycja miała mieć miejsce w Sankt Petersburgu, ale druga już w Berlinie, następne w Wiedniu i w Paryżu. Konkurs odbywać się miał co pięć lat – ta przerwa, znana z późniejszego Konkursu Chopinowskiego i obecnie Szymanowskiego, wydaje się właściwa: to dość czasu, by dojrzało kolejne pokolenie młodych artystów, każda edycja łowi więc talenty w nowym narybku.

Nazwisko, pod jakim był wymyślony i realizowany – Antona Rubinsteina – było największym możliwym magnesem, nagroda była poważna (zwłaszcza sam tytuł zwycięzcy), a jednak w świecie

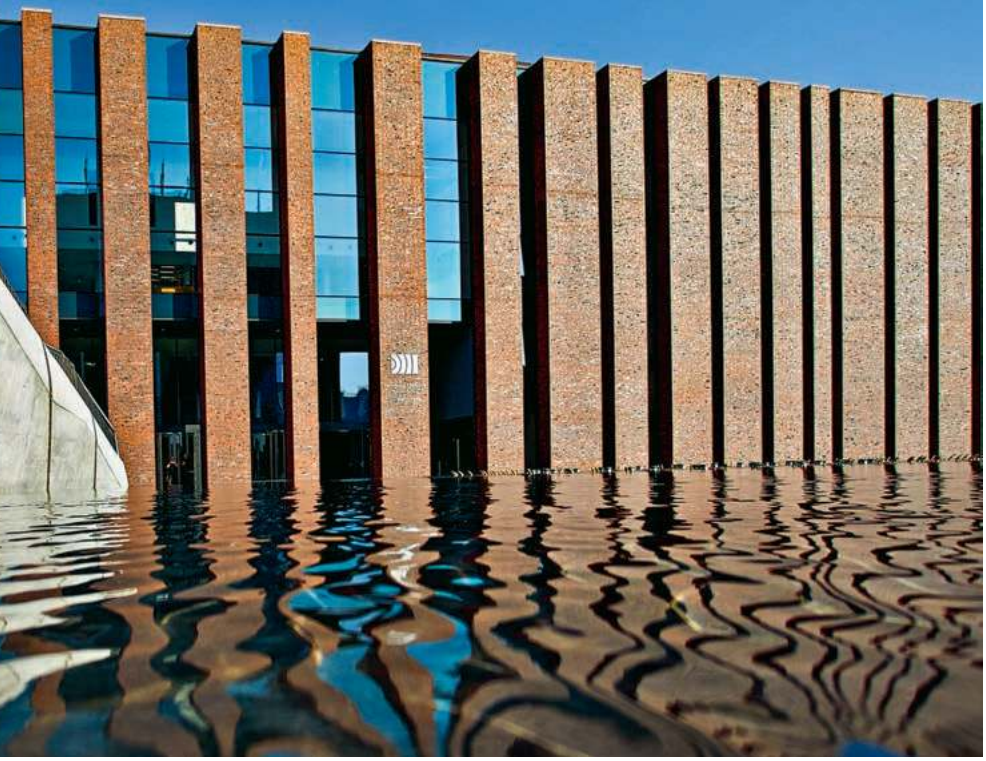

BARTEK BARCZYK

Budynek NOSPR w Katowicach

końca XIX wieku konkurs musiał być egzotyczną ideą, skoro w 1890 r. w Sankt Petersburgu jurorów było więcej niż kandydatów. Nawet mimo tego, że odbywał się w dwóch kategoriach, dla Rubinsteina podstawowych: fortepianu i kompozycji. Od razu też przyniósł kontrowersje: nagrodę za kompozycję zdobył Ferruccio Busoni, co dziś nas nie dziwi... ale dziwiło współczesnych, bo jego nowatorska wówczas muzyka wcale nie była dobrze przyjęta. To jeszcze jednak można było wyjaśnić brakiem kontrkandydatów (był jedynym startującym w tej konkurencji), natomiast słuchacze – i tutaj, znając historię, pewnie się z nimi zgodzimy – uważali, że włoskiemu artyście wyrządzono krzywdę, nie przyznając mu zwycięstwa w kategorii fortepianu.

Busoni był pianistą genialnym, jednym z kilku największych w dziejach – jedynym mogącym stawać obok Antona Rubinsteina – więc rzeczywiście wątpliwość jest dużego kalibru. Co nie oznacza, że była to największa plama na honorze Konkursu Rubinsteina – w 1905 r., już bez swojego założyciela, odbywał się w Paryżu, a startował w nim, również w obu kategoriach, Béla Bartók. Nie przejmował się szczególnie, że nie wywalczył niczego jako pianista (wygrał Wilhelm Backhaus – żadna ujma!), ale brak nagrody za kompozycję uznał za policzek. Gorzej, za szczyt niekompetencji jury! Konkurs ten do dziś pamiętany jest głównie z pominięcia Bartóka – i z jego wzburzenia. Nagrody w ogóle nie przyznano, a największą liczbę głosów i wyróżnienie otrzymał kompletnie niewyróżniający się Włoch, który jako twórca w ogóle nigdy nie zaistniał. Bartók natomiast stał się jednym z kilku największych kompozytorów XX wieku, a właściwie – wszech czasów.

Zajęcie dla sapera

Konkurs więc to niezwykłe ryzyko. Nie tylko dla młodych artystów, ale i dla jurorów. Artur Rubinstein, który sam na Konkursie Rubinsteina w 1910 r. otrzymał drugie miejsce, znalazł się w jury, które w 1938 r. w Brukseli przyznało odległą, siódmą lokatę Arturowi Benedettiemu Michelangelemu. Zjawiskowy artysta, grając idealnie apollińsko, ledwie dwa lata później wygrał triumfalnie konkurs w Genewie (turnieje zdążyły się już rozmnożyć) – i zaraz świat zadał sobie pytanie: jak tam oceniali w tej Brukseli, że przegapili tak uderzający fenomen?! Nie musiał wygrać, bo konkurencja była bardzo silna. Pierwsze miejsce Emil Gilels, drugie Moura Lympany, ale siódme to naprawdę daleko. Rubinstein czuł, że musi się tłumaczyć. Michelangeli pokazał wprawdzie świetną technikę, ale wypadł nie w pełni satysfakcjonująco... Zły werdykt ciągnie się za jurorami przez lata, a niekiedy nie wybacza im się go do końca życia.

Jednocześnie odpowiedzialność jest podwójna – gdyż konkursy mogą nie tylko dodać skrzydeł i wypromować artystę. Mogą też go głęboko skrzywdzić. Łatwo nie tylko pchnąć kogoś do kariery, ale i pogrążyć. Taką moc mają niekiedy dalsze nagrody, które w praktyce bywają większym ciężarem niż radykalne odrzucenie po którymś etapie rozgrywek. To ostatnie – co znamy z historii Konkursu Chopinowskiego – potrafi zostać okrzyknięte skandalem i na tej fali skutecznie wylansować mniej lub bardziej skrzywdzonego artystę. Najsławniejszym tu przykładem jest Ivo Pogorelić. Ale i Nelsona Goernera, którego nie dopuszczono do finału w słabym roku 1990, wciąż kocha się w Warszawie miłością niemal bezwarunkową – w dużej mierze z powodu owej krzywdy wyrządzonej mu podczas Konkursu.

Można się dziwić temu rozumowaniu: obiektywnie rzecz biorąc dalsze, czwarte lub piąte miejsce na trudnym konkursie to wciąż wysoka lokata, sama radość. Ale która kariera artystyczna buduje się na obiektywnych wartościach? Piąty w kolejności oznacza: doceniono cię, ale czterech było lepszych! To kandydaci do sukcesów przed tobą, a i tak wielką karierę zrobi może jeden, dwoje z nich. Dla wyrazistego artysty, kogoś, kto ma zamiar i potrafi grać, a nie tylko chce szybko zostać profesorem na uczelni, każda dalsza nagroda to nie pomoc – to cios obuchem.

Połamania nóg!

Paradoks? Świat sztuki jest ich pełen, bo brak tu precyzyjnych kryteriów. Choć skutki mogą być opatrznościowe. Jak w pierwszym nowożytnym turnieju artystycznym, w którym troje rzeźbiarzy walczyło o życiowe zamówienie na wschodnie drzwi Baptysterium we Florencji.

Wygrał, jak wiadomo, Lorenzo Ghiberti, przedstawiając śmiało skomponowaną płaskorzeźbę. Przegrana nowoczesnemu Donatellowi pozwoliła skupić się na monumentalnej rzeźbie w marmurze i na wykuciu w nim dojrzałego renesansu – co utorowało drogę Michałowi Aniołowi, a nawet obrazom Leonarda. Z kolei przegrany Brunelleschi zajął się architekturą, w której dokonał tego, co Donatello w rzeźbie, na dodatek stawiając wreszcie długo oczekiwaną kopułę na florenckiej katedrze. Tymczasem złotnik Ghiberti przez całe życie odlewał figurki do scen umieszczanych na drzwiach – zresztą również wspaniałych.

Może więc dobrze, że Bartók, będący wielkim pianistą, na Konkursie Rubinsteina nie zdobył nagrody pianistycznej. Ale szkoda – bo byłoby mu z nią znacznie łatwiej w trudnym życiu – że nie zdobył kompozytorskiej. ©

MATERIAŁY PRASOWE

Joanna Wnuk-Nazarowa, kompozytorka i dyrygentka, dyrektor Konkursu Szymanowskiego, wcześniej dyrektor naczelna NOSPR, w latach 1997-99 minister kultury i sztuki

Konkurs muzyki nieogranej

JOANNA WNUK-NAZAROWA, DYREKTOR KONKURSU:

Szymanowski w swoim czasie w Polsce był twórcą awangardowym, dlatego w programie przesłuchań znalazły się utwory rewolucjonistów. I dlatego zaczynamy od Beethovena.

PIOTR MATWIEJCZUK: Czy w czasach, gdy najbardziej liczy się liczba odsłon i polubień na portalach społecznościowych, konkursy muzyczne mają jeszcze znaczenie?

JOANNA WNUK-NAZAROWA (dyrektor Międzynarodowego Konkursu Muzycznego im. Karola Szymanowskiego): To właśnie dzięki internetowi konkursy muzyczne ożyły! Najlepszym przykładem jest Konkurs Chopinowski – w 2015 r. obserwowałam młodą publiczność, która podczas przesłuchań nieustannie komentowała występy przy pomocy smartfonów. A więc to, co jest zwykle w filharmonii zabronione – włączone telefony – w tym przypadku miało sens. Internet daje nieograniczoną przestrzeń do wymiany poglądów i szansę, by konkursu słuchać mógł cały świat, a nie tylko garstka szczęściarzy, którym udało się kupić bilety.

Konkursy nie są przeżytkiem również dlatego, że weryfikują współczesne sposoby odczytywania muzyki Chopina, Wieniawskiego czy Szymanowskiego. Jest to szczególnie ważne w czasach, gdy mamy do czynienia z fałszywymi idolami, wykreowanymi w wirtualnym świecie. Przesłuchania konkursowe to sama prawda o tym, co reprezentują sobą młodzi muzycy.

Mówi Pani o wymiarze społecznym, a co z uczestnikami konkursów? Czy dla młodych muzyków to wciąż atrakcyjna forma rozpoczęcia lub rozwinięcia kariery?

Oczywiście. Laureaci, a zwłaszcza zdobywcy pierwszych nagród, są przecież noszeni na rękach i otwierają się przed nimi sale koncertowe całego świata. Nadal trudno wypromować się bez udziału w konkursach. Z polskich artystów światowej sławy udało się to chyba tylko Piotrowi Anderszewskiemu. Ale proszę spojrzeć na Szymona Nehringa, finalistę ostatniego Konkursu Chopinowskiego: jego kariera miałaby zapewne tylko wymiar lokalny, gdyby nie zwycięstwo w Konkursie im. Artura Rubinsteina w Tel Awiwie.

Międzynarodowy Konkurs Muzyczny im. Karola Szymanowskiego ma przyczynić się do „popularyzacji polskiej muzyki na świecie oraz utrwalenia w świadomości odbiorców znaczenia postaci Karola Szymanowskiego i jego twórczości, będącej istotną częścią narodowego dziedzictwa kulturowego naszego kraju". To szczytne założenia, ale mam wrażenie, że muzyka Szymanowskiego już jakiś czas temu zajęła należne sobie miejsce w światowej literaturze muzycznej.

Jego I Koncert skrzypcowy popularny był wśród skrzypków właściwie od chwili jego powstania. Trochę na takiej zasadzie, jak I Koncert skrzypcowy Maxa Brucha. Jednak pozostały dorobek polskiego kompozytora nie był szerzej znany. Triumfalny pochód Szymanowskiego po estradach i scenach świata to dopiero ostatnich dwadzieścia kilka lat. Zaczęło się oczywiście od słynnych nagrań sir Simona Rattle'a, który zresztą – obok Krzysztofa Pendereckiego – zasiada w komitecie honorowym katowickiego konkursu. Popularność Szymanowskiego na świecie zawdzięczamy też mądrej polityce Instytutu Adama Mickiewicza oraz działaniom wielu polskich artystów, które zaowocowały nagraniami pod dyrekcją Walerija Giergijewa czy wystawieniami „Króla Rogera" w Paryżu i Londynie. Konkurs jest więc kontynuacją promocji dzieła Szyma-

nowskiego, prowadzonej ze świetnymi efektami od dawna.

Skąd wziął się Szymanowski w Katowicach? To przecież raczej miasto Góreckiego i Kilara.

Nowa siedziba NOSPR znajduje się przy pl. Wojciecha Kilara. Filharmonia Śląska nosi imię Henryka Mikołaja Góreckiego. Z kolei patronem katowickiej Akademii Muzycznej, współorganizatora konkursu, jest Karol Szymanowski. Dlaczego? Początki tej historii sięgają lat 30. XX w. Propozycję objęcia posady dyrektora ówczesnego Konserwatorium Muzycznego – pierwszej, najważniejszej i przez długi czas jedynej uczelni wyższej na Górnym Śląsku w odrodzonej Polsce – otrzymał właśnie Szymanowski. Było to niedługo po tym, jak usunięto go ze stanowiska rektora Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie. Kompozytora zaproszono do Katowic, podjęto też próby zorganizowania koncertu na jego cześć, jednak nie było chętnych na sfinansowanie wydarzenia. Ostatecznie pieniądze wyłożyło Towarzystwo Lotnicze, ale postawiło warunek: koncert miał upamiętniać tragiczną śmierć Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury. I tak się stało. W stolicy Górnego Śląska, w obecności kompozytora, 15 maja 1934 r. wykonano „Stabat Mater" w hołdzie polskim lotnikom. Na tym skończyły się jednak bezpośrednie związki Szymanowskiego z Katowicami, ponieważ propozycji objęcia stanowiska dyrektora konserwatorium nie przyjął.

W tym roku powraca więc symbolicznie – już nie tylko jako patron Akademii Muzycznej, lecz także Międzynarodowego Konkursu Muzycznego. Formuła imprezy przypomina Konkurs im. Piotra Czajkowskiego w Moskwie, ponieważ obejmuje cztery kategorie instrumentalne.

Jest jeszcze kategoria piąta – kompozycja. Konkurs kompozytorski to kontynuacja przedsięwzięcia zainicjowanego w 2012 r. przez Towarzystwo Muzyczne im. Karola Szymanowskiego i katowicką Akademię Muzyczną. Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia brała w konkursie udział, ponieważ wykonywała nagrodzone utwory.

Do stworzenia tak bogatego w kategorie konkursu zachęca sama twórczość Szymanowskiego.

Chopin komponował niemal wyłącznie na fortepian, Wieniawski na skrzypce. Twórczość Szymanowskiego jest pod tym względem bardziej różnorodna. Stąd w konkursie cztery kategorie instrumentalne: fortepian, skrzypce, śpiew i kwartet smyczkowy. Warto wspomnieć, że część utworów na głos solo i fortepian zorkiestrował, za aprobatą samego kompozytora, Grzegorz Fitelberg, założyciel przedwojennej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, a po wojnie – dyrektor Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach, czyli dzisiejszego NOSPR-u.

Największy na świecie konkurs wykonawstwa muzyki klasycznej – ARD w Monachium – odbywa się co roku, i co roku organizowany jest w innych kategoriach. Katowicka impreza zaplanowana jest w cyklu pięcioletnim, za każdym razem z tymi samymi kategoriami.

Tak duże i kosztowne przedsięwzięcie w cyklu corocznym byłoby z pewnością zbyt wielkim obciążeniem finansowym dla Miasta Katowice oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a także organizacyjnym dla Akademii Muzycznej i NOSPR-u. Trudno byłoby co roku we wrześniu przez półtora tygodnia zajmować wszystkie sale koncertowe obu katowickich instytucji muzycznych.

Wśród jurorów znaleźli się zarówno muzycy polscy, jak i zagraniczni.

W jury każdej kategorii zasiada jeden przedstawiciel katowickiej Akademii Muzycznej, jeden juror Polak spoza Katowic oraz przedstawiciele innych krajów. Do tych ostatnich zaliczyliśmy również artystów polskich od lat działających poza Polską, jak Bartłomiej Nizioł, Krzysztof Chorzelski czy Elżbieta Szmytka.

Repertuar konkursu to oczywiście nie tylko muzyka patrona, lecz także kompozytorów działających w jego czasach lub w jakiś sposób z Szymanowskim związanych. Próżno szukać jednak dzieł Bacha czy Mozarta – muzyki będącej żelaznym repertuarem wielu innych konkursów.

Był to problem, który pojawił się w rozmowach z polskimi jurorami, którzy bardzo chcieli, by zacząć od Bacha... Ale dziś do muzyki XVIII w. są dwa zasadniczo różne podejścia, reprezentowane przez nurt wykonawstwa historycznego oraz tradycyjną edukację akademicką i estrady filharmoniczne. Nie chcieliśmy w ramach konkursu opowiadać się po żadnej ze stron. Zależało nam ponadto na wykluczeniu z grona uczestników konkursowiczów, którzy z tym samym programem objeżdżają cały świat.

Konkurs katowicki ma promować muzyków ambitnych, którzy chcą poszukiwać repertuaru nieogranego lub już go znaleźli i chcieliby przedstawić go publicznie. Zasadnicza idea była taka: Szymanowski w swoim czasie w Polsce był twórcą awangardowym, dlatego w programie przesłuchań znalazły się utwory rewolucjonistów, i dlatego zaczynamy od Beethovena – klasyka, który stał się romantykiem i natchnął następne pokolenia.

Szymanowski odegrał podobną rolę w historii muzyki polskiej XX w. To on obudził w młodych kompozytorach chęć poszukiwania nowego języka, ośmielił ich do przełamywania myślenia konserwatywnego i wzniesienia się ponad popularny wówczas eklektyzm.

Takie założenia repertuarowe dotyczą nie tylko instrumentalistów, lecz także śpiewaków.

W I etapie konkursu wokalnego znalazła się muzyka operowa z lat 1800-1840 oraz pieśni Szymanowskiego i Lutosławskiego. Etap II to już wyłącznie twórczość XX w. W finałach uczestnicy powinni wykonać wybrane dzieła patrona festiwalu oraz arię lub scenę z opery powstałej po 1900 r. (włącznie z „Toscą", która miała swoją premierę właśnie w tym roku). Takie ukształtowanie repertuaru sprawia, że Konkurs Szymanowskiego jest wyjątkiem na mapie konkursowej świata – chyba nie ma innego konkursu, którego program byłby skonstruowany w podobny sposób.

Konkurs w internecie?

Oczywiście! Zapraszamy do oglądania, słuchania i komentowania przesłuchań na stronach internetowych konkursu. Na antenie Programu II Polskiego Radia zaplanowane zostały podsumowania I i II etapu w każdej kategorii oraz transmisje przesłuchań finałowych i gali laureatów. Konkursowi od początku towarzyszyć będzie również cyfrowe Radio Chopin.

© Rozmawiał PIOTR MATWIEJCZUK

Tylko słuchać

DOROTA KOZIŃSKA

Szymanowski był obdarzony niezwykłym wyczuciem słowa. Jego twórczość wokalna jest więc pod pewnymi względami zjawiskiem wyjątkowym.

Krążyła kiedyś anegdota o wielbicielu Karola Szymanowskiego, który spytał mistrza, czy to nie nudne – całe życie nic nie robić, tylko komponować. Mistrz odparł, że owszem, ale jeszcze nudniej całe życie nic nie robić, tylko słuchać tego, co Szymanowski skomponował.

Karol z Atmy był człowiekiem błyskotliwym, dowcipnym, a przy tym wrażliwym i obdarzonym niezwykłym wyczuciem słowa. Splot tych okoliczności sprawił, że jego twórczość wokalna jest zjawiskiem wyjątkowym – zwłaszcza na tle „opłakanego zapóźnienia" ówczesnej muzyki polskiej, ale i w szerszym kontekście europejskiego modernizmu muzycznego. Dlatego pomysł, żeby przez tydzień nic nie robić, tylko słuchać utworów Szymanowskiego na głos z fortepianem lub orkiestrą – niejednokrotnie w zaskakujących zestawieniach z dorobkiem innych kompozytorów – wydaje się jednym z ciekawszych sposobów na spędzenie końcówki lata.

Do wokalnej części Konkursu komisja zakwalifikowała 25 śpiewaków: więcej, niż przewiduje regulamin BBC Cardiff Singer of the World, o kilkanaścioro mniej niż wystartuje w tegorocznym konkursie w 's-Hertogenbosch. Przeważającą większość stanowią Polacy, co nie dziwi: twórczość Szymanowskiego – obowiązkowa w każdym z trzech etapów – wciąż jeszcze nie funkcjonuje w pierwszym obiegu na estradach i scenach światowych.

Argument lingwistyczny zszedł tym razem na dalszy plan: repertuar jest tak skonstruowany, że w zasadzie każdy uczestnik – chyba że dysponuje niskim głosem męskim – może dojść do finału i wygrać, nie zaśpiewawszy ani jednego utworu po polsku. Pierwsze koty za płoty: prestiż Konkursu będzie rósł i do następnych edycji z pewnością zgłosi się więcej cudzoziemców.

Właściwie już I etap okaże się etapem prawdy. W trwającym około kwadransa minirecitalu z fortepianem śpiewacy mają zaprezentować jedną arię z opery romantycznej (traktowaną jako probierz techniki wokalnej), jedną kompozycję Lutosławskiego (do wyboru z podanej listy, obejmującej także krótkie cykle pieśniowe), dwie skontrastowane nastrojem pieśni XIX-wieczne i nowsze (każdą w innym języku) i dowolną pieśń Szymanowskiego.

W etapie II muszą zestawić co najmniej trzy pieśni patrona Konkursu z dwiema pieśniami w dwóch różnych językach, wybranymi spośród twórczości 35 kompozytorów modernistycznych i współczesnych – tak skonstruowany program pozwoli jurorom docenić nie tylko ich warsztat śpiewaczy, ale też umiejętność kontekstowej interpretacji dzieł Szymanowskiego.

Od uczestników etapu III regulamin wymaga wykonania co najmniej jednej kompozycji Karola z Atmy na głos z orkiestrą i ewentualnie chórem – od pieśni, przez fragmenty „Króla Rogera", po krótkie kantaty – w połączeniu z arią lub sceną operową z listy obowiązkowej, na której uwzględniono kilkadziesiąt dzieł wystawionych po raz pierwszy w XX i XXI w. Czyli znów Szymanowski w zestawieniu z dorobkiem bezpośrednich poprzedników, innych kompozytorów doby modernizmu bądź twórców późniejszych, niekoniecznie podążających tropem autora „Hagith" i „Króla Rogera", wciąż jednak wiernych szeroko pojętej tradycji operowej.

Program wokalny Konkursu jest fascynujący i mądrze ułożony, uczestnikom stawia jednak poprzeczkę wysoko. Zacznijmy od twórczości Szymanowskiego, ewoluującej od niemieckiego stylu późnoromantycznego (z charakterystycznym dlań deklamacyjnym traktowaniem tekstu), poprzez fazę inspiracji Orientem i muzyką francuskich impresjonistów (utwory z tego okresu wymagają od śpiewaka dużej giętkości głosu, nieskazitelnej intonacji i umiejętnej gry barwą), aż po styl narodowy, który – jak podkreślał sam kompozytor – „nie polega na cytatach z folkloru". Tu nie wystarczy umieć śpiewać, trzeba jeszcze wiedzieć, o czym się śpiewa, i przywdziać maskę odpowiedniej konwencji. Z tym jednak polscy uczestnicy – jako się rzekło, w przewadze liczebnej – powinni dać sobie radę. Szymanowski to mimo wszystko „nasz" człowiek. Więcej kłopotów może im przysporzyć repertuar modernistyczny, praktycznie nieobecny na rodzimych scenach operowych i rzadko włączany do programów filharmonicznych recitali. Bardzo jestem ciekawa, co z tego wyniknie. Arie deklarowane przez wokalistów w III etapie złożyły się w całkiem reprezentatywne antologie wyimków z „Rosenkavaliera" i „Ariadny na Naksos" Richarda Straussa; intryguje mnie też wzięcie, jakim cieszy się twórczość kompletnie lekceważonego w naszym kraju Giana Carla Menottiego.

Będzie trudno, a przez to ciekawie. Oczywiście, zawsze można się do czegoś przyczepić, choćby w samym regulaminie Konkursu: np. do niejasnej definicji arii „z opery prawykonanej w latach 1800–1840", która zawiera „elementy techniki bel canto". Skutek taki, że wszyscy poszli po linii najmniejszego oporu, wybierając arie z oper Belliniego, Rossiniego i Donizettiego. Nie rozumiem, dlaczego panom dano fory i podwyższono im górną granicę wieku do 35 lat (panie nie mogą mieć więcej niż 32 lata). Po dokładnym przeanalizowaniu programu III etapu naszła mnie refleksja, że do udziału w Konkursie skutecznie zniechęcono kontratenory i basy. W zestawie kompozytorów współczesnych zabrakło kilku ważnych nazwisk, na czele z Kaiją Saariaho, Salvatorem Sciarrino i Peterem Eötvösem.

Wszystkich jednak zadowolić się nie da. Najważniejsze, że oddano sprawiedliwość wciąż niedocenianej w ojczyźnie twórczości Szymanowskiego. Trzymam kciuki za rodaków kompozytora, gorąco kibicuję czwórce odważnych obcokrajowców. W przyszłości marzy mi się jakiś mongolski tenor, który rzuci jurorów na kolana mistrzowską interpretacją arii Pasterza z „Króla Rogera". ©

NAC

Karol Szymanowski w towarzystwie siostry, śpiewaczki Stanisławy Korwin-Szymanowskiej, pierwszej wykonawczyni wielu jego pieśni, 1935 r.

Orfeusza ucieczki z klawiatury

ARTUR BIELECKI

Dla Szymanowskiego to właśnie fortepian, obok skrzypiec i głosu ludzkiego, był najważniejszym instrumentem. Kompozytor nie był jednak wirtuozem klawiatury.

Karol Szymanowski, do którego słusznie przylgnęło dumne miano największego polskiego kompozytora po Chopinie, pod wieloma względami był kontynuatorem genialnego Fryderyka. W jednym wszakże się różnili: Karol nigdy nie był wielkim pianistą.

Jako autor znakomitej muzyki fortepianowej Szymanowski był absolutnie nietypowym jej twórcą. Zdecydowana większość jego poprzedników i konkurentów to nie tylko genialni kompozytorzy, ale jednocześnie wirtuozi fortepianu: Mozart, Beethoven, Weber, Mendelssohn-Bartholdy, Chopin, Liszt, Grieg, Saint-Saëns. Piszący na klawesyn barokowi Bach, Scarlatti i Händel to również mistrzowie klawiatury. Nie mówiąc już o takich współczesnych Szymanowskiemu kompozytorach jak Skriabin, Busoni, Rachmaninow, Bartók czy Prokofiew.

Szymanowski jako pianista występował rzadko, zwykle tylko po to, aby ratować swoją sytuację finansową. Miał przy tym skrupuły, oceniając wprost drastycznie „swój pianizm". Przed recitalem w Zakopanem w roku 1924 pisał w liście: „Czyli *une grande blague* (...) i – oczywiście – poczucie popełnionego artystycznego łajdactwa – poniżenia – prostytucji!". Repertuar miał mocno ograniczony, „będę więc niesłychane głupstwa wygrywał, włącznie do improwizacji!!".

Oczywiście przesadzał. Nie był wirtuozem, ale umiał grać dobrze, często na estradzie wykonywał partię fortepianu w swoich pieśniach (towarzysząc siostrze Stanisławie Szymanowskiej, wybitnej śpiewaczce) oraz w utworach skrzypcowych. Pod koniec życia w wielu europejskich miastach grał z orkiestrą swoją IV Symfonię koncertującą (m.in. Poznań, Warszawa, Lwów, Moskwa, Kopenhaga, Bolonia, Bukareszt, Paryż, Amsterdam, Sofia). Ciekawą charakterystykę jego gry dał spowinowacony z Szymanowskim i doskonale go znający Harry Neuhaus, wybitny pianista i pedagog rosyjski: „Nie był utalentowanym pianistą. Miał jakąś niezręczność. (...) Niekiedy strasznie »klepał«. Bezpośrednio po skomponowaniu nowego utworu grał go po prostu wspaniale. Kiedy uznał kompozycję już za starą – wówczas grał bardzo słabo". Wypowiedź Neuhausa nie jest więc jednoznaczna, zauważył on również, że „jednak czasami trudniejsze rzeczy grał z niezwykłą wirtuozerią, wprost w natchnieniu". Inny wybitny rosyjski pianista Lew Oborin doceniał Szymanowskiego, określając go jako „wyjątkowo subtelnego wykonawcę własnych kompozycji" .

Choć więc nie sposób zaliczyć Karola Szymanowskiego do szeregu wielkich kompozytorów-pianistów, to jednak stworzył fascynującą muzykę fortepianową. Jego utwory szybko zyskiwały zainteresowanie wybitnych pianistów. Młody Artur Rubinstein przeżył artystyczny wstrząs, gdy poznał Preludia op. 1 (wkrótce obu artystów połączyła serdeczna przyjaźń). Dzieła Szymanowskiego grali m.in. Mieczysław Horszowski, Robert Casadesus, Jan Smeterlin, Harry Neuhaus, Zbigniew Drzewiecki, Światosław Richter. Wśród nagrań polskich artystów szczególnie wyróżniają się kreacje Jerzego Godziszewskiego (miał w repertuarze komplet dzieł), Barbary Hesse-Bukowskiej, Andrzeja Kurylewicza (znakomite Mazurki), a obecnie zwłaszcza Piotra Anderszewskiego.

Jaka jest muzyka fortepianowa Szymanowskiego? Fascynująco różnorodna i zmienna w kolejnych okresach twórczości. W młodości neoromantyczna, natchniona Lisztem, Chopinem i Skriabinem, monumentalna i nieco koturnowa (genialną perłą jest tu sławna Etiuda b-moll z op. 4). Później radykalnie inna: malarska, wyrafinowana w harmonice, barwie i fakturze („Metopy" i „Maski" są odpowiednikiem słynnych „Mitów" na skrzypce i fortepian). W ostatnich zaś latach życia przychodzi prostota przenikniętych polskością Mazurków, naznaczonych folklorem podhalańskim.

Pianista mimo woli? Po zakopiańskim recitalu kompozytora Kornel Makuszyński pisał: „wyprowadziliśmy muzyka tylnym wyjściem, aby nie spotkał go los Orfeusza, bo go bachantki chciały rozerwać na pamiątkę". ©

NIEKTÓRZY BARDZO PŁACZĄ

EWA KOPER, HISTORYK Z MIEJSCA PAMIĘCI W BEŁŻCU:

Podchodzę do zwiedzających i pytam. Ci, którzy stracili tu bliskich, zachowują się inaczej niż „zwykli" goście. To miejsce ich paraliżuje. Towarzyszę im.

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK: Muzeum w Bełżcu, na terenie obozu zagłady, należy do miejsc często odwiedzanych przez Żydów z Izraela, Europy i USA. Co ich najbardziej zaskakuje, kiedy tu przyjeżdżają?

EWA KOPER: Nie spodziewali się, że obóz był położony tak blisko wsi, że polscy mieszkańcy mogli go widzieć z okien swoich domów. Są ciekawi, jak ludność miejscowa reagowała na obóz. Niektórzy pytają, czy ktoś protestował.

W jakim sensie?

Czy polscy mieszkańcy próbowali swoim sprzeciwem zatrzymać lub przeszkodzić Niemcom, gdy mordowali Żydów. Pytam wtedy: czy gdyby dostali bilet do Korei Północnej, żeby tam demokratycznie zaprotestować wobec reżimu, to czy pojechaliby do tego kraju? Oczywiście nikt się do Korei nie wybiera. Duża część gości zagranicznych przyjeżdżających do Bełżca nie wie, czym była II wojna światowa na tych terenach. Nie mają świadomości, jak Niemcy traktowali Polaków. Tłumaczę, że Polska miała dwie strefy okupacyjne, niemiecką i sowiecką, że niektóre tereny były okupowane podwójnie. Pokazuję mapy, odwołuję się do indywidualnych losów. Opowiadam, jak wojna doświadczyła mieszkańców tych okolic. Mówię, że to był traumatyczny okres dla wielu rodzin, że Polacy, tak jak Żydzi, byli ofiarami. Trzeba to podkreślać, bo przez wiele lat nie mówiło się o tym, co powoduje, że równa się Polaków z Niemcami.

Mówi Pani o jakiejś konkretnej sytuacji?

W tym roku jeden ze zwiedzających, Niemiec z tytułem naukowym, powiedział: „Polacy stawiają ławeczki i kultywują pamięć Jana Karskiego, Niemcy powinni tak samo odwdzięczyć się Schindlerowi i pokazać światu jego postawę". Tylko że zrównując te postacie, odwracamy proporcje. Oczywiście, musimy pamiętać o Schindlerze. Ale nie możemy zapominać, kto wywołał tę wojnę i doprowadził do tego, co się działo w Bełżcu.

Często słyszy Pani, że Polacy wydawali Żydów, że byli także sprawcami zła?

Czasem ten temat wraca. Podkreślam, że gdy ktoś kolaborował z Niemcami, robił to na własną odpowiedzialność, że w każdym narodzie zdarzają się ludzie podli i zepsuci. Częściej jednak spotykam się z opiniami uproszczonymi, które wypaczają obraz wojny. Niedawno była tu grupa dorosłych z Izraela, dla nich było jednoznaczne, że obozy były na ziemiach polskich dlatego, bo tu był silny antysemityzm. Spotykam się też z absurdalnymi zarzutami, które wynikają z niewiedzy: „Gdyby Polacy się nie zgodzili, nikt by tych obozów w Polsce nie zrobił". Staram się dotrzeć do tych osób z informacją, że nikt nie pytał Polaków o zgodę, że Niemcy nie przyjechali tu jako uprzejmi goście, tylko okupanci. Podkreślam też, że przedstawiciel Polskiego Państwa Podziemnego w kwietniu 1942 r. dotarł do Londynu i poinformował aliantów o tym, co dzieje się w Bełżcu. Niespełna miesiąc po otwarciu obozu znana była już szacunkowa liczba ofiar i podano nazwisko Christiana Wirtha, pierwszego komendanta.

Te rozmowy są dla Pani trudne?

Już się przyzwyczaiłam, uważam, że podstawą jest edukacja i dialog. Emocje przeszkadzają. Mówię, że nie można wszystkich wrzucić do jednego worka. Historia wojny jest złożona, nie ma jednej pamięci na temat tamtych wydarzeń.

A jak doświadczenie obozu wpłynęło na okolicznych mieszkańców?

Zachowała się relacja pana Jacucha, który zmarł cztery lata temu, a mieszkał przy jednej z głównych ulic Bełżca. Kiedy obóz funkcjonował, miał 16 lat. To miejsce do śmierci budziło w nim silne emocje. Nie chciał tu przychodzić, był tylko raz. Miał w pamięci słupy dymu, smród, który rozciągał się po okolicy.

Zachowały się jednak informacje w źródłach historycznych, że obóz działał też demoralizująco na okolicznych mieszkańców. Byli tacy, którzy robili interesy z ukraińską załogą obozu.

Nie ma miejscowości, która byłaby wolna od takich postaw, i także tu żyli ludzie, którzy starali się skorzystać na funkcjonowaniu obozu, ale to jednostkowe przypadki. W Bełżcu działał ksiądz Ireneusz Kmiecik, człowiek o głębokiej moralności i autorytecie. Miał odwagę napominać ludzi z ambony po nazwisku. Mówił, że taki a taki mieszkaniec wsi powinien się wstydzić swoich czynów. Ludzie liczyli się z jego zdaniem.

Historia obozu w Bełżcu nie kończy się wraz z odejściem Niemców. Gdy skończyła się wojna, zjawili się „kopacze", poszukiwacze żydowskiego złota. Czy ten temat wraca w rozmowach ze zwiedzającymi?

Rzadko. Tylko wtedy, gdy ktoś jest szerzej zorientowany, zna historię. I tu jednak byłabym ostrożna w ocenach. Trzeba pamiętać, że te ziemie pod koniec wojny i tuż po były terenem pogrążonym w chaosie i bardzo niebezpiecznym. Działała UPA, szukali tu schronienia uciekinierzy z Wołynia, następnie zesłańcy z Sybiru, działali żołnierze polskiego podziemia, no i instalowali się już komuniści. Trudno dziś powiedzieć, jaki procent z tych „kopaczy" stanowili mieszkańcy wsi, którzy chcieli się wzbogacić na żydowskim złocie. Kolejnym elementem jest bieda. Ludzie nie mieli butów, ubrań, drugiej pary bielizny. Jedli łobodę jako szpinak. To oczywiście nie jest usprawiedliwieniem, ale nie można o tym zapominać.

Kiedy przygotowywałam się do reportażu o Bełżcu, trafiłam do domu mieszkańca, który przyznał się do kopania. Opowiadał, że był wtedy nastolatkiem zwerbowanym do brygady „kopaczy". Mieli sito do przesiewania ziemi i to, co znaleźli, oddawali szefowi, który wypłacał im dniówkę. Ten ich szef miał się podobno bardzo wzbogacić na złocie z obozu, wyrabiał w Bełżcu kafle.

Trudno mi o tym mówić, nie wiem, na ile te opowieści są prawdziwe. Dom tego człowieka do dziś istnieje, nie jest zbyt okazały. Milicja robiła na niego naloty, ale nigdy nic nie znaleźli. W latach 50. zapadły cztery wyroki za kopanie na terenie dawnego obozu. Nie było możliwości, by władze mogły ten teren monitorować cały czas, dookoła był las, można było łatwo uciec.

Jak wygląda pamięć o Żydach w tym regionie?

Uderza mnie to, że wciąż dowiaduję się o miejscach, gdzie znajdują się pochówki pojedynczych osób, całych żydowskich rodzin bądź grup, które rozstrzelano lub zabito podczas wojny. Te miejsca nie są w żaden sposób upamiętnione. Znajdują się na polach, w lasach, a nawet w miasteczkach. ↦

WOJCIECH PIĘCIAK

Pomnik w Bełżcu: wybetonowana szczelina przecina stok wzgórza, na którym stał obóz. Pod żużlem hutniczym, który dziś pokrywa stok, znajdują się masowe groby. Lato 2011 r.

↦ **Skąd wiadomo, że leżą tam Żydzi?**

Po II wojnie światowej były prowadzone badania, dokumentowano losy różnych osób i grup narodowościowych, są też relacje mieszkańców. Powstały mapki opisujące te miejsca. Wciąż świadkowie przynoszą nowe informacje. Pewien mieszkaniec ziemi zamojskiej jako 10-latek był świadkiem egzekucji koło Wożuczyna i przez lata borykał się z tą pamięcią. Nie wiadomo, skąd pochodzili zabici Żydzi, na pewno nie była to ludność miejscowa. Może Niemcy przywieźli ich z getta w Komarowie. To był przed wojną jeden ze sztetli, 60 proc. mieszkańców miasteczka stanowili Żydzi. Podczas wojny Niemcy przywieźli do komarowskiego getta Żydów z Czech, ponad 2 tys. osób rozstrzelano na miejscu. Spotkałam kiedyś Czeszkę, która opowiedziała, że jej ciotkę wywieziono do getta w Komarowie, pisała stamtąd listy. Nie wiem, jak je wysyłała.

Zamieszanie wokół nowelizacji ustawy o IPN pokazało, że relacje polsko-żydowskie wciąż budzą silne emocje. Jak sobie Pani z tym radzi jako przewodnik?

To zależy od grupy, która przyjeżdża do Bełżca, każda narodowość ma jakieś drażliwe tematy. Najważniejsze jest dla mnie to, żeby nie skupiać się tylko na śmierci, na przykrych wydarzeniach przedwojennych, aktach antysemityzmu. Trzeba podkreślać, że ludzie żyli obok siebie przez wiele pokoleń, współpracowali, pożyczali sobie cukier czy mąkę, kupowali od siebie jajka. Nie dało się egzystować np. w takim Komarowie bez wzajemnej współpracy. Oczywiście, jak to między ludźmi, zdarzały się kłótnie, antypatie. Ale też miłość, przyjaźń czy sąsiedzka sympatia.

Podkreśla Pani, że te światy się przenikały?

Szczególnie jeśli chodzi o małe miejscowości czy wioski. Polacy i Żydzi żyli według swoich tradycji, ale nie dało się egzystować w całkowitej izolacji.

Może świadczyć o tym np. kuchnia: tu, na Lubelszczyźnie, można kupić cebularze.

Kiedyś przyjechała do nas kobieta, której rodzice pochodzili z Zamościa, wzięli tam ślub i opuścili miasto razem z Armią Czerwoną [we wrześniu 1939 r. miasto na krótko zajęli Sowieci, ale wycofali się po umowie ustalającej nową granicę między III Rzeszą i Związkiem Sowieckim – red.]. Ona urodziła się już po wojnie. Weszłyśmy do sklepu po drobne zakupy i na widok cebularzy oniemiała ze zdziwienia. Nie sądziła, że można je u nas kupić. Jej mama piekła takie placki w Izraelu, to był jej smak z dzieciństwa.

Po zamordowanych w Bełżcu nie zachowały się żadne pamiątki. Niemcy nie tworzyli list z nazwiskami, zatarli nawet ślady po obozie, zrabowali i wywieźli rzeczy zabitych. Muzeum właściwie nie ma eksponatów z tego czasu. Pani jednak napisała książkę pt. „Każda ofiara ma imię", dzięki niej choć w małym stopniu można wyobrazić sobie tragiczny los zamordowanych. Jak udało się Pani zebrać zdjęcia i informacje na ich temat?

Część zdjęć była w naszej dokumentacji, zanim przyszłam do pracy. Muzeum powstało w 2004 r. i od tego czasu pracownicy starali się docierać do rodzin ofiar i rozsyłać ankietę zatytułowaną „Każda ofiara ma imię". Dołączyłam do zespołu w 2008 r. To bardzo ważne, że możemy zbierać takie informacje.

Jak docieracie do rodzin ofiar?

Podchodzimy do zwiedzających i pytamy. Osoby, które straciły tu bliskich, zachowują się inaczej niż „zwykli" goście. To miejsce ich paraliżuje, chodzą po muzeum w stanie głębokiego skupienia, są przytłoczeni tym miejscem. Niektórzy bardzo płaczą. Zaczęłam towarzyszyć takim osobom. Dzięki temu udało mi się dotrzeć do nowych historii. Wiele osób dowiaduje się też od innych, że zbieramy takie informacje, i przesyła je pocztą, z niektórymi jestem w kontakcie mailowym.

Jakiś przykład?

W maju przyjechała grupa czteroosobowa. „Czy kogoś tu straciliście?" – zapytałam. „Rodzinę Hertzów z Gorlic" – odpowiedziała jedna z pań. „To ty jesteś pewnie Rywka?" – odgadłam. Pisałyśmy ze sobą

Bełżec: obóz zagłady i miejsce pamięci

OBÓZ ZAGŁADY W BEŁŻCU był jednym z trzech głównych miejsc – obok Treblinki i Sobiboru – gdzie w ramach „Akcji Reinhardt" Niemcy mordowali masowo polskich Żydów z tzw. Generalnego Gubernatorstwa, a także Żydów przywożonych z innych krajów [więcej o „Akcji Reinhardt" pisaliśmy w dodatkach do „Tygodnika", nr 16/2013 i 30/2017, dostępne na: powszech.net/akcja-reinhardt].
Od marca do grudnia 1942 r. w komorach gazowych w Bełżcu zginęło ok. 450 tys. ludzi. Niemcy wybrali tę wieś (dziś w powiecie Tomaszów Lubelski), gdyż leżała obok kompleksów leśnych, a zarazem miała dobrą lokalizację komunikacyjną: blisko był węzeł kolejowy w Rawie Ruskiej (dziś Ukraina), mający połączenie z Polską centralną (przez Lublin), Małopolską i Galicją Wschodnią. Była też gotowa bocznica kolejowa (dawnego przedsiębiorstwa eksploatacji lasów).
Przywożeni pociągami ludzie ginęli od razu. Stąd sam obóz był niewielki, załoga liczyła kilkudziesięciu Niemców i około stu zwerbowanych jeńców sowieckich (głównie Ukraińców). Pochówkami w masowych grobach i segregacją rzeczy ofiar zajmowała się grupa więźniów żydowskich (co jakiś czas byli zabijani i zastępowani nowymi). W 1943 r. wszystkie budynki rozebrano, zwłoki ekshumowano i spalono, by zatrzeć ślady po obozie (zajmujący się tym więźniowie zginęli).
W 1963 r. stanął tu niewielki pomnik, który w 2004 r. został zastąpiony przez nowe miejsce pamięci; obok zbudowano muzeum.
Nowy pomnik obejmuje cały obszar obozu. U zwiedzających wywołuje zwykle duże emocje. „Najważniejszym miejscem uczyniono mogiły, które pokryto żużlem hutniczym. Odwiedzający idzie specjalnie zaprojektowaną ścieżką, nazwaną przez architektów »szczeliną«, przytłaczającą swym ogromem, przekopaną przez wzgórze (obóz i mogiły zajęły jego zbocze) i wybetonowaną – opisywał to miejsce Piotr Kosiewski („TP" nr 16/2013). – Twórcy zaproponowali swoisty rytuał przejścia przez teren naznaczony śmiercią. Wszystko to ma oddać grozę tego miejsca, co podkreśla wykuty cytat z Księgi Hioba »Ziemio nie kryj mojej krwi, iżby mój krzyk nie ustawał«".

©℗ WP

Więcej informacji na stronie Miejsca Pamięci i Muzeum w Bełżcu: **www.belzec.eu/pl**

ZBIORY EWY KOPER X2

Z lewej: Łucja Weitzner z rodzicami w 1933 r., w żydowski Nowy Rok. W 1942 r. Łucja z mamą i babcią pojechała transportem do Bełżca, wyskoczyła z pociągu i przeżyła wojnę u polskich rodzin. Z prawej: zdjęcie matki, które Łucja-Lea przykleiła na pierwszym pomniku w Bełżcu.

maile, ale nie spotkałyśmy się wcześniej. Dostaliśmy od niej zdjęcia najbliższych: w Bełżcu zginęli jej dziadkowie i nastoletnie siostry ojca. Bardzo ładne dziewczynki. Ojciec Rywki wyjechał z Polski przed wojną i zabrał część pamiątek.

Dzięki indywidualnym kontaktom można docierać do kolejnych osób. Nic nie zastąpi kontaktu człowieka z człowiekiem. Kiedy patrzymy sobie w oczy, rozmawiamy szczerze o tym, co nas dotyka, w tych ludziach budzi się przekonanie, że to jest dla kogoś ważne. Wiedzą, że nie są sami w przeżywaniu tej historii.

Czy któraś z zamieszczonych w książce opowieści miała dla Pani szczególne znaczenie?

Historia Gusty Weitzner. Zanim powstało muzeum, stał na tym terenie tylko pomnik postawiony w 1963 r. Do jednego z elementów było przyklejone zdjęcie pięknej kobiety, obok drugie z napisem po hebrajsku. Stary pomnik usunięto [w 2004 r. powstało nowe założenie pomnikowe, obejmujące cały teren obozu – red.], zdjęcia przepadły, ale zachowało się nagranie archiwalne. Zrobiłam kopię zdjęcia i napisu. Przesłałam to wszystko do Izraela, do pani Marysi Shmuel, która straciła tu rodzinę. Ona przetłumaczyła napis, a po odnalezieniu ankiety na stronie Yad Vashem ustaliła, że dokument wypełniła córka kobiety ze zdjęcia, Lea. Potem zdobyła do niej numer telefonu i mogłyśmy porozmawiać.

Mówiła po polsku?

Tak, jej rodzina pochodziła z zasymilowanych Żydów, mieszkała w Kochawinie koło Stryja. Lea urodziła się w 1930 r. jako Łucja Weitzner, imię zmieniła potem w Izraelu. Gdy dowiedziała się, że jest nowy pomnik, postanowiła przyjechać. Wybrała się w tę podróż mimo problemów z chodzeniem. Zabrała córkę, zięcia i wnuczki. Pokazała mi chusteczkę, którą zrobiła jej mama.

Jak to się stało, że się rozdzieliły?

To były dramatyczne okoliczności. We wrześniu 1942 r. trafiła z mamą i babcią Heleną Feldman do wagonu, który jechał do Bełżca. Dziadkowi i bratu matki udało się ukryć przed deportacją. Nikt im nie mówił, gdzie i po co jadą. Musiały być blisko Bełżca, bo smród był niesamowity.

Woń rozkładających się ciał czuć było w promieniu kilku kilometrów.

W wagonie wybuchła panika. Kobiety lamentowały, dzieci płakały, mężczyźni zaczęli wyważać deski. Udało im się wyrwać fragment okna i zaczęli wyskakiwać. Mama, Gusta Weitzner, namówiła Łucję do ucieczki, kazała jej podjąć ryzyko – było duże, pociąg jechał szybko...

...a strażnicy strzelali do uciekających.

Gusta Weitzner miała 31 lat. Też mogła uciekać, ale nie chciała zostawić swej matki. Można sobie tylko wyobrazić jej rozterki. Łucja wyskoczyła, nie ucierpiała i szybko opuściła torowisko, bo po przejeździe pociągu okolice torów przeszukiwano. Miała 12 lat. Bez pomocy mapy czy osoby dorosłej wróciła do domu. Straciła kompletnie poczucie czasu, nie pamięta, jak długo wędrowała. Szła nocą, jadła znalezione w polu warzywa, piła wodę z rzek, spała w krzakach. Kiedy wreszcie stanęła przed wujkiem i dziadkiem, to jej nie rozpoznali. Wyglądała jak dzikie dziecko: wygłodniałe, śmierdzące, u kresu wytrzymałości.

Jak zdołali ją ocalić?

W Kochawinie było sanktuarium prowadzone przez jezuitów, jeden z nich wyrobił jej metrykę na nazwisko Helena Lachowicz. Już jako polskie dziecko trafiła do nauczycielskiej rodziny Płauszewskich w Starym Samborze, żeby opiekować się ich 3-miesięcznym synem. Oczywiście wiedzieli, kim jest, pomagali jej, choć w mieście doszło do publicznej egzekucji. Na rynku zebrano ludność miasteczka i zabito polską rodzinę za pomoc Żydom. Wywołało to w niej takie przerażenie, że była pewna, iż zaraz podejdzie do nich Niemiec i powie: „Teraz wy". Do dziś Lea podkreśla, że państwo Płauszewscy to bohaterowie nad bohaterami, bo ryzykowali życiem swoim i swoich dzieci. Kiedy zrobiło się niebezpiecznie, została umieszczona w Żółkiewce u siostry pana Płauszewskiego. Po wojnie wyjechała do Palestyny – jeszcze nie było Izraela. Wujek powtarzał jej, że tylko tam będzie mogła żyć.

Przeżył?

Został zdradzony na krótko przed wkroczeniem Armii Czerwonej, ktoś doniósł Niemcom. Wujek Lei z dziadkiem ukrywali się. Doszli do nich po śladach na śniegu. Lea była zupełnie sama, miała 15 lat i musiała się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Nie znała hebrajskiego, pisała do matki listy i wiersze, żeby jakoś poradzić sobie z tęsknotą. Pierwszy raz przyjechała do Bełżca w latach 80. Zobaczyła, że ↦

↦ jest tu tylko pomnik i cisza. Pustka. Że nikt nie będzie pamiętał o jej matce. Zamówiła u fotografa zdjęcie Gusty wykonane na porcelanie i przykleiła do pomnika. Kiedy ortodoksyjni Żydzi zniszczyli je, przyjechała jeszcze raz i znów przykleiła fotografię. Walczyła o pamięć dla mamy.

Była potem szczęśliwa?

Kiedy w 1947 r. przyjechała do Palestyny, zobaczył ją pewien chłopak. On też przyjechał z Polski i był ocalałym z Holokaustu. Stali się nierozłączni, rozumieli się jak nikt inny. Wzięli ślub, na którym nie było nikogo z rodziny. Miała zwyczajną sukienkę, pożyczony welon i buty. Urodziła syna i córkę, ale nie ma dnia, by nie myślała o swojej matce.

Nasza rozmowa skłania do wniosku, że żadną ustawą nie da się wpłynąć na to, jaki obraz historii naszego kraju wyrobią sobie cudzoziemcy. Nic natomiast nie zastąpi oddanej pracy edukatorów, którzy będą wyjaśniać trudne wydarzenia z naszej przeszłości tym, którzy zechcą ich słuchać. Co jest najważniejsze dla Pani w tej pracy?

Głównym moim obowiązkiem jest szeroko rozumiana działalność edukacyjna i dokumentacyjna. Chcę w ten sposób „zachować" życie wspólnot żydowskich i indywidualnych osób na terenach objętych deportacjami. Chcę w jakiejś części zrekonstruować ich świat. To jest *credo* mojej pracy. A moje prywatne wyzwanie? Dotrzeć do wszystkich miejsc, skąd odbywały się deportacje do Bełżca.

Była Pani w wielu takich miejscach?

W większości. Jeżdżę tam w okresie wakacyjnym. Zdjęcia, które robię, dotykają trudnych spraw. Ale o tej porze jest dobre światło, są więc milsze dla oka.

© Rozmawiała
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

EDYTA SZALACHA

EWA KOPER *jest absolwentką historii, doktorantką. Od 2008 r. pracuje w Muzeum i Miejscu Pamięci w Bełżcu. Zajmuje się edukacją i badaniem historii społeczności żydowskiej, zamieszkałej na terenach objętych deportacjami do niemieckiego obozu zagłady w Bełżcu oraz historią regionu i jego mieszkańców w okresie II wojny światowej. Autorka książki „Każda ofiara ma imię".*

Ziemie Wschodnie II RP: poza mitem i oskarżeniem

WOJCIECH PIĘCIAK

Jeśli ktoś wybiera się na historyczną wędrówkę po dawnej Galicji czy Wileńszczyźnie, powinien zaopatrzyć się w tę książkę.

Jej tytuł może mylić: rozczaruje się ten, kto sięgnie po „Kresowy kalejdoskop", szukając nostalgicznej „złotej legendy Kresów". Ale rozczaruje się też ten, kto chciałby znaleźć w niej „odbrązowienia" czy oskarżenia (np. o „kolonializm", dziś gdzieniegdzie modne) dotyczące polityki, jaką państwo polskie prowadziło na Ziemiach Wschodnich wobec mniejszości, stanowiących tam – w przypadku Ukraińców i Białorusinów – większość.

Choć, oczywiście, jeśli ktoś się uprze, zawsze może wykorzystać takie lub inne fakty dla podparcia tezy mającej eksponować apologię bądź oskarżenie – czy będzie to teza, że II RP podjęła ogromny wysiłek dla dźwignięcia cywilizacyjnego Ziem Wschodnich, czy też opinia, że obywatele innej niż polska narodowości zwykle postrzegali państwo polskie jako instytucję represyjną (lub przynajmniej: nie swoją), a poczucie krzywdy odreagowali po 17 września 1939 r. (obie tezy są zresztą prawdziwe).

O czym więc jest ta książka? To fascynująca – bo często zaskakująca i nieoczywista – opowieść o Ziemiach Wschodnich II RP. Fascynująca za sprawą faktów. To „wędrówka" przez kolejne regiony, opowiadająca o ich historii: politycznej, kulturowej, a także gospodarczej, uwzględniającej różne perspektywy – nie tylko narodowe, także społeczne (np. mało kto jest chyba świadom, jak powszechna była tam nędza wśród polskiej ludności; wszak większość bezrobotnych Wilna i Lwowa stanowili Polacy).

Włodzimierz Mędrzecki proponuje zresztą, by we współczesnej dyskusji nie używać pojęcia Kresy Wschodnie, lecz właśnie: Ziemie Wschodnie Drugiej RP; przekonuje, że jest ono bardziej uzasadnione. Historycznie (termin ten upowszechnił się już w dyskusji w II RP) i przewrotnie: wszak dla polskiej kultury i polityki Wilno czy Lwów nie były kresami, w domyśle: peryferiami. Na tym zresztą polegał (także) konflikt, w ówczesnych realiach „rywalizacji narodów" (wszystkich narodów) nieunikniony: oba miasta dla Polaków znaczyły zbyt wiele, aby możliwy był kompromis akceptowalny dla Litwinów i galicyjskich Ukraińców (dla nich były to ich stolice).

Rzecz ciekawa: współczesna polska dyskusja o Ziemiach Wschodnich skupia się na historii politycznej. Mało obecna jest ich historia społeczna i gospodarcza. A przecież punkt wyjścia był tam dramatyczny. Jeden szczegół: w 1921 r. w województwach poleskim i wołyńskim analfabeci stanowili trzy czwarte ludności, podczas gdy na Śląsku i w Wielkopolsce było to kilka procent (w carskiej Rosji nie było obowiązku szkolnego). Równie wielka była przepaść pod względem opieki zdrowotnej czy infrastruktury. A przecież także uwarunkowania zewnętrzne nie były sprzyjające (Wielki Kryzys, sowiecka „wojna hybrydowa").

Jeśli ktoś wybiera się na wędrówkę po Ziemiach Wschodnich (wirtualną lub realną), warto, aby prócz przewodników – np. tych wydanych przez oficynę Rewasz, godnych polecenia – zaopatrzył się także w „Kresowy kalejdoskop". ©℗

Włodzimierz Mędrzecki **KRESOWY KALEJDOSKOP. WĘDRÓWKI PRZEZ ZIEMIE WSCHODNIE DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ 1918–1939** *Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018.*

ANDRZEJ

Stasiuk:
Promy

Właściwie pierwszy raz zauważyłem je we wschodnich Węgrzech. Tam, gdzie Cisa porzuca Ukrainę i wpływa na Wielką Nizinę Węgierską. Kraj jest płaski i miejscami bagienny. Rzeka wyrywa się z Karpat, zwalnia i rozlewa spokojnym zielonym biegiem.

Metalowe kadłuby z deskowanymi pokładami sunęły w poprzek nurtu. Fury z sianem, rowerzyści, krowy, czasem jeden, dwa samochody. Mężczyźni z obsługi kręcili korbą kabestanu, bloczek przesuwał się na stalowej linie rozciągniętej nad przeprawą i siła rzeki popychała prom ku drugiemu brzegowi. W roboczych ubraniach pachnieli tytoniem i smarem. Pomyślałem wtedy, że to piękna praca. W zupełnej ciszy, przerywanej tylko metalicznym terkotem zapadki na kole zębatym. Zielone, prawie nieruchome lustro i ciemne odbicia topól po tej i po tamtej stronie. Siła wód od tysiącleci wydobywających się z wnętrza ziemi pcha stateczek, który nic dla niej nie znaczy. Ale przenosi ludzi, zwierzęta i rzeczy. Łaskawie, od niechcenia, mimowolnie. Jak źdźbła traw. Płaciło się grosze i dostawało poważnie wyglądający bilet.

Potem, już w Polsce, szukałem takich promów. Z dojazdem wśród wiklin i mokradeł, najczęściej z dala od ludzkich siedzib. W miejscach, gdzie rzeka podczas powodzi zalewa ląd. Ze zjazdem ze starego, kruszącego się betonu. Z rdzewiejącymi stalowymi pachołkami. Ze smętną budką, w której można schronić się przed deszczem. Albo tylko z tabliczką z numerem telefonu przewoźnika.

Kiedyś nie było telefonów. W niedzielę ludzie zbierali się na brzegu. Szli od wsi, widać było, jak idą przez płaskie nadrzeczne pastwiska, by stanąć nad wodą. Kobiety w kolorowych chustkach, mężczyźni nieodmiennie na czarno albo szaro. Mali, odlegli, ledwo widoczni w rozległym pejzażu. Oglądałem to wszystko z przeciwległego wysokiego brzegu. Za plecami miałem drewniany kościół, który wcześniej był unicką cerkwią. Po tamtej stronie nie mieli świątyni i w każdą niedzielę czekali na łódź, która ich przywiezie na tę stronę. To było w rodzinnej wsi mojego ojca. Smukła pychówka przecinała zielony nurt. Przewoźnik stał na rufie i zanurzał długie wiosło. Było coś biblijnego w tym obrazie. Garstka ludu oczekująca na przeprawę pod wysokim niebem na brzegu wód. Widziałem, jak wsiadają niepewnie, łódź kołysze się na boki i zanurzona aż po krawędzie burt odbija i ciężko sunie z powrotem zostawiając na wodzie ślad, który zaraz się wygładza. Po paru minutach przybijali do skarpy, na której stał drewniany kościół, który kiedyś był unicką cerkwią, i wspinali się w górę, a dźwięk dzwonu niósł się po rzece Bóg wie jak daleko.

No tak. Ale miało być o promach. O tych rzecznych i bezgłośnych, przenoszących nas przez odwieczność rzek. Z jednego lądu na drugi, żebyśmy mogli kontynuować nasze skrzętne życie, żeby nasze sprawy miały ciąg dalszy.

Na tych najmniejszych pokład jest bardzo nisko. Niewiele wyżej niż lustro wody. Jak w tamtej łódce z garstką wiernego ludu. Jest cicho i metaliczny terkot ręcznego mechanizmu mięknie w nieruchomym powietrzu. Trochę jak odgłos maszyny do szycia, która zszywa dwa brzegi. Na Sanie, na Wiśle, na Dunajcu, na Bugu. Często, gdy mam trochę czasu, rezygnuję z mostów i wybieram drogę, która nie zostawia po sobie śladów. Trzeba zaczekać, aż prom powróci i przybije. Czasem promowy kapitan zwleka, bo ktoś dzwonił, że właśnie nadjeżdża, albo po prostu robi sobie przerwę i wsparty o reling pali i patrzy w rzeczną dal. I jest trochę tak, jak kiedyś, gdy wędrowaliśmy w poszukiwaniu ziem, gdzie zostaniemy: rzeki przegradzały nam drogę i musieliśmy się zatrzymać, by znaleźć sposób na przeprawę. Rozbijaliśmy obóz, odpoczywaliśmy, paliliśmy ogień i nadawaliśmy rzece imię. Bo cóż to jest za sztuka przejechać mostem, który jest jak betonowa szrama na pięknym ciele świata. Pospiesznie, bo z tyłu jadą inni, jest zakaz zatrzymywania, podwójna ciągła, a i samej rzeki nie widać zza wysokich barier.

Więc chwalę rzeczne promy, które przywracają sens podróży. I jak tamta łódź z dzieciństwa niosą nas, choć przez chwilę, w stronę wieczności. Amen. ©

TP

Kluby „TP” zapraszają

BERLIN, wtorek, 11 września, godz. 19.00
Spotkanie „Duchowa pustynia czy zarzewie rewolucji? O kondycji Kościoła katolickiego w Niemczech”.
Miejsce: Dominikanerkloster Sankt Paulus (Oldenburger Str. 46).

BIELSKO-BIAŁA, poniedziałek, 17 września, godz. 17.30
Spotkanie „Duch i litera. O de-moralizacji polityki”.
Gościem będzie: prof. Tadeusz Sławek.
Miejsce: Klubokawiarnia Aquarium Galerii Bielskiej BWA (ul. 3 Maja).

WARSZAWA, czwartek, 13 września, godz. 19.00
„Tischner czyta katechizm – między dwoma światami”.
Miejsce: Sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro).

NAUKA

MNÓSTWO SROK ZA OGON

Choć wykonywanie kilku zadań naraz to stały element współczesnego życia, nasze mózgi za tym nie nadążają. Multitasking to w dużym stopniu fikcja.

ŁUKASZ JACH

BILL HINTON / GETTY IMAGES

W filmie „Watchmen: Strażnicy" główna bohaterka zauważa w pewnym momencie z irytacją, że jej partner, Dr Manhattan, w trakcie uprawiania z nią seksu zajmuje się jednocześnie przeprowadzaniem eksperymentu naukowego. Oburzenie kobiety wydaje się zrozumiałe, mimo że ten akurat superbohater wśród swych zdolności posiada umiejętność przebywania w kilku miejscach naraz. Z dzisiejszej perspektywy można by jednak powiedzieć, że Dr Manhattan to po prostu nikt inny jak wytrawny wielozadaniowiec.

W dobie nieustannego korzystania z urządzeń mobilnych umiejętność wykonywania różnych czynności w tym samym czasie – określana mianem multitaskingu – wydaje się dostępna każdemu. Co więcej, jest wręcz wymogiem, którego niespełnianie wypycha poza margines życia towarzyskiego i zawodowego. Gdzie nie spojrzeć, ktoś telefonuje podczas prowadzenia samochodu, pisze esemesy w trakcie randki albo słucha muzyki podczas czytania książki lub oglądania serialu. Korzystanie z komunikatorów internetowych czy gier mobilnych to chleb powszedni w klasach szkolnych i salach wykładowych, gdzie wypiera ono „stare, dobre" rozwiązywanie krzyżówek lub sudoku.

A co z przeglądaniem Facebooka czy YouTube'a w trakcie pracy? Pracodawcy spostrzegają je zapewne raczej w kategoriach obniżającego efekty pracy „cyberdryfowania", zdaniem zaś przekonanych o swych wielozadaniowych zdolnościach pracowników to po prostu przyjemny dodatek, niemający wpływu na czynności zawodowe.

Trudno się im zresztą dziwić, skoro podczas rozmów kwalifikacyjnych wielozadaniowość uznawana jest za przejaw inteligencji i wysokich kompetencji osobistych, tuż obok umiejętności pracy „w stresie" i „pod presją czasu". O wielozadaniowości krąży jednak wiele mitów, w których przejawia się myślenie życzeniowe i nierealistyczne opinie o posiadanych przez ludzi kompetencjach poznawczych.

Iluzja równoległości

Badania nad efektywnością jednoczesnego wykonywania kilku czynności prowadzone są od bardzo dawna. Już w latach 50. XX wieku Donald Broadbent wykazał, że równoległe słuchanie dwóch różnych informacji wiąże się z niskim poziomem przyswajania tych danych, którym nie udaje się przejść przez „wąskie gardło" (ang. *bottleneck*) uwagi. Dwie dekady później pojawiły się zaś modele opisujące multitasking w kategoriach modułów i zasobów. Zgodnie z podejściem modułowym radzimy sobie równocześnie z kilkoma czynnościami tylko wtedy, gdy obciążają one odrębne systemy przetwarzania (np. słuchanie muzyki i gra w tenisa). W ujęciu zasobowym ludzkie możliwości przypominają moc obliczeniową urządzeń elektronicznych – jeżeli jest jej dość, wykonywane równolegle działania powinny przebiegać efektywnie.

Laboratoryjne studia nad wielozadaniowością często jednak miały niewiele wspólnego z codziennym życiem. Prawdziwy rozkwit możliwości oddawania się multitaskingowi nastąpił w ostatnich dekadach za sprawą urządzeń takich jak tablety czy smartfony. Technologiczni entuzjaści na określenie człowieka wzrastającego i dobrze orientującego się w nowym środowisku informacyjnym opracowali nawet termin *homo zappiens* (ang. *zap* – skakać z kanału na kanał). Sceptycy uważają jednak, że efektywna wielozadaniowość to współczesny mit, wyrastający raczej z marketingowych zabiegów mających zachęcać nas do kupna nowych gadżetów niż z badań psychologicznych. Te bowiem sugerują, że autentyczny, skuteczny multitasking to fikcja.

Wielu z nas uważa się za osoby zdolne do jednoczesnego zajmowania się kil-

koma rzeczami naraz. Przyłapani na używaniu telefonu komórkowego podczas oglądania filmu lub czyjegoś wystąpienia mówimy, że mamy podzielną uwagę, co ma uzasadniać niepełne zaangażowanie w jedną tylko czynność. Prawdziwie równoległe wykonywanie działań jest możliwe jednak wyłącznie wtedy, gdy są one w pełni rutynowe lub automatyczne.

A co w pozostałych przypadkach? Choć możemy być przekonani o tym, że równolegle piszemy artykuł i rozmawiamy z żoną czy dziećmi, w rzeczywistości nasza aktywność składa się raczej z sekwencji pojedynczych czynności, pomiędzy którymi zachodzą przeskoki podobne do przekręceń gałką piekarnika. Każde takie przełączenie pomiędzy czynnościami wymaga jednak chwili czasu, przeskakiwaniu pomiędzy czynnościami nie towarzyszy pełny zaś „reset" procesów poznawczych – ślad pozostawiony przez poprzednie działanie może przeszkadzać realizacji aktualnego (tzw. proaktywna interferencja). Zdaniem psychologa poznawczego Alana Allporta wykonywaniu zadań towarzyszy zjawisko porównywalne z występującą w fizyce siłą bezwładności. Aby zmienić ich trajektorie, potrzeba energii, co określa się mianem kosztów przełączenia (*switch costs*). Pomyślmy o mimowolnym „yyy" wydawanym przez nas w sytuacji, gdy musimy szybko odpowiedzieć na znienacka zadane nam pytanie tuż po tym, gdy odczytaliśmy pod stołem przesłaną nam esemesem listę zakupów. To właśnie wtedy nasz mózg przełącza się pomiędzy zadaniami.

Z przymusu czy z własnej woli

Sytuacji wymuszających wielozadaniowość dostarcza samo życie. Stale lub okresowo wymagają jej niektóre zawody (kelner, sekretarka), a na co dzień towarzyszy ona choćby łączeniu obowiązków domowych z opieką nad kilkuletnim, ruchliwym brzdącem. W wielu przypadkach, jak na przykład wtedy, gdy decydujemy się na grę w Candy Crush podczas szkolenia BHP, multitasking to jednak nie obiektywna konieczność, ale efekt podjętej w danej chwili decyzji.

Zdaniem psycholog Laury Broecker lepiej zrozumiemy, dlaczego ludzie piszą esemesy podczas prowadzenia samochodu lub szperają po internecie w czasie pracy, jeżeli rozważymy poszczególne czynności ze względu na stopień subiektywnie przypisywanej im ważności. Według tzw. modelu STOM (*strategic task overload management*, strategiczne zarządzanie przeładowaniem zadaniami – zob. infografika) kryteriami dokonywania wyborów są: wyrazistość, priorytet czasowy, zainteresowanie, waga atrybutów i poziom trudności. Badacze uważają przy tym, że na co dzień do podjęcia decyzji o przerwaniu jednej czynności na rzecz innej lub podzieleniu uwagi pomiędzy kilkoma czynnościami może wystarczać już jeden powód.

Może zabrzmi to prowokująco, ale zgodnie z przedstawionym stanowiskiem odebranie telefonu w trakcie jazdy autem to nie po prostu wyraz lekkomyślności, ale decyzja oparta na mniej lub bardziej trafnych przesłankach i kalkulacji. Rzecz w tym, że w tej kalkulacji zwykle nieprawidłowo oszacowujemy jeden fundamentalny czynnik: rzeczywisty stopień podzielności własnej uwagi.

Mózg wielozadaniowca

Stosując metodę neuroobrazowania określaną skrótem VBM, wykryto, że osoby o wysokiej tendencji do korzystania z multimediów w sposób wielozadaniowy charakteryzują się obniżoną gęstością istoty szarej w przednim zakręcie kory obręczy. Jest to obszar mózgu odpowiadający m.in. za planowanie i kontrolę działań, więc multitasking może być częściej domeną osób mających problemy z efektywną realizacją zamierzonych celów. Sami autorzy badania przyznają, że na podstawie przedstawionych rezultatów ↦

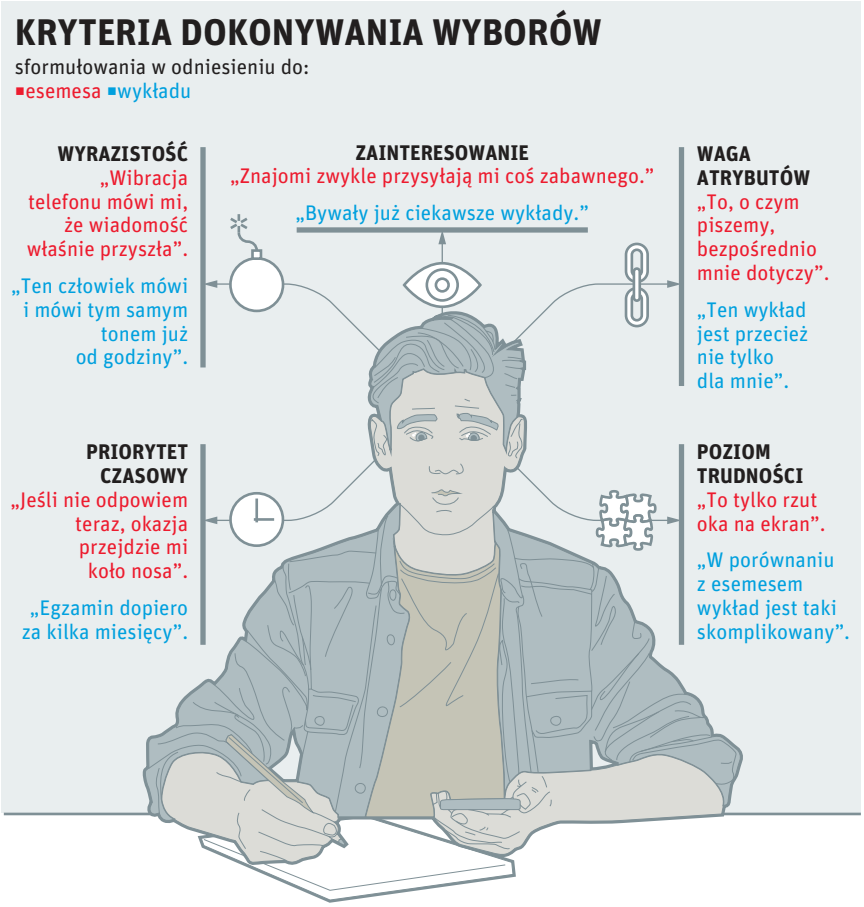

nie można stwierdzić, czy to wielozadaniowość pociąga za sobą zmiany neurologiczne, czy też określona budowa mózgu jest przyczyną jednoczesnego wykonywania kilku zadań. Tak czy inaczej związane z multitaskingiem cechy mózgu wydają się świadczyć nie tyle o supermocy, co o pewnego rodzaju niedoborze.

Nie weselej przedstawiają się wyniki prac zespołu pod kierownictwem Marcela A. Justa. Stosując funkcjonalny rezonans magnetyczny (fMRI), obserwowano poziom aktywacji obszarów płata ciemieniowego – odpowiedzialnych za orientację przestrzenną – podczas symulacji prowadzenia pojazdu. Okazało się, że aktywność wymienionych struktur jest wyraźnie zmniejszona u kierujących, których jednocześnie poproszono o ocenę prawdziwości słyszanych zdań. Okazuje się więc, że już nawet samo słuchanie przekazów może przyczyniać się do pogorszenia jakości sterowania pojazdami. Wyniki te są też sprzeczne z poglądem, że kanał werbalny i wzrokowy są od siebie niezależne i obciążenie jednego z nich nie ma wpływu na działanie drugiego.

Czy jednak są bardziej bezpośrednie powody, aby zmieniać swoje codzienne przyzwyczajenia związane z angażowaniem się w wiele czynności jednocześnie? Przemawiają za tym co najmniej względy pragmatyczne. Badania przeprowadzone przez Lee Hadlingtona i Karen Murphy wykazały, że im częściej osoby funkcjonowały wielozadaniowo, tym więcej odnotowywały w codziennym życiu drobnych potknięć, takich jak np. upuszczanie przedmiotów czy zapominanie przydatnych informacji. Co więcej, badani o skrajnie wysokiej tendencji do multitaskingu cechowali się również najwyższą częstotliwością ryzykownych zachowań internetowych, jak dzielenie się hasłami albo używanie tych samych loginów i haseł na różnych stronach WWW. Autorzy badania przypuszczają, że specyfika środowiska cyfrowego sprawia, iż namysł wymagany podczas podejmowania decyzji jest traktowany jak nieprzyjemne opóźnienie, które należy szybko przezwyciężyć i pozostawić w tyle.

A może orędownicy ery *homo zappiens* mają rację, dotychczasowe raporty na temat nieefektywności multitaskingu wynikają zaś z tego, że badani po prostu nie byli w wielozadaniowości odpowiednio wytrenowani? Tak przypuszczali Kerwin J.F. Olfers i Guido P.H. Band, których badania opublikowano niedawno w specjalnym, w całości poświęconym zagadnieniu wielozadaniowości wydaniu czasopisma „Psychological Research”. Badacze postanowili sprawdzić, czy systematyczny trening oparty na specjalnie dobranych grach elektronicznych, wspierających elastyczność poznawczą, będzie poprawiał działania realizowane w wielozadaniowy sposób. Okazuje się, że u osób grających po 45 minut dziennie przez 20 dni czas potrzebny na wykonanie zadania – w sytuacji, gdy potrzebna była zdolność multitaskingu – faktycznie uległ skróceniu, jednak nie poprawiła się dokładność, z jaką to zadanie wykonywano. Mimo ćwiczeń badani wciąż ponosili więc takie same koszty związane z przełączaniem się pomiędzy zadaniami.

Nowe szaty hedonizmu

Na koniec wypada zastanowić się nad pewną nieco niewygodną kwestią: do czego zwykle potrzebna jest nam wielozadaniowość? Rachunek sumienia w wielu przypadkach wykaże zapewne, że nie chodzi tu o jednoczesną realizację kilku ważnych obowiązków, ale łączenie obowiązków z przyjemnościami, a nawet przeżywanie przyjemności płynącej z kilku źródeł jednocześnie. Według Damiana Grabowskiego, specjalisty z zakresu psychologii pracy i organizacji, współcześnie miejsce etyki pracy zastąpiła estetyka pracy, której podstawowymi kategoriami nie są już pożyteczność i opłacalność, ale ciekawość i dostęp do pasjonujących przeżyć. Innymi słowy – w pracy ma być fajnie! I tu z pomocą przychodzi multitasking.

A jak to jest na co dzień? Czytanie i wysyłanie wiadomości, monitorowanie Facebooka czy oglądanie filmów na YouTubie to zwykle nie konieczność, ale krok w kierunku redukcji doświadczanego dyskomfortu lub poprawy samopoczucia. Pod koniec ubiegłego wieku Neil Postman przedstawił telewizję jako medium po mistrzowsku umożliwiające utrzymywanie odbiorców w stanie ciągłego zabawienia. Wydaje się, że parę dekad później ludzkość osiągnęła w tej dyscyplinie poziom arcymistrzowski: coraz częściej jesteśmy zajęci w więcej niż stu procentach, wykonując kilka czynności naraz. Żadnej z nich porządnie.

© ŁUKASZ JACH

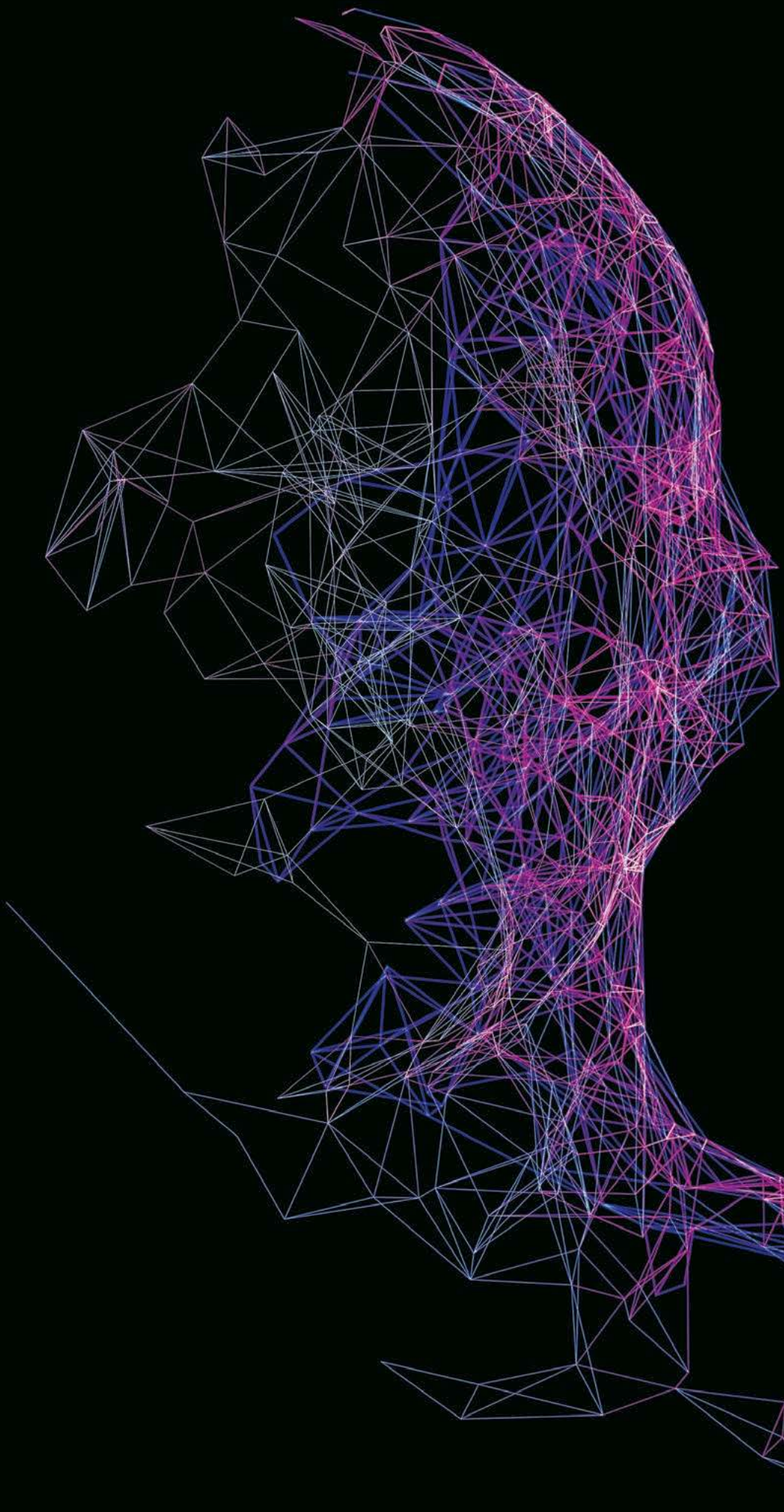

TYGODNIK POWSZECHNY

Nr 37/2018
DODATEK SPECJALNY

CYWILIZACJA ALGORYTMÓW

FESTIWAL PRZEMIANY

CENTRUM NAUKI KOPERNIK

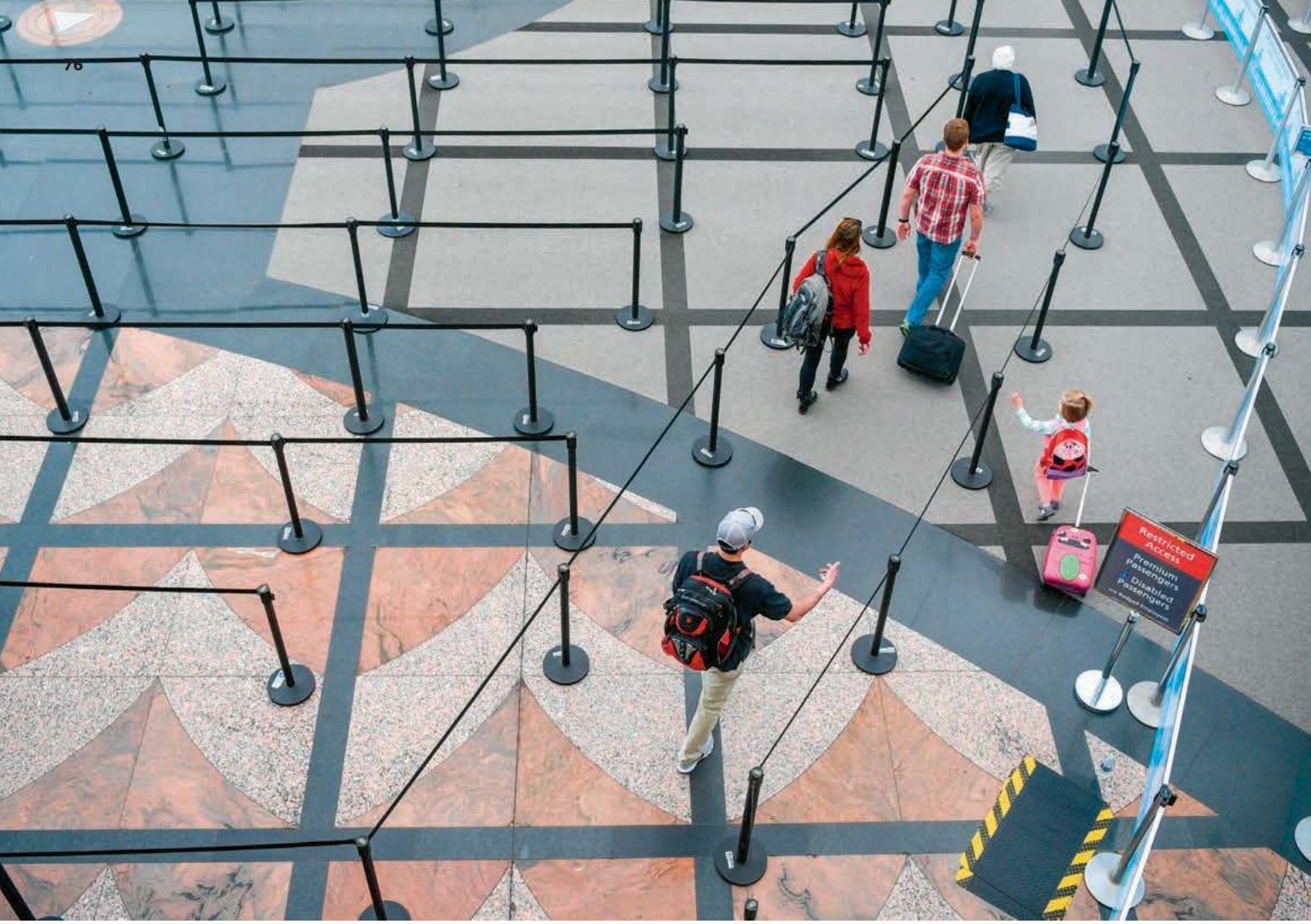

Sztuczna przeciętność

ŁUKASZ LAMŻA

W starym science fiction sztuczna inteligencja to cyniczny robotyczny geniusz – pożyteczny, ale niebezpieczny. Dziś algorytmy są tylko tak mądre, jak chce tego klient. Co się stało? I co przyniesie przyszłość?

Gdy czyta się i ogląda *science fiction* sprzed 50-100 lat, sztuczna inteligencja (AI) pojawia się głównie w roli potężnej, budzącej respekt siły – czasem nam sprzyjającej, zwykle jednak stanowiącej mniej czy bardziej zawoalowane zagrożenie. Ot, „R.U.R." Karela Čapka z 1920 r., gdzie roboty buntują się przeciwko swym ludzkim panom, lub „2001. Odyseja kosmiczna" Kubricka z 1968 r., w której HAL 9000 początkowo jest jedynie miłym kompanem do rozmowy, jednak z czasem jego samodzielność intelektualna zaczyna prowadzić do niejakich problemów. Z dzieciństwa pamiętam też książki Broszkiewicza i Lema, w których na pokładzie każdego statku kosmicznego znajdował się przynajmniej jeden robot, będący zwykle po prostu superinteligentną, szybciej myślącą wersją człowieka. Cóż, w „Rozprawie" Lema to właśnie nadspodziewanie szybkie procesy myślowe zdradziły ukrywającego wcześniej swoją tożsamość androida.

To w tych latach powstał też słynny filozoficzny problem „silnej sztucznej inteligencji" – czyli takiej, która jest samodzielnym, wszechstronnie rozwiniętym „umysłem" wyposażonym w „świadomość", cokolwiek te terminy znaczą – przeciwstawianej „słabej" AI, która miałaby „tylko" wykonywać polecenia, realizując zadany program o ściśle określonej funkcji.

Dziś problemy te, jak i sam język, którym zostały wyrażone, po prostu trącą myszką. Wielu filozofów umysłu i kognitywistów na słowa „świadomość" i „umysł" reaguje alergicznie, ponieważ te abstrakcyjne terminy po prostu niepo-

RJ SANGOSTI / GETTY IMAGES

trzebnie zatruwają ich konkretne, pożyteczne badania nad przetwarzaniem obrazu w korze wzrokowej, pamięcią przestrzenną albo neurochemią lęku. Również AI przestało być teorią i są na świecie tysiące programistów, dla których tworzenie inteligentnych algorytmów to chleb powszedni. O czym tu filozofować?!

W poszukiwaniu prawdziwej inteligencji

Sztuczna inteligencja to dziś produkt, i to cenny. AI usuwa szum ze zdjęć w twoim smartfonie, dobiera czas prania w twojej pralce i wybiera najszybszą trasę w twoim GPS-ie, a także podpowiada Facebookowi, co wyświetlić na twojej stronie głównej. Rozprawianie o „filozofii AI" brzmi trochę jak XIX-wieczne dysputy o filozofii elektryczności prowadzone w czasach, gdy wiktoriańskie damy mdlały z podekscytowania na widok żaby ożywianej tajemnymi prądami z butelki lejdejskiej.

To właśnie skrajnie abstrakcyjne, roszczeniowe podejście do sztucznej inteligencji odpowiada za tzw. *AI effect*, który Douglas Hofstadter wyraził w postaci złośliwego powiedzonka: „AI to wszystko, czego jeszcze nie ma". W praktyce „efekt AI" polega na tym, że każdy kolejny przejaw inteligencji maszynowej jest kwitowany stwierdzeniem: „Phi, to jeszcze nie jest inteligencja". W rozmowie z poszukiwaczami „prawdziwej AI" możemy też usłyszeć, że „prawdziwa" sztuczna inteligencja powinna nas zaskakiwać – bo przecież co to za inteligencja, która potulnie wykonuje polecenia. Nic więc dziwnego, że rozwiązanie każdego kolejnego zadania dla AI oznacza zawsze tylko podnoszenie poprzeczki – skoro twórca algorytmu rozumie, jak to zadanie rozwiązać, to znika element zaskoczenia z faktu, że algorytm odnalazł owo rozwiązanie. Istny paragraf 22.

Nierealistyczne oczekiwania to jednak tylko jedna strona medalu. Drugim, bliźniaczym aspektem „problemu z AI" są równie nierealistyczne przekonania dotyczące poziomu inteligencji i kreatywności ludzi. Zauważmy, że w starym, dobrym *science fiction* na polu bitwy między sztuczną i ludzką inteligencją również i my zawsze jesteśmy reprezentowani przez *crème de la crème*. Ponieważ autorami SF są zwykle jajogłowe naukoluby, bohaterami ich opowieści są też – niespodzianka – jajogłowe naukoluby: genialni inżynierowie, fizycy, doświadczeni nawigatorzy statków kosmicznych z uprawnieniami IV poziomu. W „Odysei kosmicznej" dr Frank Poole gra z HAL-em 9000 – oczywiście – w szachy, a rozmowy między nimi toczą się w kulturalnym języku zblazowanych inteligentów.

Trudno nam więc pogodzić się z faktem, że większość naszych decyzji – o czym pisze choćby ekonomista Daniel Kahneman w „Pułapkach myślenia" – podejmowana jest zbyt szybko i zbyt automatycznie, aby można je było uznać za racjonalne, a nasze interakcje z bliźnimi można w dużym stopniu sprowadzić do scenariusza mieszczącego się na kilku kartkach A4, co pięknie zdemaskował Erving Goffman w „Człowieku w teatrze życia codziennego". „Ja-kupujący-rano-chleb" i „ja-jadący-metrem" to wcale nie ów wyidealizowany Człowiek, do którego miałaby rzekomo dążyć sztuczna inteligencja – samoświadomy, kreatywny, rozprawiający o Sztuce, Matematyce i Abstrakcji. Dzisiejsza AI jest zaś wynikiem zderzenia wzniosłej teorii z rzeczywistością ludzką – z faktycznym codziennym życiem miliardów *homo sapiens*. AI naśladuje więc rzeczywistą ludzką inteligencję, a nie tę będącą romantycznym ideałem zrodzonym w głowach filozofów. Sztuczna inteligencja to nie tylko szachy i rozmowy o filozofii.

Jeżeli chcemy zrozumieć AI, musimy po prostu zejść na ziemię. Spójrzmy więc nieco szerzej na przejawy ludzkich mocy poznawczych. Kluczem niech będzie klasyczna lista siedmiu (w późniejszych wersjach – ośmiu) typów inteligencji Howarda Gardnera, który w 1983 r. opisał teorię tzw. „inteligencji wielorakiej", próbując wyjść poza popularny wówczas – i dziś – mit, że inteligencja ludzka kończy się na zdolności do rozwiązywania testów do Mensy. Choć w badaniach na ten temat sporo się od tego czasu zmieniło, „moduły" Gardnera stanowią doskonały punkt wyjścia do zastanawiania się nad przebiegiem stopniowego zbliżania się maszyn do ludzi... i na odwrót.

Inteligencja na siedem sposobów

Moduł „logiczno-matematyczny" to ten najczęściej kojarzony z inteligencją. Cóż, jest go po prostu najłatwiej zmierzyć. Jeśli zadam pytanie: „Jaka liczba stanowi kontynuację wzoru? 1... 1... 2... 3... 5... 8... 13... 21...", to albo odgadniesz, albo nie, dzięki czemu moja aktywność jako osoby przeprowadzającej test sprowadza się do sprawdzenia klucza. Paradoksalnie więc ocena tego wymiaru inteligencji – która do dziś dominuje nie tylko w świecie Mensy, ale i akademickiej psychometrii – wymaga szczególnie mało inteligencji. Zdolność do rozumowania logiczno-matematycznego stosunkowo łatwo też sprowadzić do algorytmu, a w zadaniach polegających na zapamiętywaniu cyfr albo odnajdywaniu wzorców w zbiorach abstrakcyjnych obiektów komputery od dawna radzą sobie lepiej od ludzi.

Moduł „językowo-lingwistyczny" jest już nieco bardziej interesujący. Sprawne posługiwanie się językiem nie daje się łatwo sprowadzić do poziomu zero-jedynkowych decyzji. Tym większe było moje zaskoczenie, gdy sprawdziłem, że tłumacz Google potrafi już dziś wychwycić, iż w zdaniach „Ten zamek jest w górach" i „Ten zamek jest w spodniach" chodzi o dwa różne zamki, i w tłumaczeniu pierwszego stosuje słowo „castle", a drugiego – „zipper". Dla tych spośród czytelników, którzy reagują na tę wiadomość myślą, że „przecież to żadna filozofia zaprogramować coś takiego", oferuję dwie odtrutki na ów przejaw „efektu AI". Po pierwsze, nie zostało to osiągnięte metodą siłowego wklepywania milionów skojarzonych ze sobą par słów (wszystkie projekty AI opierające się na takim ilościowym podejściu, jak choćby „Cyc" Douglasa Lenata, zakończyły się porażką). Algorytmy leżące u podstaw tłumacza Google'a należą raczej do kategorii programów samouczących – co wcale nie jest łatwo zaprogramować. To jednak nieistotne. Kluczowa jest druga informacja: na poziomie rzeczywistości ludzkiej odróżnienie i poprawne przetłumaczenie dwóch rodzajów „zamka" wymaga poziomu kompetencji językowych, których posiadacze słusznie wpisują sobie w CV: „English – communicative". I potem znajdują pracę. I sobie w niej radzą. Choć więc nieprędko doczekamy się programów dobrze tłumaczących poezję, równie trudno znaleźć człowieka, który by to potrafił. Większość ludzi i większość programów komputerowych potrzebuje tylko tak dobrej znajomości języka, aby mógł on służyć skutecznej komunikacji. Jak niewiele może to oznaczać, wspomnimy jeszcze za chwilę.

Przy omawianiu inteligencji „muzyczno-rytmicznej" Gardner podał, że ↦

↦ przejawem szczególnie wysokiego jej rozwoju jest słuch absolutny – zdolność do nazwania pojedynczego dźwięku. Trudno chyba o bardziej jaskrawy przejaw „efektu AI" – bo któż dziś będzie skłonny przyznać, że to trywialne dla komputera zadanie świadczy o wysokim rozwoju „sztucznej inteligencji muzycznej"? Niedowiarków nie przekona też pewnie to, że w 2016 r. AIVA, program komputerowy piszący muzykę filmową, został wpisany na listę francuskiego Stowarzyszenia Autorów, Kompozytorów i Wydawców Muzycznych – odpowiednika ZAIKS-u – ponieważ utwory programu AIVA są już grane przez francuskie orkiestry symfoniczne. Skąd właściwie sceptycyzm? Bo AIVA jest odtwórcza? Bo nie jest genialnym, w pełni oryginalnym twórcą, będącym prekursorem nowego stylu w muzyce filmowej? Cóż – a o ilu muzykach można to właściwie powiedzieć? Hollywood produkuje ok. 800 pełnometrażowych filmów rocznie. Bollywood – 1500. Czy twórcy wszystkich tych ścieżek dźwiękowych są genialnymi, w pełni oryginalnymi twórcami?

Nie będziemy już omawiać kolejno pozostałych czterech modułów inteligencji. Spróbujmy może na bazie tych kilku podanych wyżej przykładów pokusić się o rzut oka na relacje pomiędzy inteligencją ludzką a maszynową.

Widziałem dzisiaj @Marek, był jakby #smutny

Zauważmy najpierw, że zarówno algorytmy komputerowe, jak i ludzie są przez otoczenie rozliczani wyłącznie ze swojej skuteczności – ponieważ nikt nie ma czasu zastanawiać się nad ich stanem wewnętrznym – oczekiwany zaś przez to otoczenie poziom kompetencji rzadko jest wysoki. Maszyny potrafią wykonywać tak wiele funkcji ludzi nie tylko dlatego, że są tak bystre – również dlatego, że my sami dość rzadko mamy okazję wykazać się swoją bystrością.

Ot, współczesne lotnisko. Wiele energii zainwestowano, aby 160 tys. osób codziennie przechodzących przez lotnisko we Frankfurcie – z których nie wszyscy mają inteligencję przestrzenną Michaiła Barysznikowa i talent do dekodowania oznaczeń Alana Turinga – dokonało tego sprawnie. Gdy ja sam wędruję przez lotnisko, postępując po prostu tępo za grubą żółtą linią wymalowaną na podłodze, bo skierował mnie na nią olbrzymi, czytelny symbol graficzny, czuję się traktowany jak idiota. I bardzo dobrze – bo przestrzeń lotniska jest zbyt złożona, żebym ją zrozumiał. Nie mam rozumieć. Mam tuptać po żółtej linii. Porządek terminalu lotniczego wypełza stopniowo do miast, coraz lepiej zorganizowanych, oznaczonych i bezpiecznych. Dziś nie trzeba żadnych niemal kompetencji językowych, przestrzennych i interpersonalnych, aby poradzić sobie w obcej metropolii – czy to Los Angeles, czy Lizbona, czy Kanton: przywita nas ten sam globalny, skrajnie uproszczony język metra, bankomatu i supermarketu samoobsługowego.

> Rozprawianie dziś o „filozofii AI" brzmi trochę jak XIX-wieczne dysputy o filozofii elektryczności prowadzone w czasach, gdy **wiktoriańskie damy mdlały na widok żaby ożywianej tajemnymi prądami.**

Ostatnim bastionem człowieczeństwa była zawsze osławiona inteligencja emocjonalna, u Gardnera ukryta w module „interpersonalnym". Istnieją dziś oczywiście programy AI, które odczytują stan emocjonalny człowieka poprzez analizę jego mimiki, a następnie na tej podstawie odpowiednio dobierają komunikat. To jednak zbędny wysiłek. Po co bawić się w odczytywanie mimiki, gdy mój rozmówca samodzielnie oznacza swój stan emocjonalny, wybierając jedną spośród sześciu ikon? Po co uczyć tłumacza Google'a subtelności polszczyzny, skoro komunikacja międzyludzka staje się w coraz większym stopniu oparta na tagach? Zwróćmy uwagę, że to, co stanowi dziś najszybciej rozwijający się trend w komunikacji międzyludzkiej, jest tak naprawdę najpiękniejszym snem maszyn – oto wypowiedzi ludzkie są przez nich samych oznaczane przy użyciu zamkniętego słownika, w którym każdy wyraz ma swój unikatowy identyfikator cyfrowy.

Nic więc dziwnego, że w wielu sferach internetu komunikaty generowane przez boty zaczynają dominować nad tymi generowanymi przez ludzi. W badaniu Pew Research Center opublikowanym w kwietniu tego roku oszacowano, że ok. 66 proc. wszystkich wpisów na Twitterze zawierających linki jest tworzonych przez boty. I nie mówimy tu tylko o „głupim" spamowaniu linkami do filmów pornograficznych i reklam butów. Współczesne boty dodają do swoich linków jedno czy dwa proste zdania – czyli właśnie tyle, ile mieści w pojedynczym tweecie normalny użytkownik tego serwisu. W innym badaniu wyszło na jaw, że tocząca się na Twitterze „debata" na temat szczepień obowiązkowych jest praktycznie w całości skonstruowana przez wypowiedzi generowane automatycznie lub półautomatycznie.

To nie dlatego, że nad wszystkim czuwa jakaś superinteligencja. To dlatego, że my sami coraz częściej komunikujemy się w postaci zdań pojedynczych, w których co druga fraza to frazes. Do naśladowania nas wystarczy najzupełniej toporna sztuczna inteligencja. Lektura dowolnego forum internetowego, na którym pojawia się choćby temat polityki, nieodmiennie wywołuje we mnie wrażenie *déjà vu*: te wszystkie docinki i wyzwiska słyszałem już wszak tysiące razy. Z każdym kolejnym rokiem nasze komunikaty w internecie robią się coraz prostsze i coraz bardziej przewidywalne – co jest dość zabawne, ponieważ tym, czego zawsze wymagaliśmy od AI, było zachowywanie się na sposób złożony i nieprzewidywalny.

Gdyby więc chcieć pokusić się o przewidywanie przyszłości sztucznej inteligencji na podstawie opisanych tu trendów, to w pierwszej kolejności należałoby zapytać o to, jak bardzo nieinteligentne, mechaniczne i przewidywalne będą się z czasem stawały przejawy naszej własnej inteligencji. Sztuczna inteligencja bowiem ewoluuje na sposób naturalny, czyli zapełniając nisze w stopniu wynikającym z konkurencji międzygatunkowej. Na razie konkurencja z naszej strony wydaje się słabnąć.

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

AUTOR *jest filozofem przyrody i dziennikarzem naukowym, redaktorem „Tygodnika Powszechnego".*

PARTNER WYDANIA:
Centrum Nauki Kopernik

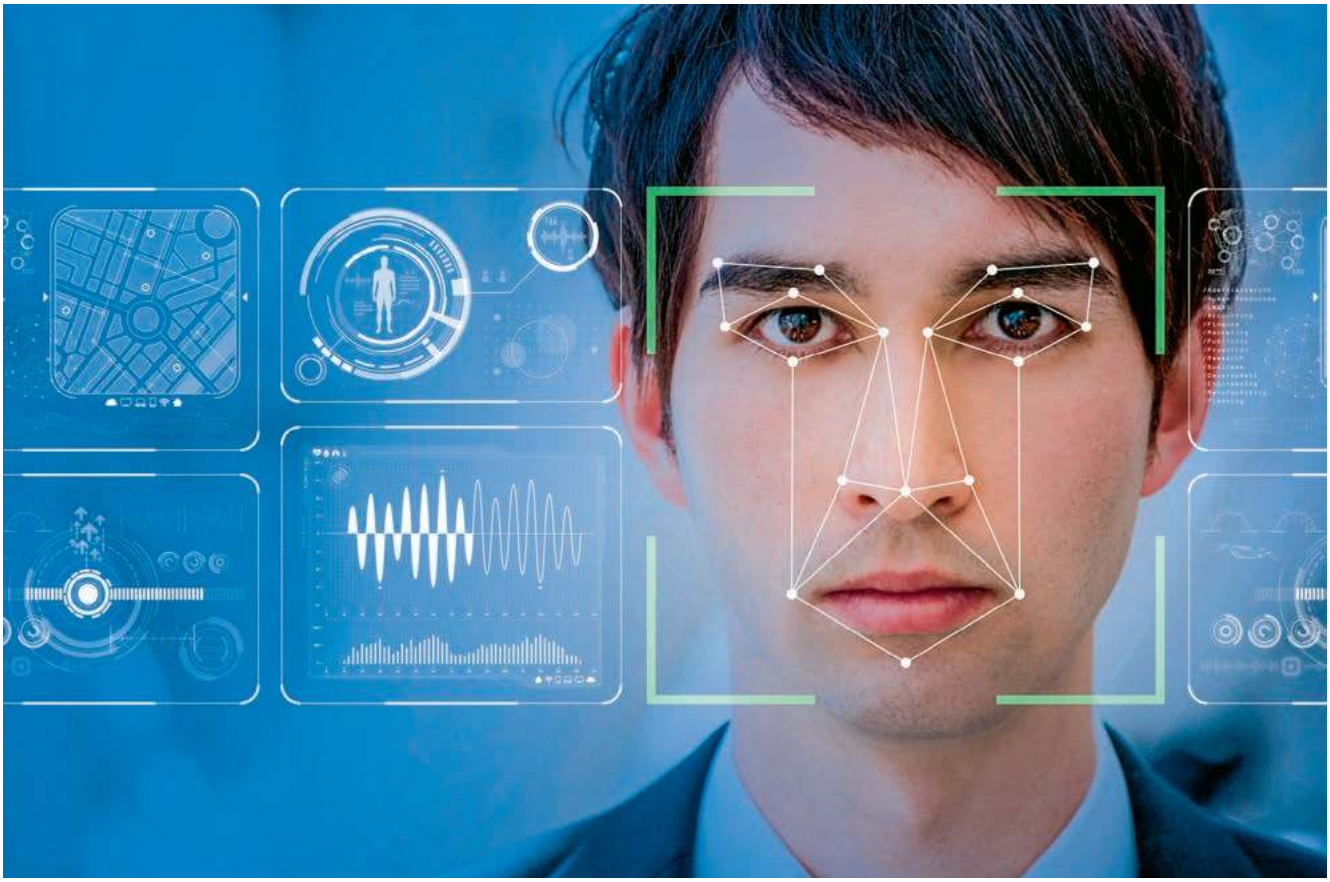

ISTOCK / GETTY IMAGES

Technologie realne i wyobrażone

JEAN-GABRIEL GANASCIA:

Wraz z rozwojem sztucznych inteligencji zmienia się społeczeństwo i koncepcje polityczne. Wiąże się z tym wiele zagrożeń, ale mają one niewiele wspólnego z popkulturowymi czy tradycyjnymi fantazjami.

ALEKSANDRA PRZEGALIŃSKA: Na jakim etapie znajdują się prace nad sztuczną inteligencją? To wciąż początki czy zbliżamy się do przełomu?

JEAN-GABRIEL GANASCIA: Nie ma łatwej odpowiedzi na to pytanie. Na każdym kroku widzimy niezwykły rozwój sztucznych inteligencji, a ich rosnąca moc obliczeniowa umożliwia kolejne praktyczne zastosowanie w naszym życiu. I to będzie postępować. Świat się zmienia, a wraz z nim sztuczna inteligencja. To od niej w dużej mierze uzależniony jest dalszy rozwój społeczny, z czego ludzie zwykle nie zdają sobie sprawy.

Dobrym przykładem może być internet, ale też użyteczna w telefonach funkcja rozpoznawania twarzy lub odcisku palca – to wszystko AI. Również programowanie przy użyciu inteligentnych technik jest coraz częstsze. Choć nie zawsze widać to na pierwszy rzut oka, sztuczne inteligencje zmieniają nasz świat.

Nasze społeczeństwo jest cyfrowe i uzależnione od przepływu informacji, a dane generowane przez czynniki pozaludzkie mogą być analizowane tylko przez pozaludzkie techniki. Żyjemy w społeczeństwie informacyjnym, gdzie liczy się umiejętność wyłapywania pogłosek, żeby przewidywać przyszłość. Osoby zajmujące się oprogramowaniem rozumieją ogromną rolę feedbacku w tworzeniu produktu. A jeszcze w połowie lat 90. nikt nie wiedział, jak ma wyglądać model ekonomiczny internetu. Zwłaszcza w USA, gdzie ludzie byli bardzo podekscytowani ideą sieci, ale nikt nie wiedział, jak na tym zarabiać.

Cała idea była na początku tworzona w hippisowskim duchu. Technologie i panujący w Kalifornii klimat były bardzo otwarte.

Aż zdano sobie sprawę, że da się czerpać zyski z samych danych. Na przykład zarabianie na reklamach jest trudne, bo grupa odbiorców jest szeroka, a zwrot z inwestycji niewielki. Ale jeśli skierujemy reklamy do konkretnych odbiorców, zaczyna się robić ciekawie. A to tylko jeden z przykładów zastosowania inteligentnych agentów we współczesnej gospodarce. Być może w przyszłości sztuczna ↦

↦ inteligencja znajdzie zastosowanie w połączeniu z urządzeniami autonomicznymi. Ale wielu ludzi obawia się takich maszyn, sądząc, że – jak golemy – staną się niezależne i wykształcą wolną wolę. Jednak te obawy nie mają żadnego poparcia w faktach. Dotyczą raczej bardzo pierwotnego lęku, który pojawia się już w starożytnych opowieściach. Wie pani, że słowo „robot" powstało w Czechach?

Tak, wymyślił je pisarz Karel Čapek.

To ciekawe, że Čapek pochodził z Pragi, miejsca narodzin Golema. Ta legenda opowiada o mocy człowieka, który dorównuje Bogu, choć jego twór jest sprzeczny z naturą. Ważne jest jednak, żeby rozróżniać wyobraźnię od rzeczywistości. Świat zmienia się z powodu sztucznej inteligencji, ale nie tak, jak projektowały to najróżniejsze tradycje.

Co sądzi Pan o dyskursie osobliwości, o którym mówi Raymond Kurzweil – o zapowiedziach, że być może już za 20 lat możemy się spodziewać przełomu?

Interesuję się tematem osobliwości już od lat. Wciąż zdumiewa mnie, że tak wielu ludzi, zwłaszcza w wielkich firmach, przychyla się do tej hipotezy. Dla mnie to szaleństwo. Pytałem filozofów, dlaczego nie próbują jej negować. Śmiali się, że nie można tego traktować poważnie. Próbowałem dyskutować, byłem podejrzliwy i miałem konkretne, technologiczne argumenty, ale nic z tego nie wyszło. Czytała pani książki Raymonda Kurzweila?

„Nadchodzi osobliwość"?

Chociażby. Wszystkie jego książki są podobne. Pisze, że w naturze ewolucja przebiega wykładniczo – podobnie w technologii, bo tak działa cały świat. Prawo Moore'a stanowi koronny argument jego teorii. Można z tym dyskutować i właśnie próbuję to robić. Jak na razie wszystko wskazuje, że prawo Moore'a osiągnęło granicę i tak już pozostanie. Ale nawet gdyby okazało się inaczej – niczego to nie zmienia. Olbrzymia szybkość komputera nie wiąże się z powstaniem świadomości ani możliwością wgrania do niego własnej. W ogóle z filozoficznego punktu widzenia dziwnym jest mówienie o przenoszeniu świadomości do maszyny, bo to oznacza, że jesteś materialistą, a twój umysł może zostać kompletnie oddzielony od ciała.

Świat się zmienia, a wraz z nim sztuczna inteligencja. To od niej w dużej mierze uzależniony jest dalszy rozwój społeczny, z czego ludzie zwykle nie zdają sobie sprawy.

Jakbyśmy nie mieli fenomenologii i nigdy nie odkryli inteligencji ciała. Jakby te dwie rzeczy mogły być zupełnie rozdzielne.

Dokładnie. Pojawia się też argument, że maszyny same się uczą, a wiedza zdobywana w ten sposób jest o wiele wydajniejsza niż nasza. Owszem, maszyny będą mądrzejsze od nas. Nawet bez świadomości będą podejmować lepsze decyzje – dlatego przekażemy im władzę i odpowiedzialność.

Thomas Kuhn stworzył pojęcie „zmiany paradygmatu". W historii odkryć oznaczało to świadomość wydarzającej się rewolucji, wywracającej dotychczasowe koncepcje i pojęcia. Zdaję sobie sprawę z mocy technik maszynowych, ale znam również ich ograniczenia. Maszyny z pewnością same nie doprowadzą do zmiany paradygmatu. Ale współpraca w wielu dziedzinach jest możliwa – choćby w biologii czy fizyce sztuczne czynniki mogą odegrać niezwykle istotną rolę. W naukach humanistycznych czy kulturoznawstwie również. Sam współpracuję z literaturoznawcami nad budową nowego narzędzia interpretacyjnego do rozumienia tradycyjnej literatury.

A co Pan sądzi o uczeniu głębokim? Czy zanim zaimplementujemy te technologie, powinniśmy się zastanowić, jak uczynić je bardziej przejrzystymi, aby uniknąć zagrożenia?

Uczenie głębokie to bardzo potężna technika i brakuje nam semantyki na jej opisanie. Zwyczajnie nie wiemy jeszcze, jak dokładnie działa. Nie istnieje teoria uczenia głębokiego, co z naukowego punktu widzenia jest problematyczne. To zabawne, bo historia sieci neuronowych jest bardzo długa. Pierwsze ich modele zbudowano już w 1943 r. To było niezwykle trudne przedsięwzięcie. Okazało się, że przy sieci trójwarstwowej można uzyskać dowolną, w pełni sprawną konfigurację – model był uniwersalny. Ale konfiguracja takiej sieci jest bardzo trudna.

Ostatecznie uczenie głębokie okazało się bardzo praktyczne, więc fakt, że nie mamy żadnej teorii na temat jego działania, jest tym bardziej frapujący. Wyniki statystyczne pokazują, że techniki głębokiego uczenia radzą sobie z ogromnymi ilościami przykładów, i to z bardzo dobrymi rezultatami, co liczy się zwłaszcza przy nauce rozpoznawania obrazów czy głosu. To niezmiernie wydajna technologia, ale nie rozwiązuje wszystkich problemów i nie zaspokaja każdej potrzeby.

Czyli to nie czarodziejska różdżka.

Nie, czasem potrzebujemy uczenia nienadzorowanego do wygenerowania nowych koncepcji.

Poza tym trzeba wiedzieć dokładnie, jak konkretny przykład ma się do danych wyjściowych programu. Czasem nie jest to problem, ale w przypadku rozpoznawania twarzy już tak. Maszyna rozpozna Johna albo Aleksandra i nie możemy jej powiedzieć, że nie ma racji tylko dlatego, że nie wiemy, jak ona działa. Program może nam pomóc i jeśli statystycznie patrząc dobrze sobie radzi – to świetnie, jeśli nie, to pojawia się kłopot.

Natomiast w innych zastosowaniach konieczne jest szersze uzasadnienie wyniku. Weźmy przykład współpracy z firmą bankową, która chciała wykorzystać technologię sztucznych agentów do uproszczenia procesu udzielania kredytów. Maszyna służy tylko do wyliczania punktacji, na podstawie której stwierdza się zdolność kredytową. „Uzyskał pan 0,6, a potrzebne jest 0,7" – to się nie sprawdzi, bo klient będzie chciał znać konkretne powody, dla których bank nie chce mu dać pożyczki.

To przypomina chiński projekt punktowej oceny obywateli. Jest przerażający, bo nie wiadomo dokładnie, za co przyznawane są punkty, a kryteriów może być wiele. Podejrzewam, że system opiera się na głębokim uczeniu.

Dokładnie! I będzie to kwestia problematyczna dla przyszłości naszego społeczeństwa opartego na idei demokracji. Bez jawnych kryteriów to istny koszmar. Wyobraźmy sobie przyszłość, w której Facebook zacznie zamykać konta użytkownikom bez podawania przyczyny!

To straszna wizja!

Okropna! Ważne więc, by w przyszłości zadbać o uzasadnienia i umożliwić ludziom zgłoszenie sprzeciwu. Jeszcze przez wiele lat będziemy musieli korzystać z technik uczenia, które będą musiały uzasadniać rezultaty. Tym zajmujemy się na polu inteligentnych agentów, na tym etapie jesteśmy.

Ma Pan na myśli koncepcję tzw. wyjaśnialnej sztucznej inteligencji (XAI)?

Tak. Moim zdaniem w przyszłości to będzie niezwykle ważny aspekt. Nie jest konieczny do wszystkich zastosowań sztucznej inteligencji, ale w przypadku niektórych jest kluczowy.

Wspomnieliśmy już wiele zagrożeń i negatywnych scenariuszy. Chiński projekt oceny obywateli nie jest najlepszym przykładem społecznej przydatności AI, ale na zakończenie chciałam zapytać o największe zagrożenia oraz nadzieje związane ze sztuczną inteligencją.

Największe zagrożenie wynika z tego, że wraz z AI zmienia się społeczeństwo. Ewoluuje też pojęcie polityki. I to nie jest związane wyłącznie ze sztucznymi agentami. Działanie demokracji jest przedłużeniem państwa i terytorium. Dziś terytoria są penetrowane technologiami cyfrowymi, co stanowi znaczne utrudnienie. W rezultacie mogą pojawić się aktorzy niezależni od państwa. Może to mieć pozytywne skutki, ale może również być niebezpieczne, bo osłabia państwo, a aktorzy, którzy nie zostali wybrani przez społeczeństwo, są całkowicie niezależni i mogą robić, co tylko zechcą.

Weźmy Amazon – to coś strasznego! Mają dużo władzy i jeżeli chcą na przykład wykupić jakąś firmę, mogą wywierać odpowiednie naciski, bo mają odpowiednie środki. To chyba dobra ilustracja prawdziwego zagrożenia w przyszłości. Sztucznych agentów można zastosować do najróżniejszych celów, czasem koszmarnych. Zobaczymy, jak Chinom pójdzie z technologią rozpoznawania wizerunku. Ale te negatywne scenariusze wcale nie są już ustalone.

Wszystko zależy od nas. Swój optymizm uzależniam od tego, czy będziemy w stanie zrozumieć zarówno pozytywne, jak i negatywne aspekty nowych technologii. Jedne i drugie wynikają z samej natury informacji. Jeśli ludzie się z czymś nie zgadzają, wszystko się zmienia. I taka zmiana może nastąpić bardzo szybko. Myślę, że to właśnie nas czeka. Jeśli ludzie będą świadomi złych praktyk, firmy będą zmuszone do ich porzucenia.

Bywa też tak, jak w przypadku Facebooka – potęga pieniędzy i danych jest ogromna, co uodparnia na nasze niezadowolenie. Weźmy choćby rozwój nowej marki, czyli Instagrama – medium pozornie wolnego od grzechów ojca-giganta.

Zgadzam się. Dlatego od lat poszukuję narzędzi wywodzących się z filozofii politycznej, które mogą pomóc nam zrozumieć nową rzeczywistość. Dobrym przykładem jest pojęcie nadzoru. Może się pani z nim spotkała?

Uważam, że jest pożyteczne.

Zwłaszcza w nauce. Jestem przekonany, że z pomocą sztucznych agentów możliwe będą nowe odkrycia. Ale to nie znaczy, że nastąpią automatycznie. Potrzebujemy partnerstwa człowieka i maszyny. Dawno temu rozmawiałem we Francji z lekarzem, wiekowym i poważanym. Powiedział mi, że owszem, to by było bardzo interesujące, bo wszyscy naukowcy korzystają z tego samego dogmatu, rodzaju dominującej koncepcji. A maszyny byłyby od tego wolne i mogłyby uczyć się bez odgórnie przyjętych założeń czy uprzedzeń. Byłem wtedy bardzo młody i próbowałem mu wyjaśnić, że to bardziej złożone zagadnienie. Maszyny też mają dogmaty, bo kiedy podaje się maszynie przykład, otrzymuje ona konkretne przedstawienie.

Czyli człowiek przenosi własne dogmaty na maszynę? W końcu wszystkie dane to ludzkie dane.

Nawet w obecności dogmatu maszyna może pomóc w generowaniu nowych teorii. W relacji człowieka z maszyną rolą tego pierwszego jest nie tyle wymyślanie hipotez, co nowych pól ich tworzenia, które maszyny mogą potem zgłębiać. To ogromny przełom, który zawdzięczamy sztucznym agentom. W medycynie, fizyce i innych naukach wydarza się właśnie rewolucja, ale wiele osób, zwłaszcza w dziedzinie big data, zachowuje się naiwnie. Myślą, że wystarczą dane – bez modelu, bez teorii – żeby wygenerować rezultat wyjściowy. Teoria jest niezbędna właśnie dlatego, że nawet bez niej potrafimy osiągnąć tak wiele.

© Rozmawiała
ALEKSANDRA PRZEGALIŃSKA

MAT. PRASOWE CNK

JEAN-GABRIEL GANASCIA *jest profesorem z Sorbony, kieruje jednym z zespołów w LIP6 (centrum badawczym, zajmującym się nauką o danych i sztucznej inteligencji).*

▪ Na festiwalu Przemiany wygłosi wykład „Etyka autonomicznych agentów" (15 września, godz. 18.00).

FESTIWAL PRZEMIANY – CYWILIZACJA ALGORYTMÓW

Już nie tylko ludzie kształtują przyszłość. W coraz większym stopniu przekazujemy tę moc samodzielnym maszynom i inteligentnym kodom.
Nasza cywilizacja stworzyła algorytmy. A jaką cywilizację stworzą one?

Przyjdź na festiwal Przemiany i zobacz, jak sztuczna inteligencja zmienia świat!

13–16 września, Centrum Nauki Kopernik. Rozmowy, wystawa, wykłady, warsztaty, filmy, koncerty

festiwalprzemiany.pl

KULTURA

ŚMIECHEM W MROK

ZADIE SMITH, PISARKA:

Wartości, którymi żyjemy na co dzień, nie są przedwieczne. Ktoś je wymyślił najwyżej kilka dekad temu. Tak jest przecież z odradzającym się teraz w Polsce nacjonalizmem.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Właśnie ukazał się w Polsce tom Pani esejów i felietonów „Widzi mi się". Sporo w nim o literaturze i sztuce, ale pojawia się też wielka polityka, historia czy kwestie społeczne. Co daje pisarzom prawo do wydawania sądów o świecie?

ZADIE SMITH: Dobre pytanie... Staram się jak najrzadziej pisać o polityce czy innych „dużych" tematach. Bardziej interesują mnie rzeczy lokalne – na przykład przyszłość biblioteki w mojej dzielnicy.

Jednak jeden z pierwszych tekstów w tomie dotyczy brexitu.

Tak, ale także w nim starałam się zachować osobistą perspektywę, choć to faktycznie marne usprawiedliwienie.

Ale ja uważam, że pisarze powinni jak najczęściej komentować bieżącą rzeczywistość!

Ale nie powinni zabierać głosu, jeśli nie mają odpowiednich kwalifikacji czy wykształcenia. Sama znajomość brytyjskiej literatury, jak w moim przypadku, z pewnością nie czyni mnie ekspertem od polityki.

To chyba przesada.

Tekst o brexicie powstał tylko dlatego, że poprosił mnie o niego Robert Silvers, niedawno zmarły redaktor „The New York Review of Books". W pierwszej chwili chciałam odmówić, bo nie czułam się kompetentna. Ale potem pomyślałam, że mogę przyjrzeć się emocjom, którymi kierowały się obie strony sporu. Jeżeli mam coś do powiedzenia o polityce, to dlatego, że światem rządzą dziś niemal wyłącznie emocje, a na nich akurat trochę się znam.

Zadie Smith na Międzynarodowym Festiwalu Książki w Edynburgu, 2002 r.

GERAINT LEWIS / WRITER PICTURES / FORUM

Pisarze znają się na języku, to chyba też przydatna umiejętność.

Owszem, o ile ma się odpowiednie przygotowanie. Bywa też, że przeceniamy tę zdolność. Świat nie składa się wyłącznie ze słów i idei.

W tekście o brexicie próbuje Pani zrozumieć, dlaczego dwie grupy społeczne nie tylko przestały się rozumieć, ale również komunikować. To problem aktualny także w Polsce.

Każdy populizm bazuje na prostym komunikacie: „tylko my powiemy wam, jak naprawdę jest". Prawicowi populiści biorą siłę z tej pozorowanej odwagi, której rzekomo nikt inny nie posiada. Ale istnieje oczywiście również lewicowy populizm, który bierze się z niestabilnej sytuacji w służbie zdrowia czy systemie edukacji. To wszystko rodzi niewypowiedziane lęki, które potem inni cynicznie wykorzystują.

Lewica przestała traktować emocje poważnie, a to duży błąd. Brak tej perspektywy paraliżuje wszelkie działania, bo jeśli zostawimy ludzi samych ze swoimi emocjami, sytuacja będzie się wyłącznie pogarszać.

Dlaczego?

Emocje często bywają wstydliwe. Czujemy coś, mimo że wiemy, że nie powinniśmy. Sama często tego doświadczam. W mojej okolicy znajduje się szkoła muzułmańska. Gdy przechodzę w jej pobliżu, czuję się obco, czasem nawet budzi się we mnie złość, bo nie zgadzam się z wieloma elementami tej kultury. Ale samo takie poczucie nie sprawia, że mam rację, ani tym bardziej nie daje mi prawa do pouczania innych.

Dlatego tak ważne jest, aby nauczyć się rozpoznawać emocje – zarówno w sobie, jak i u innych. Alternatywą jest wyłącznie katastrofa.

Polityka chyba zawsze opierała się na emocjach.

Używała ich, ale nigdy na taką skalę jak dziś. Teraz emocje są jedynym i rozstrzygającym argumentem w każdym sporze. Dlatego ich ignorowanie to samobójcza strategia. Trzeba o nich mówić, bo jeśli coś krąży już w debacie publicznej, jest mniej groźne, bo nazwane.

Każda z Pani powieści to w zasadzie laboratorium socjologiczne. Czy któryś z ich bohaterów zagłosowałby za brexitem?

Nie zdziwiłabym się. To smutne, ale często wśród imigrantów, szczególnie w drugim pokoleniu, pojawia się silna niechęć do obcych. Zabiera się innym drabinę, po której samemu się weszło. Jestem w stanie to zrozumieć, co oczywiście nie oznacza, że się z nimi zgadzam. To bardzo naturalny, wręcz atawistyczny odruch. Chcemy otaczać się ludźmi podobnymi do nas, więc odrzucamy innych. ↦

↦ **Atawizmy nie powinny kształtować mechanizmów społecznych...**

Oczywiście! Naturalne nie oznacza, że słuszne. Dżuma jest czymś naturalnym, ale szczepimy się na nią. Człowieczeństwo w dużej mierze polega na ingerowaniu i zmienianiu tego, co w nas naturalne. Ale znowu – mamy szanse rozwiązać problem jedynie, jeśli wcześniej poprawnie go zidentyfikujemy.

W „Widzi mi się" dużo miejsca poświęca Pani innemu zjawisku – nostalgii.

Siła nostalgii jest zniewalająca, sama często jej ulegam. Szczególnie w Londynie, który dla mnie cały jest nią przesiąknięty.

Dlaczego?

Bo tęsknię za miastem, w którym dorastałam, ale ono bezpowrotnie odeszło w niepamięć wraz z końcem lat 80.

Jak radzić sobie z tym demonem?

Na pewno pierwszym krokiem jest samoświadomość. Jeśli zrozumiemy ten mechanizm, łatwiej stawimy mu opór.

Warto też zawsze przywołać szerszą perspektywę historyczną. W przypadku Wielkiej Brytanii każda epoka była przesiąknięta nostalgią. Myślę, że nawet w XIV wieku tęskniono za XIII. Nostalgia to uniwersalny mechanizm każdej kultury, jednak Anglicy doprowadzili go do perfekcji. Żeby przełamać to błędne koło, trzeba sobie uświadomić, że nie każda zmiana musi być na gorsze...

...ale to chyba oczywiste?

Nie dla każdego, a już na pewno nie dla przeciętnego Brytyjczyka. Abstrahując jednak od mojej ojczyzny – należy na każdym kroku przypominać, że tożsamość narodowa, którą tak w sobie cenimy, zawsze jest kreacją, do tego stworzoną wcale nie tak dawno temu.

Czytałam ostatnio świetny tekst o Charlesie de Gaulle'u – twórcy nowoczesnego państwa francuskiego. I nie chodzi tylko o instytucje publiczne czy gospodarkę, ale przede wszystkim o warstwę mitologiczną. Wartości, którymi żyjemy na co dzień, nie są przedwieczne – ktoś wymyślił je najwyżej kilka dekad temu. Identycznie jest przecież z odradzającym się teraz w Polsce nacjonalizmem.

Trudno porównać de Gaulle'a do Kaczyńskiego...

Nie chodzi o to, żeby ich porównywać. Pewne idee krążą w powietrzu i nie wiemy, w jaki sposób zostaną wykorzystane. De Gaulle był bardzo konserwatywnym i reakcyjnym politykiem, ale jego pomysły ostatecznie zostały wykorzystane do wzmocnienia instytucji liberalnego państwa demokratycznego. To dobrze pokazuje, że oś sporu wcale nie musi przebiegać po linii lewica–prawica, może istnieć liberalny i pozbawiony nacjonalistycznych naleciałości patriotyzm. To daje nadzieję, że nie jesteśmy skazani na toczenie w kółko tego samego, jałowego sporu.

W „Swing time" ryzyko wpadnięcia w nostalgiczną pułapkę było olbrzymie, jednak udało się jej uniknąć.

Poświęciłam dużo czasu na analizę własnej przeszłości, próbując ustalić, które elementy budzą we mnie największą nostalgię, bo tylko tak mogłam je rozbroić. Wyszło mi, że brytyjska merytokracja lat 80. i 90.

Dlaczego?

Bo byłam, podobnie jak inne dzieci imigrantów z mojego pokolenia, jej bezpośrednią beneficjentką. Dominowała wtedy opowieść o ludziach wywodzących się z klasy robotniczej, którzy dzięki pracowitości i zaradności mogą osiągnąć wszystko. Przez lata pielęgnowałam w sobie tę narrację, bo była bardzo budująca. Ale czy na pewno prawdziwa? Z wiekiem mam coraz więcej wątpliwości. Jestem podejrzliwa – może to mnie chroni przed chorobliwą nostalgią. Mnie się faktycznie udało, ale wielu moim rówieśnikom nie. Czy to wyłącznie ich wina, czy może raczej tamten system wcale nie był tak idealny?

Trzeba było mieć trochę szczęścia?

A czy to, że mamy taką a nie inną inteligencję, nie wynika z loterii genowej? Podobnie zresztą każdy inny talent. Oczywiście, że różnimy się między sobą, ale mechanizmy społeczne powinny chronić najsłabszych. Z drugiej strony – czy te różnice między nami naprawdę mają takie znaczenie, jakie im zazwyczaj przypisujemy? Mój syn jest świetny z matematyki, ja ledwo umiem dodawać. Ale co konkretnie miałoby z tego wynikać?

Dobrze to widać w losach bohaterek „Swing time".

Pisałam tę powieść będąc już matką, a to mocno zmienia perspektywę. Moje dzieci bardzo różnią się między sobą, są też inne ode mnie. Ale co z tego? Może jedno zostanie mechanikiem, drugie profesorem – każdy z nich ma takie samo prawo zarówno do dobrej opieki medycznej, jak też do spełnionego i szczęśliwego życia w ogóle. Podobnie jest ze szkołami. David Cameron otrzymał najlepsze możliwe w tym kraju wykształcenie, ale wcale nie uczyniło go to dobrym przywódcą. Nie mówiąc już o Borisie Johnsonie i jemu podobnych.

Wspominałaś o szczęściu – nie ma go za wiele w „Swing time".

Piszę jedynie o tym, co widzę dookoła. Niewielu znam ludzi, o których powiedziałabym, że są bezwarunkowo i w pełni szczęśliwi. Racjonalną, a przez to bardziej pożądaną kategorią byłoby „przyzwoite życie". Chyba mało kto liczy na niezmącone szczęście, sukcesem jest egzystencja pozbawiona rozpaczy.

W jednym z tekstów w „Widzi mi się" zżyma się Pani na krytyków, którzy piszą, że od czasu „Białych zębów" Pani proza robiła się coraz bardziej ponura. Ciężko jednak nie zauważyć różnicy.

„Białe zęby" pisałam będąc bardzo młoda – to oczywiste, że z wiekiem zmienia się perspektywa.

„Swing time" opowiada o rozczarowaniu i porzucaniu młodzieńczej naiwności?

W pewnym sensie. Odkrywanie drastycznie zawężających się perspektyw w życiu to bardzo depresyjne doświadczenie.

Wszystkie bohaterki tej powieści spotyka rozczarowanie. Choćby Hawa – Gambijka, która porzuca marzenie o byciu silną i niezależną kobietą w typie zachodnim i zostaje ortodoksyjną muzułmanką.

„Niezależna kobieta", „ortodoksyjna muzułmanka" – te pojęcia znaczą w Gambii coś zupełnie innego niż przy tym stole w sopockiej kawiarni. To chyba najcenniejsza wiedza, jaką zyskałam podróżując po świecie. Nie istnieje coś takiego jak uniwersalne ludzkie doświadczenie, bo zawsze należy rozpatrywać je w lokalnym kontekście. To jedna z głównych bolączek anglosaskiej polityki – wszystkim wydaje się, że „muzułmanin" znaczy to

samo w Gambii, w Pakistanie i w Bośni, a to przecież absurd.

Lokalny kontekst ma zawsze nieporównywalnie większe znaczenie niż abstrakcyjne ideologie. Tę nieprzystawalność języka europejskiej polityki genialnie widać w powieści „Spokojny Amerykanin" Grahama Greene'a. Bohaterowie mówią tam o „fali komunizmu" zalewającej Indochiny, podczas gdy na miejscu ludzie po prostu umierają w błocie z głodu, niewiele troszcząc się o europejskie idee. To samo dzieje się dziś w Iraku i Afganistanie.

Czyli żyjemy w różnych galaktykach i nawet o tym nie wiemy.

Spotkałam w Gambii młodych ludzi, którzy święcie wierzyli, że masoni rządzą światem. Spytałam ich, czemu tak sądzą. Odpowiedzieli, że przeczytali o tym w internecie. Zachodni świat przeżywa różne niepokoje związane z rozwojem nowych mediów – choćby głośne ostatnio fake newsy – ale nie zdajemy sobie sprawy z globalnej skali problemu. W Afryce zachodniej Facebook jest naprawdę jedynym źródłem informacji dla milionów ludzi, kształtuje więc bezpośrednio ich rzeczywistość. To brzmi niewiarygodnie, ale zdarzają się polowania na czarownice z sąsiedniej wsi, które organizowane są przez media społecznościowe. Technologia ta sama, ale rzeczywistość ma niewiele wspólnego z naszą.

Brzmi to przerażająco.

Bywa też zabawnie. Znajoma z Gambii pokazała mi zdjęcie bardzo grubego Amerykanina, które znalazła w sieci. Za nic nie chciała mi uwierzyć, że jest prawdziwe. Jej zdaniem to musiał być fotomontaż, bo ludzie nie mogą ważyć 180 kg. Żyjemy w różnych światach, dlatego nie możemy wysnuwać teorii o miejscach, których w ogóle nie rozumiemy.

Czyli cały słownik, którym próbujemy opisać świat, należy wyrzucić do kosza?

Nie ma co popadać w skrajności. Wkurza mnie jednak strasznie, gdy jacyś amerykańscy albo brytyjscy intelektualiści budują teorie na temat „wyznawców islamu". Nie można stworzyć sensownej teorii na temat miliarda ludzi żyjących w najróżniejszych zakątkach świata. Weźmy choćby Gambię, gdzie islam jest w niezwykły sposób wymieszany z lokalnym szamanizmem, a największym świętem w roku jest... Boże Narodzenie, choć 99 procent mieszkańców kraju to muzułmanie. A to tylko jeden z milionów przykładów.

Facebook jest jedynym źródłem informacji dla milionów ludzi. W Afryce zachodniej zdarzają się polowania na czarownice z sąsiedniej wsi, organizowane przez media społecznościowe.

Jest Pani znaną przeciwniczką smartfonów i mediów społecznościowych. To systemowa antynowoczesność?

Nie stawiałabym sprawy w ten sposób. Nie zażywam heroiny, jednak nie czyni mnie to maniaczką zdrowego trybu życia. Nie lubię skrajności: piję alkohol, palę papierosy, a internetu używam do różnych rzeczy. Po prostu nie widzę powodu, żeby zaglądać w telefon co dwie minuty. To nie jest żaden heroizm. Jestem pewna, że wkrótce wiele osób to zrozumie i dojdzie do podobnych wniosków.

Pani bohaterzy często nudzą się w staroświecki sposób, bardzo to lubię.

Bo fajnie jest się nudzić.

Ludzie ze smartfonami już się nie nudzą?

Nudzą, ale w inny, bardziej przerażający i mroczny sposób. Pokładam duże nadzieje w nowym pokoleniu, które najprawdopodobniej będzie świadomiej i ostrożniej korzystać z tych technologii. Czeka nas rewolucja.

Aż tak?

Wszyscy powyżej czterdziestki są już raczej straceni. Ale młodsi... Proszę sobie wyobrazić, że jest pan teraz dzieckiem i pana mama cały czas siedzi z nosem w telefonie, więc musi pan walczyć o jej uwagę. To musi pozostawić ślad.

Skoro mówimy już o doświadczeniach pokoleniowych – w jednym z esejów pisze Pani o „Buddzie z przedmieścia" Hanifa Kureishiego. On pisze z humorem, często obscenicznym, o wszystkim: seksie, polityce, religii... Tak było w 1995 r. Ćwierć wieku później to nie do pomyślenia.

Konsekwencje każdego fundamentalizmu są poważne i groźne, ale założenia, na których się opierają, zawsze są absurdalne, a więc śmieszne. Kureishi potrafił to rozróżnić, a dziś mamy z tym poważny problem. Weźmy strzelaniny w amerykańskich szkołach – ich efekt jest przerażający, ale przyczyny absurdalne. Nastolatek rozpacza, bo rzuciła go dziewczyna – gdyby nie śmierć 50 osób, śmialibyśmy się z tego. Powinniśmy na nowo nauczyć się przykładać odpowiednią wagę do przyczyn i skutków.

Mamy w sobie za dużo powagi?

Nie o to mi chodzi. Weźmy inny przykład, który opisuje Åsne Seierstad w książce „Dwie siostry". Tytułowe bohaterki, nastoletnie Norweżki, dołączają do ISIS. Automatycznie wyobrażamy sobie przyczyny takiej decyzji – ideologiczne zaślepienie, nienawiść, gniew... Prawda jest jednak taka, że były, jak to nastolatki, zwyczajnie znudzone swoim życiem. To nie mieści nam się w głowie – decydujesz się dołączyć do organizacji, która zabija ludzi, bo jesteś znudzona? To niemożliwe, musi być poważniejszy powód. Przeraża nas to, że może go nie być.

Pragniemy, żeby rzeczywistość miała głębszy sens.

A w istocie jest chaotyczna i banalna. Nie możemy o tym zapominać. To błąd, który popełnił prezydent Bush, a teraz kopiuje go Trump, gdy mówi o islamskim fundamentalizmie jak o wewnętrznie spójnej ideologii.

Powinniśmy więcej się śmiać?

Tak, bo to jedyny sposób na gęstniejący dookoła mrok.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Rozmowa odbyła się podczas tegorocznej edycji festiwalu Literacki Sopot.

ZADIE SMITH *(ur. 1975) jest brytyjską pisarką, autorką powieści „Białe zęby" (2000), „Łowca autografów" (2002), „O pięknie" (2005) i „Swing time" (2016). Właśnie ukazał się jej zbiór esejów i felietonów „Widzi mi się" (Znak 2018).*

Kopiariusz Giedroycia

STANISŁAW MANCEWICZ

O jego bukareszteńskich czasach wiedzieliśmy, jak nam się wydawało, wszystko. Tymczasem w Archiwum Instytutu Literackiego leżał sobie zwykły zeszyt z niezwykłymi atrakcjami.

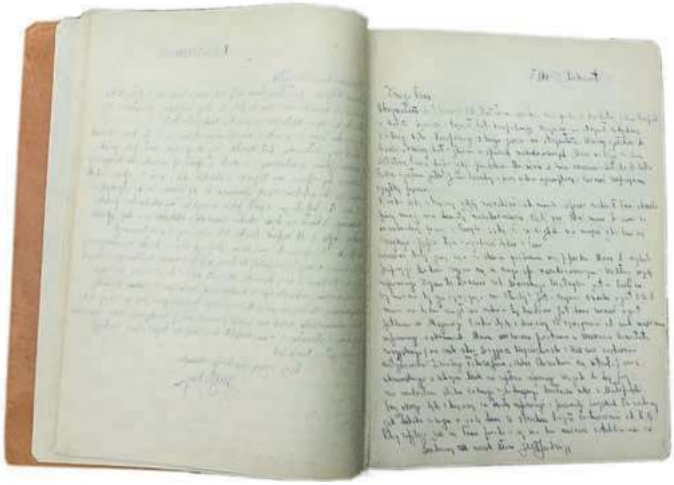

ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU

„Kopiariusz" – zeszyt z listami Jerzego Giedroycia, archiwum korespondencji z Bukaresztu z lat 1939–40

Po ponad roku odcyfrowywania niemal niewidocznego pisma i próbach rozwiązania dziesiątek zagadek, po przeszukaniu lafickiego archiwum, ale i cudzych magazynów z różnościami, udało nam się umieścić w wirtualnej przestrzeni, w portalu www.kulturaparyska.com nieznany zbiór osiemdziesięciu sześciu listów Jerzego Giedroycia, pisanych w Bukareszcie w latach 1939-40.

Giedroyć (pozostaniemy przy tej formie jego nazwiska, z „ć", w tym czasie jeszcze jej używał) do Rumunii trafił wraz z falą uchodźców we wrześniu 1939 r. i niemal natychmiast objął stanowisko nieformalnego sekretarza ambasadora RP Rogera Raczyńskiego, z którym przyjaźnił się od wielu lat. Z jego własnych wspomnień, ale i z badań jego biografów na temat czasów bukareszteńskich wiedzieliśmy – jak nam się wydawało – wszystko. Czym się zajmował, jakie miał pomysły i kłopoty, jak mniej więcej biegło jego życie prywatne (o tym akurat, jak zwykle w jego przypadku – najmniej). Wydawało się zatem, że nic tu już dodać się nie da, że można najwyżej gdzieś wydłubać jakiś uzupełniający detal. Okazało się, jak zwykle, że najciemniej pod latarnią, a w Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu leży sobie zwykły zeszyt z niezwykłymi atrakcjami.

Tajemnice notesu

Zeszyt z rumuńskim napisem na okładce (*scrisori* – znaczy po prostu notes) zawiera 41 zapisanych kartek i drugie tyle luzem. Wszystkich: i zawodowych badaczy dziejów Instytutu Literackiego, i archiwistów, i zwykłych ciekawskich (których przyjmujemy z otwartymi ramionami) zniechęcała technologia, w której ów rękopis powstał, no i jego stan. Oto Giedroyć swym niezbyt czytelnym charakterem pisma, posługując się bodaj ołówkiem, pisał swe listy przez kalkę, co siłą rzeczy obniżało czytelność. Do tego dodać trzeba blisko 80 lat żółknięcia papieru i płowienia tekstu oraz skutki przeprowadzek, by niektóre fragmenty były nie do odczytania, bez względu na stosowane przez nas sztuczki.

A zatem Jerzy Giedroyć pisał list, oryginał wyrywał i wysyłał, a kopia mu zostawała w zeszycie nazwanym przez bibliotekarzy porządkujących nasze archiwa „Kopiariuszem". Nawiasem mówiąc, kopie wszystkiego, co Redaktor napisał do kogokolwiek, zostawiał sobie zawsze, przez kilkadziesiąt lat i kilkadziesiąt tysięcy listów, tyle że później, po wojnie, pisał na szczęście na maszynie.

Na fali braku entuzjazmu wobec naszych propozycji składanych różnym badaczom, by sobie ten zeszycik przeczytali, postanowiliśmy rzecz odcyfrować sami. Wzięła to na siebie wiceszefowa Instytutu Literackiego Anna Bernhardt i w tak zwanych wolnych chwilach (nie ma takich) listy odczytała i spisała. Można powiedzieć, że odczytała je niemal w stu procentach. I to był oczywiście początek, a nie koniec problemów.

Nie wiedzieliśmy, do kogo Giedroyć pisał. Z prostego powodu: listy nie miały nagłówków z imieniem i nazwiskiem ani z adresem. Były głównie zatytułowane albo per „Kochany", co znaczyło zaledwie, że adresat był kolegą, albo np. „Panie Majorze", albo np. „Bolku", co mogło nas skierować do dowolnego Bolesława, albo „Ciociu", co było o tyle niejasne, że cioć Redaktor miał wiele. Oczywiście wiedzieliśmy, do kogo słał listy zatytułowane: „Mamo". Acha, nie mieliśmy takoż wątpliwości, do kogo zwraca się per „Żabiszonie" – do przyjaciela, Norberta Żaby, naonczas będącego czułką Giedroycia w Finlandii, potem w Szwecji, donoszącego do Bukaresztu m.in. o sytuacji na froncie fińskim, wiernego współpracownika do końca życia.

Listy w znacznej części mają na szczęście daty, powstały pomiędzy 27 października 1939 a 6 września 1940, czyli opisują bez mała rok, pierwszy po katastrofie, co było arcyciekawe z psychologicznego punktu widzenia. Lektura uświadomiła nam (po raz tysięczny), jak niezwykle był to energiczny, decyzyjny i pełen pomysłów człowiek, zaiste nieupadający na duchu nawet wobec absolutnego trzęsienia ziemi, jakim były klęska wrześniowa, rozpad dawnych struktur państwa i rodzenie się ich na uchodźstwie. Harował od świtu do późnej nocy, na różnych frontach. Trzeba też zważyć, że w Bukareszcie na jego głowie było utrzymanie żony i opieka nad Henrykiem – młodszym bratem, wtedy tuż przed maturą, któremu musiał zastąpić rodziców, choć jako człowiek bezdzietny nadawał się do tego średnio.

Nieznana karta

Zanim zaczęliśmy ustalać, kto jest kto (panów majorów armia miała jednak sporo), ustaliliśmy fakty według nas bezsporne. Z treści wielu listów zorientowaliśmy się, że Giedroyć, prócz znanej nam pracy

ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU

Jerzy Giedroyć, Bernard Singer, Ludwika Ciechanowiecka i Ksawery Pruszyński, maj 1939 r. Wkrótce Singer i Pruszyński będą adresatami listów wojennych Giedroycia.

w ambasadzie, robił coś jeszcze. Otóż był – jakżeby inaczej – redaktorem. Dość nas ta konstatacja onieśmieliła, bowiem nigdzie, w żadnej dotychczas opublikowanej pracy na temat Giedroyciowego epizodu w Rumunii takiej informacji nie ma. Jak jednak wytłumaczyć dziesiątki zamówień i próśb o teksty, rozsyłane po całym świecie, jeśli nie funkcją redaktorską?

Co więcej, wspomina on w listach, że „wydaje", „robi" pismo o nazwie „Kurier Polski w Rumunii". Zawsze w pierwszej osobie – żadnych „wydajemy", „współpracuję". W tym sensie jest to klasyka korespondencji redaktorskiej, w jakże charakterystycznej dla Giedroycia formule: nie tylko suche zamówienie, ale niemal zawsze próba ogarnięcia sytuacji politycznej, przewidywania, spekulacje, warianty... słowem zestaw mający pomóc autorom w syntezie czy też skłonienie ich do szerszych i odważniejszych rozważań.

Argumenty przeciw są trzy. Po pierwsze, Giedroyć nie miał czasu na robienie gazety. Pracował w ambasadzie obsługującej tysiące uchodźców, mającej na głowie mnóstwo internowanych i organizującej przerzut żołnierzy do Francji. Ambasada opiekowała się też uwięzionymi członkami przedwrześniowego rządu, no i oczywiście ludzie tam zatrudnieni mieli mnóstwo zajęć związanych z intrygami, grą z Rumunami i reagowaniem na akcje wywiadu niemieckiego bądź sowieckiego. Po drugie, w stopce „Kuriera" nie ma jego nazwiska, a po trzecie, Giedroyć nigdy o tym po wojnie nie wspominał, nawet w kanonicznej „Autobiografii na cztery ręce", spisanej i opracowanej przez Krzysztofa Pomiana.

Żaden z tych argumentów nie jest oczywiście dowodem. Za dowód można chyba jednak uznać, że odnaleźliśmy w numerach bukareszteńskiego „Kuriera" sporo zamówionych przez Giedroycia tekstów i wiele śladów, że korzystał z nadsyłanych mu z Europy i Ameryki materiałów, wywiadów, depesz, fotografii itd.

Ukraińcy, Żydzi, „periodyk"

Giedroyć przed wojną był wielkim orędownikiem sprawy ukraińskiej, jego ówczesne inicjatywy są znane i nie miejsce, by je tu przypominać. W Bukareszcie organizuje więc konferencję z ukraińskimi politykami na emigracji, z różnych frakcji, by pogadać – jak to on – o tym, co dalej, a przede wszystkim co potem, czyli po wojnie. W listach jest na ten temat bardzo wiele. Spotyka się też z działaczami żydowskimi, którym udało się wydostać spod obu okupacji. Wątków „mniejszościowych" i przyszłościowych jest w „Kopiariuszu" dużo, czasem się rwą, bowiem wyraźnie brakuje nam jakiegoś listu.

Giedroyć cały czas szuka kontaktów, analizuje, melduje postępy, relacjonuje rozmowy często nierozpoznanym przez nas politykom rządu emigracyjnego we Francji, pisze do Szwajcarii, do Stanów, na tereny okupowane, do Skandynawii, wszędzie, gdzie może, gdzie kogokolwiek zna, a jak nie zna, prosi adresata, by go z tym kimś skontaktował. Charakterystyczne dla Redaktora są przeróżne próby mobilizacji adresatów. W jednym z listów, napisanym 9 grudnia 1939 r., a zaadresowanym do niewymienionego z nazwiska majora będącego w Paryżu i pracującego najwyraźniej w sztabie gen. Sosnkowskiego, pojawia się znamienne zdanie: „Koniecznością jest utworzenie ośrodka młodej myśli politycznej, który by tworzył nowe koncepcje ideowe (plan przyszłej Europy środk. sprawy socjalno-gospod.). Przecież w tej chwili – zgodzi się Pan ze mną, w ogóle myśli politycznej nie mamy. Sądzę, że najlepszą formą byłoby utworzenie periodyku ideowego. Załatwiłoby to jeszcze jeden problem, tj. ratowanie wybitniejszych jednostek twórczych – niezależnie od poglądów – gdyż trzeba sobie powiedzieć, że wojna obecna wygubia – jeśli nie wygubiła, zupełnie polską inteligencję, a nie wiadomo, co w kraju narośnie. Poza samym periodykiem trzeba będzie myśleć o wydawnictwach książkowych z tej dziedziny. Dlatego tak zanudzam Pana tymi sprawami, gdyż jestem przekonany, że tylko Generał [Sosnkowski – przypis mój] może się stać sztandarem i młodej inteligencji i młodej myśli". Trzeba przyznać, że brzmi to jak gotowy pomysł na Instytut Literacki i „Kulturę"...

Redaktor prywatny

Pośród listów, które nazwać można służbowymi, jest nieco korespondencji prywatnej, głównie do rodziców i ciotek. Rodzicom, których już nie zobaczy (zostali zamordowani w czasie powstania warszawskiego), organizuje pomoc. Śle pieniądze, lekarstwa, ubrania. Przy okazji oczywiście wydaje dyspozycje, prosi o odszukanie znajomych, o zaopiekowanie się jego skromnym majątkiem. Jest to zestaw dość przejmujący, zważywszy jak niewiele wiemy o życiu domowym czy emocjonalnym Giedroycia, które tak starannie maskował. Z listów tych widać, jak bardzo był czuły, delikatny i jak bardzo przeżywał rozstanie.

Chyba najbardziej przejmujący jest ostatni z zachowanych listów, z początku września 1940 r., wysłany prawdopodobnie do Jerzego Niezbrzyckiego (znanego też pod pseudonimem Ryszard Wraga), oficera wywiadu, specjalisty od Rosji Sowieckiej, z którym Giedroyć był wtedy w wielkiej przyjaźni. „Mój Drogi. Po raz pierwszy piszę do Ciebie naprawdę z ciężkim sercem. Wydawało mi się, że jestem już otrzaskany z miłymi stosunkami na emigracji i ze specyficzną atmosferą w Bukareszcie (nic się nie zmieniło od Twego wyjazdu, tylko podgniło i zostało podniesione do sześcianu), ale okazało się to młodzieńczym złudzeniem. Może wbrew ↦

↦ Twojej opinii, ale uważałem swoją pracę tu za pożyteczną i potrzebną. Z uporem maniaka próbowałem ratować w tym bagnie jakieś imponderabilia, przepychać rzeczy małe i duże, pomagać ludziom w kraju, ratować cenniejsze jednostki na emigracji, tępić – o ile mogłem – nadużycia rosnące jak grzyby po deszczu (z braku kontroli, partyjnictwa i emigracyjnej demoralizacji) (...) Znasz mnie dobrze, więc wierzysz chyba, że się nie pchałem, pensji nie brałem, nie żądałem auta z C.D. etc. (...). Ma się rozumieć musiałem sobie narobić wrogów i niechętnych czy tylko choćby zazdrosnych. Wytrzymałem już świetnie wszystkie plotki i złośliwości, gdy tymczasem powstał komplot [z fr. – spisek], który uderzył mnie można powiedzieć zdrowo, tak, że mimo iż już dwa dni mija – jeszcze się nie pozbierałem. (...) wytoczyli mi regularny proces".

Jest to początek afery, z którą Redaktor będzie się zmagał przez dziesięciolecia. W 1965 r. wyssane z palca zarzuty o nadużycia finansowe w czasie pracy w Bukareszcie wykorzysta Służba Bezpieczeństwa, wydając „na emigracji" paszkwil „Podwójne życie Jerzego Giedroycia".

To tylko garść wątków z „Kopiariusza". Uznaliśmy, że całość będzie trudno wydać w formie drukowanej. Choćby z powodu wielu zagadek, wciąż wymagających rozwiązania, a też pewnie pomyłek do sprostowania, bo jesteśmy w końcu tylko zakręconymi amatorami. Uznaliśmy, że najlepiej będzie rzecz umieścić w naszym portalu i – bez fałszywej skromności – uważamy, że był to dobry pomysł. Kompletowi oryginałów towarzyszy odczyt wyposażony w przypisy i indeks nazwisk z notkami biograficznymi oraz fura dodatków – zdjęcia, kontekstowo dobrane dokumenty z naszego archiwum, linki do artykułów, raportów, wspomnień, komplet „Kuriera Polskiego w Rumunii". Można korzystać z lupy, by sprawdzić, czy aby dobrze odcyfrowaliśmy pismo Giedroycia. Jest to wciąż „dzieło otwarte", Czytelnicy mogą nadsyłać poprawki i interpretacje, które będziemy nanosić w kolejnych „wydaniach" elektronicznych. Pomysł ten może pokazać drogę innym archiwom, jak prezentować rzeczy pozornie niedrukowalne.

„Kopiariusz" znajduje się tutaj: http://www.kulturaparyska.com/kopiariusz/index.html ©℗ STANISŁAW MANCEWICZ

Autor – felietonista „TP" – pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu.

Serialowa rewolucja nad Wisłą

JAKUB MAJMUREK

Po trzech odcinkach „Rojstu" wszystko wskazuje na to, że Janowi Holoubkowi udało się nakręcić film wciągający widza, dopracowany artystycznie i myślowo.

Ostatnie lata przyniosły wysyp świetnych debiutów w polskim kinie. Jagoda Szelc, Agnieszka Smoczyńska, Bartosz Kowalski czy Jan P. Matuszyński stworzyli filmy pozwalające z nadzieją i niecierpliwością czekać na ich następne prace. Do tej listy trzeba chyba dołączyć kolejne nazwisko: Jana Holoubka.

Holoubek, pracujący do tej pory głównie jako operator, nie zadebiutował pełnym metrażem. Dla cyfrowej platformy Showmax nakręcił autorski – sam wyreżyserował wszystkie odcinki, do których scenariusz napisał wspólnie z Kasprem Bajonem – pięcioodcinkowy serial „Rojst", czarny kryminał rozgrywający się w latach 80., między końcem stanu wojennego a początkiem przemian, w mieście średniej wielkości na Ziemiach Odzyskanych.

W polskiej prasie ostatnich lat regularnie ukazywały się teksty powtarzające frazę o serialu jako „domyślnej epickiej formie opowiadania świata", ale rodzima produkcja ciągle tkwiła w epoce, gdy telewizja słusznie uchodziła za coś gorszego i mniej poważnego od kina. Ogólnodostępne kanały stawiały na kręcone po kosztach telenowele i formaty, ambitniejsze próby podejmowane przez płatne telewizje („Pakt", „Wataha") także nie spełniały oczekiwań. Jedyną interesującą serialową produkcją ostatnich pięciu lat byli „Artyści" Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego. Choć i tam można się było zżymać na nierówny poziom i słabość naiwnego zakończenia. Po trzech odcinkach „Rojstu" wszystko wskazuje na to, że Holoubkowi udało się nakręcić serial wciągający widza, dopracowany artystycznie i myślowo. Serialowa rewolucja w końcu dociera nad Wisłę.

SHOWMAX / MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z serialu „Rojst”

Mentor-cynik i uczeń-idealista

Co buduje jakość „Rojstu”? Po pierwsze, scenariusz. Producentem kreatywnym serialu jest scenarzysta „Bogów” i „Sztuki kochania” Krzysztof Rak. W tym, jak zbudowany jest scenariusz „Rojstu”, znać jego rękę i szkołę myślenia o opowiadaniu. Każdy odcinek stanowi precyzyjną konstrukcję, odsłaniającą przy tym część większej narracyjnej całości. Kolejne epizody wprowadzają nas coraz głębiej w świat przedstawiony, a przy tym zostawiają z zagadką, na której rozwiązanie czekamy niecierpliwie przez następny tydzień.

Czasem – podobnie jak w „Bogach” – scenariuszowa konstrukcja jest wręcz zbyt doprecyzowana, tak bardzo trzyma się reguł sztuki, że przestaje być przeźroczysta, narzucając się widzowi ze swoimi zwrotami akcji, przemianami bohatera i innymi żelaznymi punktami z podręcznika scenopisarstwa. Jednak rzutując to na tło chorobliwie amorficznych scenariuszy, na jakich często pracuje się w polskim kinie i telewizji, trudno robić z tego wielki zarzut.

Po drugie, aktorstwo. Twórcy zebrali na planie aktorską czołówkę, jaka na ogół w serialach nie grywa. W główne role wcielają się Dawid Ogrodnik i Andrzej Seweryn. Choć nie grają ojca i syna, to dynamika relacji między ich postaciami – Piotrem Zarzyckim i Witoldem Wanyczem – przywodzi na myśl tę, jaka kształtowała się między dwójką głównych bohaterów „Ostatniej rodziny”.

Zarzycki to młody mężczyzna u progu zawodowej kariery. Wyjeżdża z ciężarną żoną z Krakowa, by uciec od wpływu ojca – lokalnej partyjnej szychy. Chce sam zrobić karierę bez pleców. Wierzy, że w mieście na Ziemiach Odzyskanych – gdzie każdy jest przyjezdny, a lokalne układziki słabsze – będzie miał więcej przestrzeni do działania i urządzenia sobie sensownie życia.

Podejmuje pracę w redakcji lokalnej gazety i dostaje biurko obok Wanycza. Widać, że ten drugi wiele w życiu przeszedł i skrywa niejedną tajemnicę. Wanycz wyraźnie marnuje się na prowincji, domyślamy się, że coś musiał przeskrobać, by tam trafić. Od początku wiadomo też, że chce uciec do Berlina Zachodniego – skupuje dolary i załatwia kolejne biurokratyczne formalności, by móc wyjechać.

Wanycz to zgorzkniały cynik o dobrym sercu, Zarzycki – młody, narwany idealista. Ta dwójka na samym początku ścina się ze sobą, z czasem jednak wykształca się między nimi relacja mentora i ucznia. Każdy z nich wikła się w dziennikarskie śledztwo, choć dla własnego dobra powinien je sobie odpuścić. Zarzycki drąży temat śmierci lokalnego działacza partyjnego i prostytutki zaszlachtowanych w podmiejskim lesie. Wanycz bada, co stało tak naprawdę za samobójczą śmiercią pary nastolatków.

Duchy przeszłości, duchy przyszłości

O sile „Rojstu” decyduje też jego wizualna forma. Nie było po ’89 roku drugiego polskiego serialu, gdzie każdy kadr, detal, kostium, element scenografii byłyby tak dopracowane i na miejscu. Polskie kino ostatniej dekady nauczyło się ponownie grać obrazem, detalem i gadżetem, Holoubek bardzo sprawnie przenosi to w format telewizyjno-internetowy.

Twórcy nie tyle pieczołowicie odtwarzają na ekranie prowincjonalną Polskę Ludową lat 80., co wykorzystują jej elementy dla stworzenia bardzo wyrazistej artystycznej wizji. Obrazy z epoki – niszczejące socmodernistyczne pawilony, zużyte małe i duże fiaty, blokowiska, bary, gdzie wódkę pije się setkami i zakąsza zimnymi nóżkami – tworzą obraz świata jednocześnie bliskiego i „kosmicznie” obcego, widmowego.

Olga Drenda w „Duchologii” pisała o przełomie lat 80. i 90. jako o erze „duchologicznej” – gdy obok siebie istniały jednocześnie schyłkowa komuna i kiełkujący kapitalizm. Gdy obie epoki nawiedzały teraźniejszość, jak wigilijne widma przyszłości i przeszłości dickensowskiego Scrooge’a. W „Rojście” w każdym kadrze widać, że stary komunistyczny porządek sypie się i trwa wyłącznie siłą bezwładu, przyzwyczajenia i lenistwa. Nowe jednak ciągle nie może się narodzić. Objawia się pod postacią traktowanych z nabożną czcią towarów z lepszego kapitalistycznego świata. Prześwituje w takich przestrzeniach, jak bar w lokalnym hotelu, ucieleśnienie marzeń komunistycznej prowincji o luksusie.

Kelner w czerwonej kamizelce nalewa tam gościom drogą whisky. Wyglądający jak lokalny szef mafii kierownik przybytku (świetny Piotr Fronczewski) podaje do stołu przywiezione z bratniej Kuby langusty. Miejscowi notable robią interesy: wymieniają złotówki na korzystne urzędnicze decyzje, talony na ładę i fiata na dolary, dolary na dostęp do ciał młodych kobiet, marzących o wyrwaniu się stąd i ucieczce gdzieś, gdzie życie daje więcej szans.

Nieplakatowy Peerel

W podobny sposób lata 80. portretowało popularne kino Polski Ludowej. Na długo zanim zaczęła się transformacja, w obrazach takich jak „Wielki Szu” czy „Piłkarski poker” schyłkowy Peerel jawił się przede wszystkim jako miejsce, gdzie w warunkach niedoboru i postawionej na głowie gospodarki toczy się brutalna walka o pieniądz i wyznaczaną przez niego pozycję społeczną. ↦

↦ „Rojst” można czytać jako hołd dla tamtego kina, ale serial jest też od niego o wiele subtelniejszy w portretowaniu rzeczywistości. Serialowe miasto staje się mikrokosmosem odmiennych, często sprzecznych ludzkich postaw wobec gnijącego starego i rodzącego się nowego systemu. Wanycz miał najpewniej jakieś związki z opozycją, ale w pewnym momencie wybrał zmęczony konformizm. Zamordowany działacz partyjny dziś uosabia najgorsze cechy nomenklatury, ale kiedyś był inspirującym aktywistą młodzieżowym i wychowawcą. Idealizm młodego Zarzyckiego nie wydaje się przekładać na opozycyjną, solidarnościową identyfikację polityczną. Opozycja demokratyczna jest w świecie „Rojstu” mniejszością, pojawia się jeden działacz z wyrokiem więzienia na koncie. Jego córka jest prześladowana przez koleżanki ze szkoły za postawę ojca – społeczeństwo wcale nie jest zjednoczone w oporze przeciw władzy.

Holoubek pokazuje najbardziej posępną, brutalną, nieuczciwą twarz reżimu: zakłamanego prokuratora, uwikłanego w brudne interesy działacza, skorumpowanego ubeka (bardzo przekonująca kreacja Jacka Belera). Dla tej władzy nie ma w świecie „Rojstu” na razie żadnej alternatywy, nie dostarcza jej też nieobecny w zasadzie w pierwszych odcinkach Kościół katolicki.

„Rojst” jest czarnym kryminałem, choć śledztwo zamiast detektywów prowadzą dziennikarze. Jak wszystkie produkcje tego gatunku, zanurzony jest w melancholijnym pesymizmie, buduje swoją poezję na poczuciu zniechęcenia i beznadziei, z jakim mierzą się bohaterowie. A jednocześnie nie ulega pokusie malowania wszystkiego czarnym na czarnym. Obraz PRL środkowego Jaruzelskiego ucieka od plakatowości tej czy innej polityki historycznej. „Idealistyczny syn partyjnego działacza” (Zawadzki), „konformista, próbujący ocalić wewnętrzną uczciwość” (Wanycz), „skorumpowany partyjniak o szlachetnej przeszłości” – to nie są postaci mieszczące się w dzisiejszej narracji o tamtych czasach.

Jakkolwiek Holoubek i jego współpracownicy rozwiążą przedstawione w ekspozycji serialu zagadki – precyzyjna, wizualnie hipnotyzująca forma, praca włożona w scenariusz i subtelny obraz epoki obiecują, że „Rojst” może wnieść do polskiego serialu nieznaną wcześniej jakość. Najwyższy czas.

© JAKUB MAJMUREK

Taniec z karabinem

ANITA PIOTROWSKA

Samuel Maoz zaprasza do emocjonalnego fokstrota: krok w przód, krok w bok, krok w tył... Dostajemy naraz wszystkie odcienie rozpaczy, a za chwilę, za pomocą wisielczego humoru, następuje gwałtowne rozładowanie.

Taką historię mógłby wymyślić tylko ktoś obdarzony chochlikowatą wrażliwością Etgara Kereta. Otóż w pewnej żydowskiej rodzinie od dziesięciu pokoleń przechowuje się starą hebrajską Biblię. Przetrwała Holokaust i jest przekazywana synom w dniu, kiedy stają się żołnierzami. Ale jeden z nich mając 13 lat zakochuje się do szaleństwa w dziewczynie z rozkładówki i sprzedaje rodzinną relikwię w zamian za rozbierany magazyn. Od tej pory to właśnie archiwalny „świerszczyk” z 1970 r. stanie się dla rodziny Feldmanów symbolem męskiej sztafety pokoleń.

Opowieść tę słyszymy mniej więcej w połowie filmu „Fokstrot” Samuela Maoza. 20-letni kapral Jonathan Feldman zabawia nią znudzonych towarzyszy broni na izraelskim posterunku gdzieś na pustyni. Kamera spoziera przez wyrwę w żelbetonowym murze, podkreślając na każdym kroku beckettowski surrealizm ich położenia. Dla zabicia czasu chłopcy grają w gry komputerowe, tańczą fokstrota z karabinem, badają nachylenie zamieszkiwanego przez nich kontenera, który ewidentnie osuwa się w błoto. Czasem podniosą szlaban, by przepuścić zbłąkanego wielbłąda, to znów upokorzą długim czekaniem pasażerów, zapewne palestyńskich, przekraczających punkt kontrolny.

Lecz te zabawy z bronią i bez broni nie mogą zakończyć się dobrze – w pierwszych scenach filmu rodzice Jonathana otrzymują wiadomość o jego śmierci na służbie. „Fokstrot”, który rozpoczyna się niczym ojcowski tren, zaprasza nas tym samym do emocjonalnego fokstrota: krok w przód, krok w bok, krok w tył... Dostajemy naraz wszystkie odcienie rozpaczy, choć kamera, zawieszona nad bohaterami niczym duch, jednocześnie wprowadza nas w błąd. Nie oglądamy bowiem kolejnego „Pokoju syna” Morettiego. Atmosfera żałoby staje się maksymalnie zagęszczona, by za chwilę, za pomocą wisielczego humoru, ulec gwałtownemu rozładowaniu. Tak właśnie traktuje Maoz swoich bohaterów poddawanych igraszkom losu.

Równie absurdalnie wypadają przedstawione w filmie procedury wojskowe służące zarządzaniu kryzysem. Bo „Fokstrot” opowiada także o złudzeniu kontroli – tym instytucjonalnym i tym czysto ludzkim, egzystencjalnym. „Osierocony” rodzic może więc zawsze liczyć na skuteczny środek uspokajający, tudzież telefoniczną przypominajkę o regularnej szklance wody, a ze strony przedstawicieli rabinatu polowego – na przygotowanie pochówku godnego bohatera. Armia potrafi zadbać o wszystko.

Za to „osierocony” na samym początku widz liczyć może na aż trzy zupełnie różne filmy w jednym. I co najmniej dwie fabularne przewrotki, które pozwalają złożyć „Fokstrota” w logiczną całość dopiero podczas napisów końcowych.

W filmie „Liban” (2009), nagrodzonym weneckim Złotym Lwem, Maoz przywoływał osobiste przeżycia z wojny 1982 r. Tym razem opuszcza wnętrze czołgu, by pokazać zupełnie inny konflikt – ten, który toczy się nieustannie od dziesiątków lat, przede wszystkim w domach i głowach jego rodaków. Podczas trzeciego aktu (film ma wyraźnie teatralną strukturę) nowoczesne, modnie urządzone mieszkanie rodziców Jonathana staje się prawdziwym polem bitwy.

Stawka jest najwyższa z możliwych, bo dotyczy skrywanej latami prawdy – czy, jak kto woli, nieuleczonej traumy. Scenariusz trochę za bardzo daje w tym

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Fokstrot”

miejscu upust emocjonalnej wiwisekcji i wyraża ją chwilami nazbyt dosłownie, ale jest to cena, jaką trzeba zapłacić, żeby wypełnić wszystkie puste miejsca „żałobnej” i „wojskowej” części filmu. Również sam Maoz, który nie ukrywa, że film ma dla niego jako rodzica wartość autoterapeutyczną, pozwala w taki sposób Michaelowi (Lior Ashkenazi) i Dafnie (Sarah Adler) na jakąś formę oczyszczenia. Z istotną pomocą wypalonego wspólnie dżointa.

„Fokstrot” jest jednak filmem tak wielowarstwowym i najeżonym symbolami, że trudno sprowadzać go do psychologicznego parteru. Uhonorowany przed rokiem Wielką Nagrodą weneckiego jury, może być czytany jak polemika z dzisiejszym, coraz bardziej anachronicznym i moralnie podejrzanym etosem bohaterskim. Nic dziwnego, że izraelska minister kultury Miriam Regev w odpowiedzi na zagraniczne sukcesy filmu dopatrzyła się w nim wymowy antysemickiej i swoistej pedagogiki wstydu. Taka już dola wszystkich filmów, a szczególnie tych najlepszych, jeśli ośmielą się „szkalować” narodowe świętości (w tym przypadku siły zbrojne).

Zastosowany przez Maoza wyrafinowany język filmowy (operator Giora Bejach lubuje się w wizualnych smaczkach, a rysunkowa pasja Jonathana dobudowuje kolejne piętra narracji) zamienia „Fokstrot” przede wszystkim w tragikomiczną opowieść o nieprzewidywalności ludzkiego przeznaczenia. Bezsensowna, głupia pomyłka dwukrotnie odmienia życie bohaterów o 180 stopni. Czy jednak musi dojść do tak potężnego wstrząsu, by przestali nareszcie dreptać w miejscu, w rytm obowiązującego rodzinnego czy narodowego fokstrota?

Maoz czerpie garściami z metaforyki tego tańca, którego nazwa odsyła także do oznaczeń z międzynarodowego kodu wojskowego („f jak fokstrot”). I cóż z tego, że przesłanie filmu sprowadza się ostatecznie do swojskiego „śpieszmy się kochać ludzi” czy „nie znamy dnia ani godziny”. Izraelski reżyser uruchomia całą gamę środków, w tym komiks, teatr absurdu i bergmanowską dramę nie po to, by serwować czerstwe morały, ale żeby znaleźć taki wspólny mianownik, który zdołałby pomieścić wszystkie paradoksy nie tylko izraelskiego losu. ©

FOKSTROT *(Foxtrot) – reż. Samuel Maoz. Prod. Izrael/Szwajcaria/Niemcy/Francja 2017. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 7 września.*

Czytaj więcej: rozmowa z reżyserem „Fokstrota” w serwisie internetowym „TP”: powszech.net/fokstrot

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.**
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

WARTO ZOBACZYĆ W TV [8 – 14 IX]

1. Pułapka

Serial, reż. Łukasz Palkowski, Polska 2018, TVN, 9 IX, 21.30

Główną bohaterką sześcioodcinkowego serialu jest autorka poczytnych powieści kryminalnych. Poszukując materiałów do książki, wchodzi w środek wielowątkowej intrygi. Reżyseruje twórca „Bogów” i „Najlepszego”, występują m.in. Agata Kulesza, Joanna Kulig, Kinga Preis i Krzysztof Pieczyński.

2. Perłowy guzik

Dokumentalny, reż. Patricio Guzmán, Chile/Francja/Hiszpania 2015, TVP Kultura, 12 IX, 23.25

Wody opływające Chile od setek lat skrywają swoje tajemnice. Twórcy dokumentu nurkują przez historię i prehistorię kraju, tworząc fascynujący esej o zbiorowej pamięci. Czasy kolonialne i dyktatura Pinocheta zbudowały chilijską tożsamość, odciskając ślad również w naturze.

3. Gdy nadejdzie wojna

Dokumentalny, reż. Jan Gebert, Czechy/ /Chorwacja 2018, HBO, 13 IX, 22.00, HBO2, 14 IX, 22.55

Nazywają się Słowaccy Poborowi i są grupą paramilitarną, której nastoletni członkowie przygotowują się do wojny z wyimaginowanym wrogiem. Film obserwuje z bliska rekrutów i ich przełożonych, by pokazać, jak faszyzujący ruch staje się coraz bliższy politycznego mainstreamu.

4. Siedem dni

Sensacyjny, reż. José Padilha, USA/Wielka Brytania 2018, Cineman VOD

To nie pierwszy film opowiadający o słynnej „operacji Entebbe”. Dramat porwanych w 1976 r. pasażerów samolotu oglądamy także z perspektywy polityków i samych terrorystów. Obok międzynarodowych gwiazd na ekranie pojawia się Batsheva Dance Company z choreografią Ohada Naharina, która pełni tu istotną dramaturgiczną funkcję.

Lektor:
Na rozdrożu

▪ *Sławomir M. Nowinowski,*
JERZY GIEDROYĆ W 1946 ROKU
słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2018, ss. 166.
Biblioteka Mnemosyne
pod red. Piotra Kłoczowskiego

Stanisław Mancewicz pisze w tym numerze o odczytaniu przechowywanego w Maisons-Laffitte kopiariusza – zeszytu z kopiami listów pisanych przez Jerzego Giedroycia podczas jego pobytu w Bukareszcie (1939-40). Ta książka także oparta jest na przepastnych lafickich archiwach, którym zawdzięczamy już długą półkę z tomami korespondencji Redaktora i szereg prac historycznych. Rzecz dotyczy przełomowego roku 1946: w lutym gen. Anders wyznacza ppor. Giedroycia na współorganizatora instytutu wydawniczego w Rzymie, jesienią przychodzi oficjalna nominacja na kierownika Instytutu Literackiego. Pierwsze tytuły („Legiony" Sienkiewicza oraz „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego" Mickiewicza ze wstępem Herlinga-Grudzińskiego) wydano zresztą już w czerwcu; łącznie w okresie rzymskim ukazało się ponad 20 książek Instytutu, zarówno wznowień, jak i pozycji nowych (np. „Dziennik podróży do Austrii i Niemiec" Jerzego Stempowskiego), a w czerwcu 1947 r. – pierwszy numer „Kultury".
Szkic prof. Nowinowskiego omawiający ten „dział wód" w życiu Redaktora zajmuje jedną trzecią tomu, reszta to wybór listów z lat 1944-49. Lektura arcyciekawa, poruszająca i chwilami dramatyczna: chodzi przecież o losy najbliższych (rodzice Giedroycia zginęli w Warszawie podczas powstania) i przyjaciół, o znalezienie miejsca w świecie po katastrofie, o rolę emigracji i stosunek do kraju, wreszcie o odtworzenie sieci kontaktów. Niezawodnym wsparciem służą Józef Czapski i Zofia Hertz, rad – nie zawsze słuchanych – udzielają Stempowski i Jerzy Niezbrzycki, czyli Ryszard Wraga (przyjaźń z nim się skończy, gdy „Kultura" weźmie w obronę Miłosza). Odzywają się z Londynu pisarki Herminia Naglerowa i Stefania Zahorska. Ze współpracownikami przedwojennych pism Giedroycia, „Buntu Młodych" i „Polityki", bywa rozmaicie. List do Stefana Kisielewskiego, który zakotwiczył się w „TP", jest serdeczny, choć autor nieco się obawia powieści Kisiela portretującej ich przedwojenne środowisko (chodzi o „Sprzysiężenie"). Gorzej z Ksawerym Pruszyńskim, warszawskim już dyplomatą („oportunizm niesłychany"), czy z Aleksandrem Bocheńskim. Mnóstwo tu postaci, spraw, dylematów i planów, choć najmocniej może zapada w pamięć krótki list Giedroycia do Zofii Hertz – nieoczekiwane zwierzenie człowieka głęboko samotnego. ©℗

REKLAMA

Pochwała Wolności

Pokój na świecie
zaczyna się przy rodzinnym stole

8.09.–7.10.2018
Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu

artyści:
Elżbieta Jabłońska Kamil Kuskowski Zbigniew Libera Daniel Rycharski Jana Shostak

kurator:
Jagna Domżalska

kurator programu edukacyjnego:
Maciej Szymaniak

wystawa dla każdego

WWW.CKZAMEK.PL
CENTRUM KULTURY ZAMEK
POZnań
PATRONAT MEDIALNY
SZUM
CzasKultury

PAWEŁ

Bravo:
Kawa bez dyni

I znów wędrujemy zimnym krajem. Późne lato pękło w szczytowej słodyczy jak zbrązowiała ulęgałka i jak ulęgałkę, zbyt już nadpsutą i pociętą przez osy, musieliśmy je wyrzucić za okno wprost w malachitowy zagon kapusty. Cesarsko-królewskim inżynierom kolejowym nie była obca myśl – ostatnio wypowiedziana przez architekta-celebrytę Renza Piano w dyskusjach nad odbudową zawalonego wiaduktu w Genui – że mianowicie nawet najbardziej funkcjonalna konstrukcja jest dziełem poetyckim, o ile nadaje ludziom kierunek. Dlatego tak poprowadzili szlak żelazny od Kielc w stronę Krakowa, żeby krótki tunel znaczył cezurę między nijakim pejzażem na północy a amfiteatrem wzgórz wokół Miechowa, które podmalowane właśnie kłębiącym się kapuścianym liściem osiągają iście toskańską malowniczość. Zatunelia – tak w duchu nazywam Galicję oglądaną z perspektywy pasażera kolejowego przybywającego z Kongresówki. I jak co roku, okolica świętuje swój zacny trud podczas dni kapusty w Charsznicy. To już w ten weekend (wśród atrakcji występy Sławomira), liczę też jak zwykle na łaskawą obecność wicepremiera Gowina, może w wieczornym programie tylko dla dorosłych wykona swój najnowszy numer – popis tresury luksemburskiej kasty sędziowskiej.

A potem już tylko zjazd po równi pochyłej, zwłaszcza że sezon bardzo przyspieszony i właściwie wszystko, co miało dojrzeć dopiero we wrześniu, już jest gotowe, by dać się zapakować w słoik. Aż nie do wiary, że komuś może przyjść do głowy, aby w takiej sytuacji jeszcze życzyć sobie przyspieszenia jesieni. Sieć Starbucks powołała do życia na Facebooku stronę „Towarzystwo Grabiących Liście", gdzie fani mają „konstruktywnie dyskutować nad tym, jak pomóc Matce Naturze z szybszym nadejściem jesieni". To wehikuł reklamowy dla jednego z jesiennych hitów tej sieci, dyniowej latte (Pumpkin Spice Latte). Ogromna ilość spienionego mleka z różnymi dodatkami smakowymi, śladowa ilość espresso, wszystko zwieńczone czymś, co przypomina bitą śmietanę, i polane syropem dyniowym (raczej z nazwy, składa się głównie z cukru, a z dynią ma wspólny pomarańczowy kolor). Tak już się utarło w Ameryce, że powrót PSL do menu sieciówki oznacza początek jesieni. Rok po roku wydarza się to coraz wcześniej, ostatnio 28 sierpnia.

Pomińmy w tym miejscu jałowe rozważania, dlaczego niebiosa nie walą piorunami, kiedy tego rodzaju ciepłe mleczne desery hańbią miano kawy. Wszak to tylko niewinny szwindel w nazewnictwie, który ma pomóc zatrzeć kaloryczne wyrzuty sumienia. Łatwiej jest powiedzieć: „zejdźmy na kawę" niż „idźmy do cukierni skatować wątrobę podwójnym kremem z syropem i wysokoglukozową posypką". Ciekawsza jest leżąca u podłoża decyzji Starbucksa pewność, że dla tzw. targetu jesień ma dobre, optymistyczne konotacje. Mówią mi znajomi parający się badaniami konsumentów, że istotnie: początek września to moment przejścia do nowego cyklu, zdarzenie zdecydowanie pozytywne, choćby dlatego że w okresie ocieplania klimatu oznacza ulgę od coraz dotkliwszych nawet w Polsce upałów i wszystko po wakacjach wydaje się świeże.

Właśnie – wakacje, urlop: powszechność letniego lenistwa czyni dopiero możliwym to, że obecny moment nabiera cech drugiego Nowego Roku, kto wie, czy nawet nie bardziej naładowanego nadziejami. Dla naszych przodków, wiecznie zabiegających o przetrwanie i elementarny byt, wrzesień był początkiem schyłku krótkiego okresu obfitości, smakował końcówką, a nie początkiem. Tymczasem dziś ileż rzeczy mamy, prywatnie i w pracy, odłożone na „po wakacjach"?

A zatem wielki początek, nowe projekty, nowe kampanie, nowe szczyty sprzedaży i wzloty sondaży. Może tylko nieśmiało zaproponuję: skoro już ma być ten początek, zwłaszcza dnia, to pijmy kawę bez dyni – z całym szacunkiem dla pięknego warzywa, wolę je na talerzu – i w ogóle bez niczego. Mocną, krótką, smolną, gorzką, a nie kwaśną, i bez nut czekolady lub fiołków. Coraz trudniej o to, niestety. Sieciowa zaraza się szerzy (taka np. Costa Coffee została właśnie kupiona przez Coca-Colę za 4 mld funtów – żeby dać wam pojęcie, na jakich szachownicach jesteśmy pionkami), a w niezależnych przybytkach na moje pytanie, czy ich mieszanka oprócz niewątpliwie szlachetnej arabiki zawiera robustę, która daje niezbędnego kopa, dostaję pogardliwe spojrzenie. Obawiam się, że jesteśmy skazani na wymarcie – miłośnicy wypitej na stojąco bez ceregieli robusty i bumelanci, dla których wrzesień to smutny czas, gdy znikają soczyste pomidory, a masło zaraz przestanie pachnieć łąką. ©℗

Ze cztery lata temu, inaugurując tę rubryczkę, udzielałem prostych porad, jak przetrwać na rynku zdominowanym przez kawy kwaśne i łagodne – bo z badań wychodzi, że polski konsument w większości takie lubi, więc duzi producenci się do niego dostosowują. Nic się od tego czasu nie zmieniło, najskuteczniej pomyszkować w supermarketach na dolnych półkach, gdzie leżą paczki nikomu nieznanych marek, efemeryczne – byle z Włoch, najlepiej z dalekiego południa. Takie marki nie mają środków, by dostosować swoją ofertę do polskich gustów – ergo zepsuć towar. Z moich doświadczeń cztery na pięć takich prób jest trafionych. Odchodzę powoli od fascynacji domowym ekspresem ciśnieniowym, i tak nie ma szans, żeby wytworzyć tę moc, jaką ma wielki, profesjonalny czołg z kawiarni. Wracam do poczciwej maszynki stawianej na gazie (nie lubię słowa „kawiarka"). Daje kawę, która nie ma wprawdzie kremowej kołderki, lecz za to wydobywa więcej ostrych smaków. Ważne jest tylko, by do filtra nasypać kawy „z górką", ale nie ubijać – w trakcie zakręcania górna część maszynki sama ją ugniecie.

CSEH IOAN / ALAMY STOCK / BEW

DOBRA DROGA DO POGADANIA

Ścieżka, którą ruszamy na spacer, jest biała jak śnieg od kredy. Przez wieki użytkowania stała się wąwozem. Chodzimy po drogach wytyczonych setki albo i tysiące lat temu.

ADAM ROBIŃSKI Z CAMBRIDGE

DONALD MACLELLAN / WRITER PICTURES / FORUM

Robert Macfarlane wita mnie na progu domu w południowym Cambridge. Dopiero co wrócił z wakacji na walijskim wybrzeżu. – Wreszcie w domu! Jestem autorem książek podróżniczych, który nie lubi podróżować. Dziewięć godzin w korku, ale tydzień spędzony na tamtejszych cyplach i plażach wart każdej minuty mordęgi – mówi i parzy kawę.

„Nasz czas będzie ograniczony za sprawą zdziczałego pięciolatka, którego mam pod wyłączną opieką pod nieobecność żony i rodzeństwa. Ale i tak spędzimy go w miły sposób" – pisał w mailu kilka dni wcześniej, kreśląc plan wspólnej wycieczki. Will rzeczywiście trochę się wzbrania przed wyjściem, ostatecznie daje się skusić wizji śniadania w plenerze.

Jest druga połowa sierpnia, dopiero co skończył się sześciotygodniowy maraton upałów, które dały się we znaki całej północnej Europie. Zielone zwykle o tej porze roku trawniki są wyschnięte na wiór, ale niebo już zasłonięte grubą wykładziną chmur, jak na Anglię przystało.

„O czwartej rano pod koniec maja, na szczycie wzgórza, gdzieś nieopodal Letchworth Garden City, odkryłem jeden z najskuteczniejszych budzików na świecie: niebo pełne skowronków" – tak zaczyna się jeden z pierwszych rozdziałów jego książki „Szlaki. Opowieści o wędrówkach", która właśnie ukazała się w polskim tłumaczeniu. Jest ona zapisem wędrówek po najdawniejszych drogach pokrywających do dziś Wielką Brytanię. Macfarlane znajduje je na kredowych wzniesieniach środkowej Anglii, wśród gnejsów wyspy Lewis, granitów pasma Cairngorm czy na atlantyckich wodach oblewających Hebrydy Zewnętrzne, które – jak przekonuje – z pozoru peryferyjne, przez wieki stanowiły istotny punkt przesiadkowy dla żeglarzy. Przemierza Broomway, biegnącą po twardym mule drogę łączącą hrabstwo Essex z wyspą Foulness, dostępną jedynie w czasie odpływów.

Nie ogranicza się do Wysp Brytyjskich – pielgrzymuje do Santiago de Compostela, wędruje po Palestynie, za przewodnika mając pisarza i prawnika Raję Shehadeha, kłania się świętej dla buddystów górze Minya Konka w Syczuanie. Na każdym kroku towarzyszy mu literatura, przede wszystkim w osobie brytyjskiego poety Edwarda Thomasa. Macfarlane podąża za jego twórczością, ale też stara się patrzeć na świat jego oczami.

Mój plan na dziś zakłada patrzenie oczami Macfarlane'a.

Droga szkolna

Urodził się w 1976 r. w Oksfordzie, wychował w Nottingham, ale potem wylądował w Cambridge, gdzie został wykładowcą literatury angielskiej w Emmanuel College, jednej z najstarszych szkół w kraju. W międzyczasie debiutował – za „Góry. Stan umysłu" (polska premiera w październiku) dostał m.in. nagrodę „Guardiana" dla debiutantów. Z czasem, z uwagi na akademickie wykształcenie, sam zaczął jurorować w konkursach literackich. W 2013 r. przewodniczył komisji, która nagrodziła Bookerem „Wszystko, co lśni" Nowozelandki Eleanor Catton.

Ruszamy z Cambridge na południe, do miejsca, w którym zaczynają się „Szlaki". Krajobraz jest płaski, rolniczy, po żniwach. Ale zaraz za miastem na horyzoncie widać wysoką na kilkanaście, może kilkadziesiąt metrów fałdę terenu.

– To dwa kredowe wzniesienia, które ciągną się potem dalej na zachód. Na południe stąd ziemia jest już pofalowana. To granica dwóch krajobrazów – mówi zza kierownicy Macfarlane. – W okolicy są dwa stanowiska archeologiczne, jedno z epoki brązu, drugie żelaza. Liczne znaleziska wskazują, że to wybrzuszenie od dawna było używane jako szlak komunikacyjny. Jeśli wszędzie dookoła jest nisko i mokro, a obok znajduje się takie wzniesienie, to naturalne, że wybierzesz najwygodniejszą

Robert Macfarlane podczas wędrówki w okolicach Cambridge

drogę. Szkoda tylko, że współczesna asfaltówka przecięła tę świętą dla naszych przodków górę na wskroś.

Ścieżka, którą ruszamy na spacer, jest biała jak śnieg, bo biegnie „po gigantycznej szkolnej kredzie". Żeby zilustrować swoją metaforę, Macfarlane podnosi z ziemi byle kamyk i kreśli nim na korze pierwszego z brzegu buku parę zygzaków. Zaraz potem prowadzi w dół zarośniętego zielenią obniżenia. Anglicy mają na takie drogi specjalny rzeczownik – *holloway*, a więc droga, która przez wieki użytkowania stała się wąwozem.

Will biega wokół nas jak wolny elektron, chowa się za drzewami, zrywa liście i – jak na dziecko przystało – ciągle pyta, czy jeszcze daleko. Celem wycieczki jest przerobione na rekreacyjny park grodzisko z epoki żelaza i pamiętająca czasy imperium rzymskiego droga, która kilka kilometrów dalej łączy się z Drogą Icknield, uważaną za jeden z najstarszych traktów na Wyspach. Park jest zdziczały, a wijące się wśród buków, jaworów i lip ścieżki stanowią coś na kształt labiryntu, choć opartego na planie koła.

– Jak w wierszu Thomasa – mówi Macfarlane na jednym ze skrzyżowań. – Stoisz na rozstaju dróg i nie wiesz, którą wybrać. Gdyby tylko dało się pójść jedną z dróg, a potem wrócić i sprawdzić, co czekało cię na drugiej... Dla Thomasa to skrzyżowanie oznaczało konieczność wyboru między zaciągnięciem się do wojska i ruszeniem na front pierwszej wojny światowej a emigracją lub życiem na wsi, gdzie jako głowa rodziny wymknąłby się poborowi.

Wybrał wojnę, zginął w pierwszym dniu bitwy pod Arras.

Mieszanie biografii z opisem przyrody to typowy dla Macfarlane'a literacki chwyt. W jego prozie nie ma krajobrazu bez ludzi, którzy odcisnęliby w nim swoje tropy.

– Ścieżki biegną nie tylko przez ziemię, ale i przez jej mieszkańców – mówi. – Kształtujemy przestrzeń dookoła nas tak samo intensywnie, jak ona kształtuje nas. To mnie przede wszystkim interesuje. Wewnętrzne krajobrazy, które każdy z nas nosi głęboko w sercu.

Dla niego takim miejscem jest między innymi szkockie pasmo Cairngorm. To nie są wysokie góry, ustępują choćby naszej Tarnicy, ale ich spoiwem jest wyniesiony na ponad kilometr nad poziom morza płaskowyż. Zimą panują tam niemal arktyczne warunki. To za sprawą mieszkających u podnóża Cairngorm dziadków Macfarlane stał się górołazem. Po studiach wspinał się na paru kontynentach, a wspomniany już literacki debiut poświęcił odpowiedzi na pytanie: co pcha ludzi w góry?

– Powiedzmy, że to licząca kilkaset stron wariacja na temat słynnej odpowiedzi Mallory'ego: „Bo są" – śmieje się. – Niektórzy odebrali ją jak list miłosny, ale to tak naprawdę moje pożegnanie z wysokimi górami. Chociaż echa tego związku czasami ↦

↦ do mnie wracają. Proponowano mi w tym roku wyprawę na Pik Lenina, ale kiedy pomyślałem, że ma ponad 7 tys. metrów wysokości i będę cierpiał na chorobę wysokościową, po prostu mi się odechciało. Wolę w wolnym czasie wspiąć się na jakiś efektowny trzytysięcznik.

Droga do pogadania

Literacki i komercyjny sukces wydanych oryginalnie w 2012 r. „Szlaków" spowodował, że Macfarlane'a ochrzczono mianem ojca „nowego *nature writing*" – nurtu sięgającego korzeniami „Waldenu" Henry'ego Davida Thoreau, analizującego współczesne relacje człowieka i środowiska. Pełnego odautorskich impresji i tym samym balansującego na styku prawdy i fikcji. Coś, co początkowo traktowano jako ciekawostkę, z czasem stało się potężną gałęzią brytyjskiego rynku literackiego.

Ochrzczono go ojcem nowego „nature writing". Coś, co początkowo traktowano jako ciekawostkę, z czasem stało się potężną gałęzią rynku literackiego.

Wertując grzbiety książek w największej księgarni w Cambridge, można dojść do wniosku, że Brytyjczycy nie robią nic innego, tylko dzień i noc pieszo przemierzają swój kraj, po drodze cytując romantyków i licząc migrujące tu na chłodniejszą część roku ptactwo.

Nasza ścieżka rozszerza się, przechodzi w efektowną bukową aleję. Pod gęstymi koronami wygląda jak tunel, na którego końcu widać nieśmiałe przebłyski słońca. Możemy iść ramię w ramię, Macfarlane mówi, że to „dobra droga do pogadania":

– Jeśli pytasz, skąd ten rozkwit właśnie tu, w kraju tak zdewastowanym przyrodniczo, to w pytaniu zawarta jest już odpowiedź. Kultura łata dziury tam, gdzie brakuje natury. Staje się substytutem tego, czego na przestrzeni wieków się pozbyliśmy. Jasne, że istotna dla rozwoju nurtu była tutejsza tradycja pieszych wędrówek, ale ten wysyp książek może być wołaniem o zachowanie tego, co jeszcze pozostało.

– Desperackim krzykiem?

– Niekoniecznie desperackim. Bertolt Brecht pisał, że myślenie o drzewach w mrocznych czasach jest samo w sobie mroczne, ale przecież współczesność dawno przegoniła jego obawy. Mam wrażenie, że dziś natura jest jedynym istotnym tematem rozważań. Od jej dobrostanu zależy nasza przyszłość. Co zresztą ciekawe, Niemcy współcześnie po prostu przeszczepili na swój grunt brytyjskie przyrodopisarstwo. Bo zajmowanie się ziemią ojczystą ciągle rodzi tam nacjonalistyczne skojarzenia. A przecież mają tak bogatą tradycję pisania o przyrodzie. Mówimy o kraju Goethego! Sebald, którego uwielbiam, jest świetnym przykładem. W „Pierścieniach Saturna" nie ma niewinnych krajobrazów.

– Ale podobno nie lubisz być nazywany pisarzem natury?

– Bo termin *nature writing* już dawno spełnił swoją funkcję. Potem stał się marką, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych w latach 80. i 90. XX w. A kiedy coś jest już marką, to trzeba uciekać od tego jak najdalej, bo staje się wymówką dla zalewających rynek półproduktów – mówi. – Większość gatunków literackich przeszła tę drogę. To się dzieje cyklicznie, a kolejne etapy są łatwe do przewidzenia: najpierw entuzjazm, potem znużenie, skostnienie, parodia, pogarda, wreszcie ekskomunika. Z tym mamy do czynienia dzisiaj. Wszystkie okładki książek o przyrodzie są takie same, nurt stał się w wielu aspektach skamieliną. Są oczywiście autorzy oryginalni, którzy tworzą wspaniałe rzeczy. Ale to wyjątki balansujące na krawędzi wielu gatunków. Ja sam od sześciu, może siedmiu lat wolę mówić o krajobrazach.

– W czym krajobraz jest lepszy od natury?

– Składają się na niego życiorysy, historia, pogoda, ekologia, polityka. I wszystko to jest w ruchu. „Krajobraz" – to dynamiczny rzeczownik, prawie czasownik. Wymaga dynamicznej formy literackiej, a kluczem jest eksperymentowanie. Więc staram się zmieniać swój sposób pisania, szukać nowych głosów, nowych narracji. Nie tylko z książki na książkę, ale i ze strony na stronę.

Droga do sukcesu

Przyznaje, że książką, która zrobiła z niego pisarza, jest „Arctic Dreams" Barry'ego Lopeza. Była druga połowa lat 90., spędzał lato w północno-zachodniej Kanadzie, wspinając się w Górach Skalistych i wędrując wzdłuż Pacyfiku. Książkę Lopeza kupił podczas krótkiego przystanku w Vancouver. Była gruba i ciężka, ale nosił ją potem cały czas w plecaku i uczył się, jak miksować literaturę faktu z językiem poezji.

– „Arctic Dreams" nie ma nic wspólnego z przyrodopisarstwem. To książka o polityce, historii, antropologii, pisana pierwszoosobową prozą, która nie stosuje się do żadnych ustalonych reguł. Ale wizja Lopeza jest tak przekonująca, że czujesz się, jakby co rusz podawał ci do oczu lornetkę. I taka powinna być literatura przyrody. Odważna, łamiąca konwenanse, nieustannie niezadowolona z tego, jak się ją postrzega.

– To po co w ogóle mówić o osobnym nurcie? Przecież świat przyrody jest tłem dla pokaźnej części literatury – pytam.

– Jasne, a większość książek o przyrodzie to siłą rzeczy literatura drogi. Ale chodzi o to, że skomplikowane formy są trudne do objaśnienia, więc wymyśla się dla nich szufladki. Problemem stają się, kiedy to pisanie jest łączone z prostym romantyzmem. Naiwnym, marzycielskim przyglądaniem się ptaszkom, pszczółkom, listkom. Weźmy „Sekretne życie drzew" Petera Wohllebena. To był fenomen, który zwrócił uwagę na pewien ważny problem, ale przy tym całym rozgłosie za mało mówiło się o tym, że to po prostu bardzo słaba książka.

– Drzewa nie mają sekretów?

– Mniej mnie interesują interakcje pomiędzy drzewami, a bardziej to, jakiego języka używamy do ich opisania. Mamy dziś dwie obowiązujące narracje. Jest neoliberalny język, który mówi o rywalizacji drzew o dostęp do światła i wody. Według niego jeśli drzewa w lesie wymieniają między sobą substancje odżywcze za pomocą sieci mikoryzowych – czynią to dla własnej korzyści. Ale jest też socjalistyczny punkt widzenia, według którego wszystkie drzewa troszczą się o siebie wzajemnie, starsze matkują młodszym, a cały las jest jak państwo opiekuńcze. Jeden i drugi język wiele mówi o nas samych.

Rzymska droga wyprowadza nas wreszcie na otwartą przestrzeń, efekt powojennej brytyjskiej manii samowystarczalności.

– Wszystko, co było nieużytkami, w latach 50. przekształcono w uprawy. Wcześniej to był trudny teren do poruszania się, nic

tylko krzaki i krzaki. Potem wszystko się zmieniło. A teraz zobaczysz sympatyczną ławeczkę – mówi Macfarlane.

Znad drzew słychać krzyk myszołowa, ale oczy nie wyłapują na szarym niebie żadnego ruchu. Za to na skraju ciemnożółtego ścierniska leży zwalony pień. Dowiaduję się, że kilka miesięcy temu Macfarlane siedział na nim w towarzystwie Rebeki Solnit, autorki „Zewu włóczęgi", którego polska premiera przypadkiem zbiegła się teraz w czasie ze „Szlakami".

– Byliśmy bez Willa, więc zaszliśmy trochę dalej niż dzisiaj – śmieje się. – Tutaj też miał miejsce mój wstydliwy wypadek ze „Szlaków". Rozpędziłem się, zleciałem z roweru, połamałem żebra. Na samym początku przedsięwzięcia, tak blisko domu.

„To było myto za wejście na dawne szlaki, pobrane przy jednym ze zwyczajowych punktów" – wtajemniczył go potem znajomy piechur.

Droga do przyszłości

Uszczęśliwiając zmęczonego pięciolatka, wczesnym popołudniem wracamy do Cambridge, gdzie o tej porze roku więcej jest turystów niż studentów. Emmanuel College ufundowano w 1584 r. jako uczelnię purytańską, mającą kształcić protestanckich kaznodziejów wysyłanych później do Ameryki.

– Dziś daleko nam do purytanizmu – zauważa Macfarlane, ale historyczny wymiar miejsca widać choćby w architekturze. Żeby trafić do jego gabinetu, mijamy dawne stajnie, których narożniki spiłowano tak, by koń łatwo ściął zakręt.

Na piętrze są już tylko książki. Zakrywają dwie ściany, na podłodze jest ich jeszcze więcej. Ustawione w sięgające kolan wieże, więc aby przejść z jednego końca gabinetu na drugi, trzeba się poruszać ruchem konia szachowego. Na grzbietach te same nazwiska, które jak duchy powracają w kolejnych publikacjach Macfarlane'a: Thomas, Bruce Chatwin, Patrick Leigh Fermor, John Muir, Thoreau. I Nan Shepherd, piewczyni jego ukochanych gór Cairngorm, która, wydobyta przez niego z zapomnienia, dwa lata temu trafiła na szkocki banknot pięciofuntowy. Z okien gabinetu rozciąga się widok na Parker's Piece, dziesięciohektarowy, zarośnięty trawą plac w funkcji parku. Podobno to tu rozegrano pierwszy w historii mecz piłki nożnej na zasadach zbliżonych do współczesnych.

– Jestem tu przez pięć godzin dziennie, sześć miesięcy w roku. Mając na uwadze kwestie finansowe, dawno już mógłbym zrezygnować z wykładania, ale po prostu bardzo to lubię. No i nikt o zdrowych zmysłach nie rzuci uczenia na najlepszej uczelni świata, i to najlepszych studentów – mówi, układając na podłodze jeszcze jeden wieżowiec. Zabiera te książki do domu, bo właśnie zaczyna ostatnią autorską redakcję najnowszej książki. „Underland", czwarta – jak żartuje – część „luźnej trylogii o relacjach krajobrazu i ludzkiego serca", trafi do brytyjskich księgarń w maju przyszłego roku.

– Mam cichą nadzieję, że zbiegnie się w czasie z oficjalnym uznaniem przez Międzynarodową Komisję Stratygrafii, że żyjemy w antropocenie, erze człowieka, a ślady naszej bytności pozostaną w zapisie geologicznym na kolejne miliony lat – mówi.

Na potrzeby nowej książki odbył najtrudniejsze z dotychczasowych wędrówek literackich. Wspinał się samotnie w północnej Norwegii, by zobaczyć tamtejszą sztukę naskalną („Wiosna się spóźniła, było cholernie zimno i daleko od cywilizacji"). Był też w Onkalo, fińskim składowisku zużytego paliwa nuklearnego, które według planów budowniczych ma przetrwać nawet sto tysięcy lat. Tyle czasu zajmie neutralizacja radioaktywnych substancji upchniętych pół kilometra pod ziemią.

– Coraz częściej myślę o naszej spuściźnie, o tym, co zostawimy po sobie nie tylko następnym pokoleniom, ale i innym gatunkom, które przejmą tę planetę po nas. Odległy czas, ale w przyszłości, a nie wstecz, czym zajmowałem się do tej pory. W „Underland" wreszcie dałem tym myślom dojść do głosu. Ale konkluzja jest chyba optymistyczna, bo głównym bohaterem epilogu jest mój najmłodszy syn.

Zanim się pożegnamy, mam jeszcze zostać przedstawiony pewnemu drzewu. Rośnie na terenie college'u i z daleka wygląda jak mały las. Platan wschodni ma ponad dwieście lat i ukorzenił się w co najmniej kilkunastu miejscach. Ciężkie konary po prostu pną się ku ziemi, wrastają w nią, ale zaraz potem na nowo odbijają w górę w poszukiwaniu światła słonecznego i wody. Efektem jest gąszcz gałęzi rozciągnięty nad głowami jak cyrkowy namiot.

Ten platan (Macfarlane mówi o nim *The King of Limbs*, Król Kończyn) wyrósł z nasiona przywiezionego z greckich Termopil. Podczas ładnej pogody wykładowcy prowadzą pod nim zajęcia, a studenci w cieniu korony wystawiają Szekspira.

– Każdy, kogo z platanem zapoznaję, pyta, czy wspiąłem się kiedyś na górę – mówi na koniec. – Tak, ale miałem potem z tego powodu kłopoty. A żeby rozwiać twoje wątpliwości, czy to jedno drzewo, czy kilka: czy to naprawdę istotne? Jest po prostu piękne.

© ADAM ROBIŃSKI

Robert Macfarlane, **SZLAKI. OPOWIEŚCI O WĘDRÓWKACH**, *przeł. Jacek Konieczny, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2018.*

TP

BIEŃCZYK **o autostopie** ▪ ROBIŃSKI **o pszczołach** ▪ MILCZAREK **o Arktyce**
NAPIÓRKOWSKI **o plaży** ▪ OLSZEWSKI **o Mierzei Kurońskiej**
KOZIŃSKA **o koniach i o zaklinaczach roślin**

Zbiór wszystkich tekstów z naszego wakacyjnego cyklu na

powszech.net/wakacje

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

STANISŁAW

Mancewicz: *Mniam*

Z OCZYWISTĄ ZAWIŚCIĄ SPOGLĄDAMY NA JAKŻE rozległe dziś piśmiennictwo kulinarne i jego twórców. Zwłaszcza twórców, których refleksja – to jest nasze mniemanie – zawsze mieści się w dość ciasno zmontowanych alternatywach: co jest jadalne, a co nie, zdrowe bądź niezdrowe, tuczące albo nietuczące, albo, a jest to zagadnienie jakby na tej niwie nowsze, czy oto jedzenie czegoś tam jest moralne, a czegoś innego nie. Tu ugryźliśmy się boleśnie w język, więc winniśmy dodać, że mamy świadomość, iż oceny moralne w tej dziedzinie są jednak stare jak świat, a co najmniej tak stare jak Stary Testament. Drobna różnica polega na tym, że dzisiejsze moralizy jadłospisowe nie mają walorów wielkiej literatury, choć oczywiście są podobnie pedagogiczne w tonie i zamiarze oraz, co oczywiste, wypływają z żarliwej wiary.

A więc, jako się rzekło, smutno nam się zawsze robi podczas lektur, referatów bądź rozmów na temat jedzenia, prostota refleksji bowiem to nie jest branża, w której nam przychodzi fedrować, czy też ciułać grosz do grosza, aż będzie kokosza. Mimo szarego smutku i silnego poczucia bycia niepotrzebnymi postanowiliśmy jednak sprawdzić w boju, czy aby na pewno.

A stało się to przypadkiem. Oto podczas jednej z mnóstwa rozmów o zdrowym i ekologicznym jedzeniu, podczas której, by nie usnąć, próbowaliśmy przypomnieć sobie nazwy wszelkich herbicydów, a to desykantów i defoliantów, które nieustannie mylą się nam z lakrymatorami, kiedy rozmowa nieco już uschła i się odlistniła, by nie rzec odchwaściła, i płynnie przeszła na sprawy polityczne, przebudziliśmy się z odrętwienia wynikającego z nadmiernego przechemizowania, ale i pod wpływem sygnałów – rzec trzeba – alarmowych.

Po porcji arcyzdrowych porad, może niezbyt ciekawych, ale skądinąd chyba roztropnych, usłyszeliśmy teraz opinie z gruntu odmienne. Były one ciekawe i nieroztropne. Wynikające wprost ze spożycia przez umysły naszych interlokutorów najbardziej trujących treści i wdychania najzjadliwszych oparów. Dodajmy dobrowolnie: bez przymusu i za darmo. Od rozmowy o zdrowotności jedzenia rozmowy o polityce różniły się właśnie tym, że owo zdrowe pożywienie jest kosztowne, a pochłonięte przez moich referentów brednie kosmiczne zostały zjedzone przez ich rozumy bez konieczności płacenia.

Oto człowiek odwracający się ze słusznym lękiem od kury w klatce, od mleka będącego koktajlem z antybiotyków, od pomidorka – mordercy żuczków, od marchewki – zabójczyni stu pokoleń kretów, od parówki sporządzonej z tektury, kopyt, dziobów, grzebieni oraz korali indyczych; oto człowiek ten bez najmniejszej odrazy czy wątpliwości zjada kilogramy darmowej, rozrzucanej wszędzie toksycznej mielonki, uczynionej z informacji i poglądów przez największych kretynów, jakich Ziemia nosi. Sam, niezmuszony wtłacza do łba swego ową mielonkę i woła: „Mniam!". Co więcej, to „mniam" staje się natychmiast niejako elementem godności, składnikiem honoru i tożsamości. Oto oświecony człowiek naszych czasów daje dwa złote za jajko, ale nie da grosza za paszę dla rozumu swego, za gazetę, dajmy na to. Wniosek mamy z tego wszystkiego taki, że mózg jest uważany dość już powszechnie jako śmietnisko bądź szambo bez dna, i jest przez swych właścicieli traktowany nieporównywalnie gorzej niż jelito grube. Mózg, ku naszemu zdumieniu, stał się niejako ślepą kiszką, niewartą uwagi ani wydatku.

Zaiste gdyby Matka Ewolucja, która poczyniła tak wiele starań, by mózg człowieczy był wyjątkiem w skali wszechświata, mogła udzielać wywiadów, usłyszelibyśmy, czym naprawdę mogą być furia i rozczarowanie. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

„Książki w Tygodniku" pozbawione dotacji MKiDN

MAGAZYN POWRACA

Mimo braku dotacji z MKiDN „Książki w Tygodniku" wracają na łamy! Nowe otwarcie
– nowe oferty
– nowe możliwości.

Zapraszamy Wydawców do kontaktu:
reklama@tygodnik.com.pl
tel. 12 422 05 70

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ
Z SIECI
ILE SIĘ DA

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator
Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl